



Kasey Michaels



Grzech nocy letniej

*Powiedzcie: jakim tańcem czy spektaklem
Skrócimy sobie wieki tych trzech godzin
Między wieczerzą a porą spoczynku?
Gdzie się podziewa nasz stały dostawca
Uciech? Czy może jakimś widowiskiem
Przynieść nam ulgę w torturze czekania?**

* *Sen nocy letniej* Williama Szekspira (Akt V scena 1. - Tezeusz). Przekład Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

PROLOG

Puck ani myślał podążać za modą. O wiele bardziej odpowiadała mu rola arbitra elegancji, w której sam się obsadził i którą odgrywał od tamtej pory z żelazną konsekwencją. To on dyktował wytwornemu towarzystwu najnowsze trendy i fasony, nie na odwrót. Gdziekolwiek się pojawił, jego wykwintna powierzchowność wzbudzała nieodmienny zachwyt, zaś nienaganne maniery i nieskazitelne stroje uchodziły za niedościgniony wzorzec. Kiedy dla kaprysu zapuścił włosy do ramion, co najmniej połowa paryskich modnisiów natychmiast poszła w jego ślady. Niektórzy w swych zapędach uciekali się nawet do noszenia peruk tudzież przypinania tresek.

Gdy Robin zaczął dosiadać ryżego deresza z białą gwiazdką na łbie, sprzedaż podobnych dereszów wzrosła w dwójnasób, a wraz z nią podskoczyły raptownie dochody niejakiego Jacques'a Dupuisa, niegdyś znamienitego dżokeja, dziś mistrza w mydleniu oczu rozochoconej klienteli.

Bywało, że Blackthorn stawał się na jakiś czas melomanem. Grywał wtedy na skrzypcach, na pianinie lub na flecie, ot tak, dla zabawy. Bezrobotni nauczyciele muzyki, ma się rozumieć, przeżywali wówczas istne oblężenie. Tłumy głuchych jak pień fircyków regularnie uczęszczały na lekcje i bez żenady pastwiły się nad nieszczęsnymi instruktorami nieudolnym rzępoleniem.

Ale to jeszcze nie koniec nieograniczonych wpływów Pucka. Wystarczyło, że znużony przestał odwiedzać teatr, a sprzedaż biletów spadała na łeb na szyję, a kiedy opowiedział dowcip, calusieńki Paryż śmiał się do rozpuku. Panny na wydaniu, nierzadko także stateczne mężatki, śniły o nim po nocach, zaś młodzi mężczyźni prześcigali się w staraniach, aby widywano ich u jego boku. Rozliczne damy w każdym wieku zasypywały go zaproszeniami na przyjęcia i rauty, czasem także na potajemne schadzki w swoich buduarach.

Jako że nosił imię Robin i wyróżniał się pogodnym usposobieniem, paryska socjeta nadała mu przydomek Puck*. Niesłychanie ich to bawiło, zwłaszcza że z racji swego pochodzenia Blackthorn w zasadzie nie powinien mieć wstępu na salony. Nie powinien, ale miał. Przyjmowano go wszędzie bez najmniejszych zastrzeżeń i mówiono o nim piesz-

czotliwie *le beau bâtard Anglais*. W istocie był cudny jak z obrazka, cóż więc znaczyła etykieta bękarta w obliczu takiego wdzięku i tak nieprzeciętnej urody? Wszak nie od dziś wiadomo, że Francuzi to naród niezwykle wyczulony na piękno. Innymi słowy, przymykano oko na jego niechlubny rodowód i traktowano go jak ulubioną maskotkę.

* Robin Puck Goodfellow (pol. Puk - Robin Dobroduszek) jest jedną z centralnych postaci *Snu nocy letniej* Williama Szekspira, a zarazem bezpośrednim sprawcą zamieszania i miłosnych rozterek pozostałych bohaterów komedii (*przyp. tłum.*).

Nie dziwota, że na wieść o rychłym wyjeździe swego pupila, cały Paryż pogrążył się w rozpacz. Robin pozostał jednak nieugięty. Niepomny na utyskiwania licznych wielbicieli, podjął ostateczną decyzję o powrocie do ojczyzny i zjechał do Londynu tuż przed otwarciem nowego sezonu.

W tym miejscu należy podkreślić, że rodacy nie byli dlań aż tak łaskawi jak francuscy przyjaciele. W Anglii żaden szanujący się arystokrata nie akceptował otwarcie cudzej niechlubnej proweniencji i z całą pewnością nie bratał się z owocami pozamałżeńskich związków. Nikt więc nie rozczulał się nad wdziękiem Pucka, nikt też nie używał wobec niego pieśczośliwych określeń, wręcz przeciwnie. Przypięto mu łątkę bękarta, w związku z czym na ziemiach przodków znany był wyłącznie jako Robin Goodfellow Blackthorn, niechciany przybłęda i uzurpator. Wyrzutek, ośmielający się rościć sobie prawa do rzeczy, które mu się nie należą.

Puck oparł się w niedbalej pozie o gzyms nad kominkiem. Znajdował się pośrodku ociekającego przepychem salonu luksusowej rezydencji przy Grosvenor Square, w samym sercu modnej dzielnicy Mayfair.

W wytwornym francuskim odzieniu, podkreślających smukłą sylwetkę spodniach oraz dopasowanym surducie z mistrzowsko zawiązanym fularem, prezentował się niczym ucieleśnienie nonszalancji i niezmaconego spokoju.

Jego twarz zdobił niemal autentycznie przyjazny, by nie powiedzieć, przymilny uśmiech - doprowadzony do perfekcji dzięki zmuśnym i długim staraniom. Ów uśmiech tudzież skrzętnie skrywana inteligencja intrygujących zielononiebieskich oczu stanowiły jego tajną broń. Potrafił nimi zmylić prawie każdego. Choć cała przyszłość Goodfellowa

zależała od tego, w jaki sposób rozegra kilka najbliższych minut, postronny obserwator ani chybi uznałby go teraz za wzbudzającego sympatię, zupełnie nieszkodliwego idiotę.

Rzecz jasna była to jedynie gra pozorów. W rzeczywistości Robin cały czas miał się na baczności, pozostawał w pełni skoncentrowany i czujny. Doskonale wiedział, że nie wolno mu lekceważyć przeciwników. Byli kimś znacznie więcej niż parą tylko zblazowanych i nudnych angielskich dżentelmenów, którzy owszem szczycą się tym, że ich korzenie sięgają czasów Wielkiej Powodzi*, lecz poza tym nie mogą pochwalić się niczym innym, a już na pewno nie szczególną lotnością umysłu.

* Autorce chodzi prawdopodobnie o tak zwaną *Wielką powódź Dnia Wszystkich Świętych*, która przetoczyła się przez zachodnią Europę 1 listopada 1570 r. W ciągu zaledwie 5 dni od Wielkiej Brytanii po Hiszpanię śmierć poniosło wówczas 400 tysięcy osób (przyp. tłum.).

Bawili się w kotka i myszkę od z górą kwadransa, rozprawiali o tym i owym, tworząc iluzję uprzejmej salonowej konwersacji. Pozostawało pytanie, kto kogo przechytrzy. Właściwie każdy z nich mógł wyjść z tej potyczki zwycięsko, w takich sytuacjach Blackthorn zawsze jednak stawiał na siebie.

- Wyznam, że angielska wieś nie ma sobie równych - wypalił ni stąd, ni zowąd à propos niczego, co dotąd powiedziano. - Okolice, dajmy na to, Gateshead są wprost bajeczne. Mógłbym rozpląwać się nad nimi w zachwytach całymi godzinami.

Baron Henry Sutton słusznie uznał to za zachętę i przeszedł wreszcie do rzeczy. Wyrzucił z siebie pytanie, które pragnął zadać od samego początku.

- A zatem zamierzasz nas szantażować? - rzekł cierpko, po czym spojrział na towarzysza, niejakiego Richarda Carstairsa. - Sam widzisz, Dickie, jest dokładnie tak jak przewidywałem. Przeklęty Goodfellow zamierza zniżyć się do szantażu, ale czegoż więcej spodziewać się po bękarcie?

- Nic podobnego - zaoponował spokojnie Puck. - Niczego takiego nie powiedziałem, byłbym jednakowoż wdzięczny, gdyby zechcieli panowie nie mieszać do sprawy okoliczności mego przyścia na świat, szczególnie że nie mają one nic wspólnego z naszym małym problemem. Napomknąłem o Gateshead, jako że właśnie tam spotkałem poprzednio obecnego tu pana Carstairsa. W zeszłym roku spędziliśmy w owym miejscu

przemiały wieczór. Uroczy zakątek, słowo daje, choć niewątpliwie dość niefortunnie usytuowany. Według standardów pańskiego dystyngowanego przyjaciela to istne odludzie, za to Jack pojawia się w tamtych stronach regularnie, w dodatku w najmniej spodziewanych momentach i jak zwykle w nastroju do figli.

Dickie Carstairs, bladolicy jegomość o nalanej twarzy i puszystej posturze, nie posiadał się z oburzenia. Gdy spojrzął na barona, oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Słyszałeś, Henry? Miał czelność wspomnieć o Jacku! Nikt nie może wiedzieć o jego zaangażowaniu w naszą działalność. Na miłość boską, przecie to jego własny brat. Cóż za podłość, to wprost niesłychane! Mówiłem ci, że nie powinniśmy byli tu przychodzić. Wezwał nas do siebie, jakby mógł nam rozkazywać, nie zamierzam tolerować takiego traktowania!

Sutton, najwyraźniej rozsądniejszy i bardziej opanowany z ich dwójki, spróbował zmrozić Robina wzrokiem.

- Wiedz, że twój brat o wszystkim się dowie - rzucił ostrzegawczo, lecz Goodfellow skwitował jego groźbę szerokim uśmiechem.

- Naturalnie, że się dowie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Prędzej czy później Jack zawsze o wszystkim się dowiaduje. Pojęcia nie mam, jak on to robi... Jest pod tym względem niesamowity. Czasem nazywamy go w rodzinie Black Jackiem. Chętnie znów się z nim zobaczę. Tęsknię za jego romantyczną naturą. Przekażcie mu ode mnie pozdrowienia, jeśli łaska. Pewnie spotkacie się z nim przede mną. Ach, byłbym zapomniał! Mieli panowie wieści od owego nieszczęśnika, jakże mu było na imię...? Jonas? Tak, naturalnie, Jonas. Już sobie przypomniałem. Więc jak on się miewa? Przypuszczam, że nie najlepiej. Idę o zakład, że skończył sześć stóp pod ziemią w jakimś anonimowym grobie z dala od stolicy i bardziej cywilizowanego wymiaru sprawiedliwości. A może poniosła mnie wyobraźnia? Od dziecka miewam skłonności do dramatyzowania.

- Jeśli sugerujesz, że pozbawiliśmy go...

- Wystarczy, Dickie - interweniował pospiesznie Henry. - Dopiął pan swego, panie Blackthorn. Grajmy w otwarte karty. Najwyraźniej odkrył pan, że pański brat, pan Carstairs oraz moja skromna osoba, świadczymy potajemnie pewne... usługi na rzecz korony.

- Usługi? - zadrwił Puck. - Pozbywacie się śmieci, ot co. Nie wątpię, że monarcha jest wam wielce zobowiązany, ale mniejsza o to. Proszę oszczędzić mi szczegółów. Chciałbym, abyśmy pozostali w przyjaznych stosunkach.

- Raczy pan żartować. Wysłała nam pan listy z zawołowanymi pogrózkami, ściąga nas do siebie siłą, a potem mówi o przyjaznych stosunkach? Toż to kpina. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Doprowadził pan do tej rozmowy, żeby zażądać czegoś w zamian za swoje milczenie, czyż nie?

Robin sięgnął po kryształową karafkę i dolał wina do kieliszków gości.

- W rzeczy samej, panowie, sam nie ująłbym tego lepiej. Chciałbym czegoś w zamian za usunięcie z pamięci pewnych zdarzeń, do których doszło ubiegłego lata w Gatheshead. Mam tu na myśli zdarzenia z panów udziałem naturalnie, ale bez obaw, ręczę, że nie poproszę o nic haniebnego czy też wykraczającego poza wasze możliwości. Dla panów to zwykła błahostka, dla mnie sprawa niezwyklej wagi. Idzie o drobną, może nie najdrobniejszą, ale też nie nazbyt wielką przysługę. Otóż byłbym wdzięczny gdyby zechcieli panowie pomóc mi zaistnieć wśród wyższych sfer. Wystarczy, że przedstawią mnie panowie kilku odpowiednim osobom, pozwolą, aby widywano mnie w waszym towarzystwie w parku i tym podobne. Dorzuciłbym jeszcze jedno czy dwa zaproszenia na jakieś popularne wydarzenia sportowe, najlepiej takie, na które uczęszczają ważne osobistości. To wszystko. Nic więcej. Potem poradzę sobie sam.

- Uszom własnym nie wierzę! - Carstairs był bliski apopleksji. - Bękart pragnie wdrzeć się na salony! Z naszym błogosławieństwem? Dasz wiarę, Henry? Toż to nie do pomyslenia. Tfu! Nie przyłożę do tego ręki! Wykluczone!

Sutton uciszył kompana zniecierpliwionym machnięciem ręki.

- Daj pokój, Dickie - warknął zniecierpliwiony, po czym zwrócił się do Goodfellowa. - Pański brat, Beau, już tego próbował. Po dwakroć, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Owszem, próbował - zgodził się Puck, wracając na swoje miejsce przy kominku. - Zresztą ze zmiennym skutkiem. - Wiedział, że ma ich na widelcu.

Był wystarczająco podobny zarówno do Beau, jak i do Jacka, aby wiedzieli, że nie należy go lekceważyć ani tym bardziej z nim zadzierać.

- Jack, Beau i ja jesteśmy braćmi. To naturalne, że wiele nas łączy. W końcu wszyscy trzej przyszliśmy na świat za sprawą markiza Blackthorn i jego niewierności... jako dzieci z nieprawego łoża, niestety. Niemniej każdy z nas radzi sobie z tym na swój własny sposób. Beau uznał w pewnym momencie, że potrzebuje społecznej akceptacji. Miał do tego święte prawo. Jack z kolei zupełnie nie dba o przychylność londyńskiej śmietanki. Śmiem twierdzić, że prawdopodobnie uważa was wszystkich za skończonych durniów.

- A pan? - zainteresował się baron.

- Ja? - Robin wzruszył ramionami w geście godnym rodowitego Francuza. - Nie pragnę od życia zbyt wiele. Chcę jedynie zakosztować rozrywki wśród rodaków. Jestem towarzyski i mam tę zaletę, że potrafię bawić innych. Niewykluczone, że zyskam w waszych oczach przy bliższym poznaniu. Kto wie, może nawet zaskarbię sobie waszą sympatię. Dickie, widzę, że pański kieliszek znów jest pusty... Co powiecie na kolejną lampkę wina, panowie? Napijemy się i przedyskutujemy spokojnie strategię, która pozwoli mi bywać w wytwornym towarzystwie. Na początek proponowałbym najbliższy piątek i bal maskowy lady Fortesque. Śmiało posunięcie, nie przeczę, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę reputację gospodyni, ale dla mnie będzie, jak znalazł. Doszły mnie słuchy, że najznamienitsze osobistości raczej nie uświetnią przyjęcia swoją obecnością.

Sutton, który widać zdążył już pojąć, że Robin Goodfellow Blackthorn zalicza się do osób, których człek rozumny nie waży się ignorować, podniósł się z fotela i kiwnął głową w kierunku swego kompana.

- Isobel będzie zachwycona tym, że stanie się pan bohaterem skandalu właśnie pod jej dachem. Jestem tego więcej niż pewien. Dopilnuję, aby jeszcze dziś doręczono panu zaproszenie.

- Znakomicie - rzekł Puck, odprowadzając ich do wyjścia. - Tuszę, że spotkamy się ponownie w piątek - dodał, dotknąwszy ramienia Carstairsa.

- Ale... to przecież bal maskowy - zaprotestował Richard. - Jakimże sposobem pan nas rozpozna?

- Och, żaden kłopot - odparł przyjaźnie Goodfellow. Pomyślał przy tym, że nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, iż mężczyzna o aparycji Dickiego

może okazać się groźny dla otoczenia. Nie sprawiał wrażenia miłośnika mocnych wrażeń. Wydawał się zupełnie nieszkodliwy, a jednak bywał bezwzględny zabójcą. Cóż, być może właśnie w tym tkwił jego sekret. - To panowie rozpoznają mnie. Ani chybi stał się sensacją wieczoru. Nie zapominajcie, że słyne, że się tak wyrażę, *pour mes péchés*.

- Ze swoich grzechów, powiada pan? - powtórzył z wolna Carstairs, po czym uniósł brew i przyjrzał się rozmówcy od stóp do głów. - Hm... nie jestem pewien, czy to wada, czy może raczej zaleta. Zechce pan zdradzić, gdzie zamówił tę kamizelkę? Tutaj? Czy jeszcze w Paryżu? Istne cacko, słowo daję. - Poklepał się po okazałych rozmiarów brzuchu. - Z moją tuszą raczej bym się w nią nie zmieścił, ale jeśli udostępni mi pan adres swego krawca...

- Na litość boską, Dickie - zniecierpliwił się Henry i bez ceremonii pociągnął Richarda za łokieć. - Wychodzimy.

Tymczasem kamerdyner wręczył im nakrycia i otworzył na oścież drzwi. Żaden z gości nie wynagrodził jego trudów monetą. Jaśnie panowie najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że w kontaktach ze służbą nie warto być sknerą. Tylko ci, którzy okazują lokajom wdzięczność miedziakiem, nie muszą się martwić o zagubione płaszcze czy zawiruszone kapelusze.

- Poszło nadspodziewanie gładko. - Uśmiechnął się Puck, gdy pożegnali goście. - Znalazłeś coś godnego uwagi, Wadsworth?

Służący, niegdyś zasłużony żołnierz, sięgnął za pazuchę i podał mu zwitek papieru.

- I owszem, panie. Grubas miał w kieszeni bilecik. Pozwoliłem sobie skopiować na pański użytek jego treść.

- Dziękuję, mój drogi. Jesteś jak zwykle niezawodny. Pozwól, że udam się teraz do swego gabinetu.

Blackthorn ruszył wzdłuż korytarza, odczytując po drodze zwięzłą wiadomość:

Łajdak i zuchwalec jakich mało! Wybaczcie mu tę zniewagę i spełnijcie jego zachciankę. W gruncie rzeczy jest nieszkodliwy. Tak czy inaczej, przy najbliższej sposobności zmyję mu głowę, że popamięta. Do zobaczenia w sobotę, w zwykłym miejscu o zwykłej porze. Dostaliśmy nowe zadanie. J.B.

Robin zachichotał pod nosem i cisnął liścik do kominka.

- Ach, Jack, bracie, wprost nie mogę się doczekać kolejnego spotkania...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lady Letycja Hackett została właścicielką okazałego domu przy renomowanej Berkeley Square za sprawą babki ze strony matki. Zapobiegliwa starsza pani podarowała go wnuczce zamiast posagu. Obwarowała przy tym zapis licznymi kruczkami prawnymi, tak aby jej rozrzutny zięć i ojciec Letycji w jednej osobie - pożałowania godny szuler i hulaka - nie zdołał przejąć spadku i spieniężyć go w celu uregulowania swych niezliczonych karcianych długów.

Plan zaradnej seniorki rodu okazał się w pełni skuteczny, ale i fatalny w skutkach. Nie mogąc uszczknąć ze schedy córki ani pensa, rzeczony rodzic Letycji, hrabia Mentmore, musiał ratować nadszarpnięty budżet inaczej. Najprościej było sprzedać jedynaczkę, jej tytuł oraz nieskazitelny rodowód odpowiednio zasobnemu konkurentowi - komuś, kto gotów był słono za nie zapłacić. Najwyższą ofertę złożył pewien kupiec, który za wszelką cenę pragnął wdrzeć się na salony. W ten oto sposób lady Hackett stała się posiadaczką grubiańskiego i nieokrzesanego męża o zgnuśniałym mieszczańskim umyśle. Tylko prawdziwy półgłówek mógł sądzić, że zdoła wkupić się w łaski socjety dzięki swoim przepastnym kieszeniom.

Żywot Letycji nie był usłany różami, ale lady Hackett znosiła wszelkie przeciwności losu z podniesionym czołem... albo z kieliszkiem w ręku. Tak czy owak, opierała się przemożnej zgryzocie wyłącznie dla Reginy - swej jedynej latorośli i jedynej pociechy. Córka była dla niej prawdziwym darem niebios.

Obie damy zaszyły się w buduarze pani domu. Czuły się bezpieczne, jako że Reg Hackett nigdy tam nie zaglądał. Unikał tego miejsca jak ognia, podobnie zresztą, jak i sypialni żony. Ostatnim razem, kiedy zebrało mu się na amory, a nie miał ochoty opuszczać domowych pieleszy, aby udać się do kochanki, z którą uwił gniazdko przy Piccadilly, postanowił odwiedzić małżonkę. Niewiele brakowało, a przypłaciłby to życiem. Nieczuła sekutnica wygrzebała spod poduszki pistolet i bez mrugnięcia okiem odstrzeliła mu kawałek ucha.

Zrobiła to ze zdumiewającą precyzją. Gdyby była trzeźwa, na pewno by chybiła.

Pokoju córki także nie odwiedzał. Przez całe życie używał umysłu w jednym tylko celu: do obmyślenia kolejnych oszustw, kradzieży i kłamstw, które miały mu pomóc zbić majątek i choć dopiął swego, nikt przy zdrowych zmysłach nie miał szczególnie wysokiego mniemania o jego intelekcie. Reg był jednak wystarczająco rozgarnięty, aby wiedzieć, że Regina szczerze nim pogardza.

Prawdę mówiąc, niewiele sobie z tego robił. Niewdzięczna pannica nie była dlań niczym więcej niż kolejnym towarem na sprzedaż, tak jak indyjskie jedwabie, które kupował za bezcen, a potem wciskał po zawyżonych cenach najprzeróżniejszym idiotom. O to właśnie szło w interesach. Niegdyś kupił sobie dobrze urodzoną damę i jej tytuł, a teraz odzyska część poniesionych kosztów zbywając jej potomstwo.

Dziewczyna była nawet całkiem ładna, pod warunkiem że trzymała język za zębami. Niepoślednia uroda niewątpliwie podnosiła jej potencjalną wartość, a Reg miał spore ambicje i mierzył wysoko. Zamierzał spowinowacić się dzięki córce z jednym z najznamienitszych rodów Anglii. Jakie to szczęście, że nie urodziła się chłopcem. Chłopcem nie utargowałby zbyt wiele, a Regina przy odrobinie szczęścia mogła mu złowić jakiegoś hrabiego, ba, może nawet księcia, choć to raczej mało prawdopodobne. Ale nie ma co narzekać. Jeśli człowiek urodzi się w rynsztoku, a mimo to pewnego dnia będzie mógł nazywać zięciem hrabiego, to znaczy, że osiągnął wiele. Więcej, niż można by oczekiwać.

Hackett nie mylił się co do urody swego jedyne dziecko. Gdyby nie maleńki pieprzyk po lewej stronie tuż nad górną wargą, Regina w ogóle nie byłaby do niego podobna. Można by pomyśleć, że przyszła na świat bez jego udziału. Wyglądała wypisz wymaluj jak młodsza kopia matki. Miała ciemne, niemal czarne lśniące włosy poprzetykane tu i ówdzie rudymi pasmami i niesamowite, lazurowo niebieskie oczy oprawione długimi rzęsami oraz idealnie wykrojonymi brwiami. Do tego prosty arystokratyczny nos, przy którym nos królowej Charlotte prezentował się jak suszona śliwka w bożonarodzeniowym puddingu.

Tak, jego córka była piękna. I oziębła, zupełnie jak jej rodzicielka. Ale czegoż więcej mógł się po niej spodziewać? Jak mawiają, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Byle

tylko dobrze się prowadziła, przynajmniej do czasu, aż wyda ją za jakiegoś paniczyka z tytułem.

- Obróć się dookoła, serdeńko. Zrób to dla mnie - odezwała się lady Hackett, unosząc dłoń, w której trzymała nieodłączny kieliszek. - To twój pierwszy sezon. Nie możemy sobie pozwolić na zbyt odważny dekolt.

Regina przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze i położywszy ręce na gorsie, podciągnęła w górę brzeg sukni. Mama zawsze była zażenowana dość okazałymi rozmiarami jej biustu. Pewnego razu oznajmiła otwarcie, że wytwornej damie zwyczajnie nie przystoi mieć dużych piersi, bo te jak wiadomo są oznaką niskiego pochodzenia. Letycja nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że córka odziedziczyła tę część anatomii po babce ze strony ojca.

Panna Hackett nie miała okazji poznać babki, jako że ta zmarła na długo przed jej narodzinami. Ilekroć jednak zrobiła coś, co nie przypadło do gustu jej rodzicielce, nieodmiennie słyszała, że to wina „złej krwi”, którą przekazali jej ojciec oraz jego protoplastka. Kiedy jako niesforna pięciolatka Reggie stłukła ulubioną porcelanową figurkę matki, miała na to doskonale, jak jej się zdawało, wytłumaczenie. Oświadczyła mianowicie, że to nie ona, lecz babcia Hackett wyrządziła szkodę. Mama, o dziwo, nie była usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem.

- Dekolt jest w sam raz - powiedziała dla pewności, przygarbiając nieco ramiona. - Wyglądam niemal znośnie.

- Znośnie?! - zapaliła się Letycja, wymachując kieliszkiem. - Też mi coś! Wyglądasz doskonale, moje dziecko. Nikt nie ma prawa twierdzić inaczej. Niech no tylko spróbują, a będą mieli ze mną do czynienia. Twoje drzewo genealogiczne sięga korzeniami czasów...

- Tak, tak, pamiętam, piętnastego stulecia. Za to nasza rodzinna fortuna zapewne przeszła do historii zaledwie w ubiegłym tygodniu, kiedy papa był zmuszony spłacić kolejne karciane zobowiązania dziadka Geoffreya i stryja Seta, aby uchronić ich przed niechybnym wtrąceniem do więzienia za długi.

Lady Hackett nadała się i sięgnęła po karafkę.

- Wiedz jedno, moja panno - obwieściła z godnością. - Impertynencji z całą pewnością nie dostałaś w spadku po moich antenatach. I bardzo ci do twarzy w niebieskim. Znakomicie podkreśla błękit twoich oczu. A skoro o oczach mowa, pamiętaj, aby trzymać je skromnie spuszczone, razem z podbródkiem, jak przystało wstydlivej debutantce. Nic tak nie rozbudza męskiej wyobraźni jak nieśmiałość niewinnej panny na wydaniu.

- Dalibóg, nie pojmuję dlaczego. Moim zdaniem nudzi ich to do granic wytrzymałości. Dziękuję, Hanks. - Regina uśmiechnęła się do pokojówki, która zapięła jej na szyi sznur pereł. Potem podeszła do matki i pochyliła się, aby ucałować ją w błądy policzek. Wstrzymała przy tym oddech, Letycja miała bowiem zwyczaj wylewać na siebie flakon perfum. Sądziła, że zdoła w ten sposób stłumić woń alkoholu, którą nieodmiennie wokół siebie roztaczała. Niestety, jej wysiłki przynosiły opłakany efekt. - Za chwilę zjawią się ciotka Claire i Miranda. Zejdę na dół, żeby je przywitać. Poradzisz sobie sama?

Lady Hackett zerknęła wymownie na karafkę.

- Nie jestem sama. Mam towarzystwo.

Reggie otworzyła usta, żeby udzielić matce reprimendy, ale doszła do wniosku, że byłby to daremny trud. Zamiast strzepić sobie język, spojrzała ukradkiem na służącą. Hanks mrugnęła porozumiewawczo i skinęła głową. A zatem wino zostało rozcieńczone. Letycja jak dotąd ani razu nie odkryła zmyślnego fortelu córki. Na szczęście, już po pierwszej flasce jej podniebienie zazwyczaj przestawało wyczuwać różnicę pomiędzy przednim trunkiem i rozwodnionym sikaczem.

- W takim razie, zostawiam cię, mamo. Miranda wspominała, że gospodyni dzisiejszego wieczoru podaje wyśmienite desery. Wezmę największą torebkę, jaką mam w szafie, może uda mi się przemycić w niej jakiś smakołyk dla ciebie.

Lady Hackett wyraźnie się rozchmurzyła.

- Och, tak, serdecznie! Przynieś mi koniecznie kilka cytrynowych ciasteczek. Są wyborne. Kucharka lady Montag jest niezawodna. To prawdziwa mistrzyni wypieków.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, abys poszła z nami. Może jednak dasz się namówić?

- Panna Hackett uważała, że matce wyszłoby na zdrowie, gdyby zaczęła nieco częściej bywać w towarzystwie. Wprawdzie u boku Mirandy nie sposób było się nudzić, niemniej

kuzynka bywała wyjątkowo nierozważna i miała skłonności do popadania w tarapaty. Regina nie raz i nie dwa odciągała ją podczas przyjęcia od jakiegoś przystojnego oficera bez grosza przy duszy. Na szczęście, Randy była dość przewidywalna i zazwyczaj chowała się ze swymi absztyfikantami za donicą z najbardziej rozłożystą palmą.

- Och nie ma potrzeby, abym ruszała się z domu - westchnęła Letycja. - Szkoda zachodu. Poza tym ufam twojej ciotce. Jestem przekonana, że doskonale sprawdza się w roli przyzwoitki. No, zmykaj już, dziecino, nie każ im na siebie czekać. To wielce nieeleganckie. Hanks i ja wytrzymamy te kilka godzin bez ciebie. Nieprawdaż, Hanks?

- Tak jest, jaśnie pani - odparła, dygnawszy, pokojówka.

Regina posłała jej ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, po czym zeszła na dół. Kiedy dotarła do foyer, lokaj poinformował ją, że imponujący powóz Mentmore'ów zajechał właśnie przed dom. Mentmore'owie weszli w jego posiadanie zupełnie niedawno. Zakupił go dla nich i wyposażył w rodowy herb nie kto inny, jak Reginald Hackett. Zastrzegł przy tym, że będą mogli korzystać z niego do woli, lecz tylko pod warunkiem że pojazd pozostanie także do dyspozycji jego córki.

Hackettówna wyszła na ulicę, by po chwili zasiąść na wygodnej kanapie obok Doris Ann, pokojówki panny Mentmore.

- Spóźniłam się czy to wy przyjechałyście za wcześnie? - zapytała, spoglądając z ukosa na krewną. Spostrzegłszy, że Miranda jest sama, zmarszczyła brwi. - Randy? Gdzie ciocia Claire? Dlaczego jej z tobą nie ma?

Burnhamówna skwitowała jej pytanie perlistym śmiechem. Nie wiedzieć czemu niemal wszyscy z wyjątkiem Reginy uważali jej irytujący rechot za uroczy. Nim się odezwała, poprawiła dłonią piękne złote loki. W skrytości ducha Reggie ogromnie jej ich zazdrościła. Ciemnobrązowe włosy, takie jak jej własne, nie były niczym nadzwyczajnym, miała je co druga dziewczyna w Londynie, za to tylko nieliczne panny mogły się pochwalić wzbudzającymi zachwyty pszenicznymi warkoczami oraz alabastrową cerą, które jak wiadomo nigdy nie wychodziły z mody. Na dobitkę Randy była osobką filigranowej postury i nie musiała wstydić się nazbyt obfitego biustu. Jej klatka piersiowa wydawała się niemal zupełnie płaska.

- Och, mama postanowiła spędzić wieczór w pieleszach - oznajmiła Miranda, z trudem zachowując powagę. - Uznała, że skoro towarzyszy nam ciotka Letycja, nic złego nie może się zdarzyć. - Klasnęła w dłonie i zachichotała jak mała dziewczynka, której udała się jakaś szczególnie zmyślna psota.

Panna Hackett zgromiła ją spojrzeniem.

- To nie jest zabawne, Randy. Moja matka jest przekonana, że zostawiła mnie pod opieką bratowej. Powiedziałam jej, że jedzie z nami ciocia Claire!

- Phi, też mi coś. Nie wierzę, że nigdy wcześniej nie okłamałaś swej szanownej rodzicielki. A nawet jeśli istotnie jeszcze tego nie zrobiłaś, to najwyższa pora spróbować. Zresztą o co tyle krzyku? Ciocia Letty i tak nie pamięta połowy z tego, co się do niej mówi. Spożywanie nadmiaru trunków nie sprzyja koncentracji... Och, znów popełniłam gafę. Wybacz, moja droga... Wiesz, że czasem paplę trzy po trzy, zupełnie bez zastanowienia...

- Czasem? - zadrwiła Regina. - Odnoszę wrażenie, że nigdy nie zastanawiasz się nad tym, co robisz. A już na pewno nie myślisz o konsekwencjach swoich nieroztropnych uczynków. Ciekawa jestem, co też strzeliło ci do głowy tym razem? - Splotła dłonie na kolanach i westchnęła. - Uprzedzam, jeśli mi natychmiast nie powiesz, dokąd zmierza powóz, będę zmuszona poprosić stangreta, żeby zawrócił na Berkeley Square.

- Na miłość boską, nie! - Przeraziła się Burnhamówna. - Nawet o tym nie myśl. Nie mogę przecież bywać na salonach w pojedynkę. To niestosowne i źle widziane. Wciąż narzekasz, że nikt cię nie zauważa, a potencjalni konkurenci zabiegają nie o ciebie, lecz o majątek twego papy, zupełnie jakbyś miała wypisane na twarzy, ile staruszek przeznaczył ci na poczet posagu. Cóż, ciebie chcą przynajmniej dla pieniędzy, mnie tymczasem nie zechce nikt, w każdym razie nikt przy zdrowych zmysłach. Mój ociec i dziadek noszą wprawdzie tytuły hrabiowskie, ale jakież to ma znaczenie w obliczu pożałowania godnej kondycji ich kiesy? Cały Londyn mówi o tym, że są biedni jak mysz kościelna. Jeśli do końca sezonu nie zakocha się we mnie na zabój żaden arystokrata, prawdopodobnie wydadzą mnie za jakiegoś kupca, tak samo jak niegdyś twoją mamę. Przypuszczam jednak, że mój mieszczański mąż nie będzie nawet w połowie tak majątny jak wuj Reginald, za to niewątpliwie dorówna mu w kwestii grubiaństwa tudzież braku ogłady. Nie dziw się

tedy, że zanim spotka mnie ów smutny los, chcę odrobinę użyć żywota. Miej także na względzie, że knułam misterny plan dzisiejszego wieczoru przez całusieńki tydzień. Doris Ann, pokaż panie Hackett, co mam na myśli. - Skinęła na pokojówkę, która sięgnęła po stojącą na podłodze płócienną torbę. - Po cóż niby miałybyśmy ziewać z nudów podczas jakiegoś mało zajmującego recitalu, skoro możemy pójść na bal? I to nie byle jaki bal.

- Na bal? - zdumiała się Regina. - Nie jestem odpowiednio ubrana na... - urwała w pół zdania. - A to znowu co takiego?

- Nasze domina* - oznajmiła z dumą Randy, rozpościerając przed kuzynką płachtę szmaragdowozielonego jedwabiu.

** Domino - dawniej płaszcz (peleryna) z kapturem używany jako strój maskaradowy; także: osoba ubrana w taki strój (przyp. tłum.).*

Służąca podała Reginie niemal identyczny płaszcz w kolorze rubinu.

- Maseczki, Doris Ann, pokaż panience maseczki!

Po chwili panna Hackett trzymała w dłoniach wyszywane ozdobnymi kamieniami maski balowe. Zakrywały połowę twarzy i były cokolwiek frywolne.

- Zobacz, zawiązuje się je z tyłu głowy tymi satynowymi wstążkami - poinformowała panna Mentmore. - Obie są prześliczne, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym tę zieloną.

- Podoba mi się - pochwaliła Reggie. - Wyglądasz w niej jak kotka. Za to moja jest cała... biała...

- To nie biel, lecz kość słoniowa, moja droga - poprawiła ją kuzynka. - Przypomina moją, z tym że zakrywa nos. Spójrz tylko na tę koronkę, czyż nie jest boska? A perełki i kwiatuszki? Toż to istne cudenka. Nie krzyw się, Reggie. Jest prześliczna!

Regina przyjrzała się ponownie masce. Rzeczywiście, przyszyto do niej trzy satynowe pączki róż. Dwa po bokach i jeden pośrodku. Wzdrygnęła się, pomyślawszy, że będzie go miała na czole, i bez zastanowienia oderwała nieszczęsne różyczki.

Randy zaczęła protestować, lecz po chwili posłała jej szeroki uśmiech.

- Zatem zgadzasz się?! I pojedziesz ze mną, prawda?

Hackettówna zerknęła na nieobyczajnie purpurowy płaszcz i zawahała się.

- Ponoć dzisiejsze bale maskowe nie cieszą się dobrą sławą. Raczej nie powinnyśmy się na nich pokazywać.

- Ależ z ciebie głuptas. Oczywiście, że współczesne maskarady w niczym nie przypominają maskarad dawnych lat. Z pewnością nie spotkasz na nich ani jednej statecznej matrony, co akurat ma swoje zalety. Tak czy owak, gdyby było inaczej, nie musiałabym czynić podchodów i wykradać zaproszenia z gabinetu brata. Justin przebywa chwilowo poza miastem i nie może pójść osobiście, pomyślałam więc, że zajmiemy jego miejsce. Nie będzie chyba miał nam za złe, że wyręczyliśmy go w pełnieniu towarzyskich powinności? Poza tym grzechem byłoby zmarnować taką okazję, czyż nie? Możesz być spokojna. Przyjęcie wydaje lady Fortesque. Justin wspominał o niej kilka razy. Z tego, co mówił, możemy liczyć na to, że wszystko odbędzie się w granicach rozsądku.

Regina przesunęła dłoń po jedwabnym dominie. Jaskrawa czerwień? Niewinne panienki z dobrych domów nie noszą jaskrawych kolorów i nie zakrywają twarzy maskami. Nie bywają też na przyjęciach pozbawione opieki rodzica lub przyzwoitki.

- Co się właściwie dzieje podczas owych maskarad? - zapytała ostrożnie. - Nie bardzo wiem, czego się spodziewać.

Kuzynka wzruszyła ramionami.

- Pojęcia nie mam. Nigdy na żadnej nie byłam. Przypuszczam, że wszyscy chowają się za maskami, do chwili, aż gospodarz obwieści, że nadszedł moment, aby odsłonić oblicza. Ale nie martw się. Nas już tam wówczas nie będzie, zatem nie będziemy musiały się ujawniać. Za to wcześniej... - zawiesiła głos, zapewne tylko po to, by podnieść dramaturgię - Cóż, nikt nie pozna naszej tożsamości, a to oznacza, że będziemy mogły robić, co nam się żywnie spodoba! No, zgódź się, Reggie, będziemy tańczyć i flirtować do woli!

W tym miejscu Regina doszła do wniosku, że żywot debutantki jest niesłychanie nudny. I niewątpliwie właśnie taki ma być z założenia. Z góry wiadomo, że będzie nużące i nieciekawie, w związku z tym każda bez wyjątku panna na wydaniu pragnie najprędzej znaleźć męża i mieć sprawę z głowy. Jako Hackettówna - latorośl poświęconej na ołtarzu mamony arystokratki oraz nieakceptowanego w towarzystwie mieszczańskiego

ordynusa - Reggie zaznała w życiu niejednego upokorzenia. Pogardliwe, czy wręcz wrogie spojrzenia, złośliwe insynuacje tudzież zbulwersowane mamusie, które odciągają swych szlachetnie urodzonych synków jak najdalej od niej, nie były dla Reginy niczym nowym. Była zamożna, ale traktowano ją niczym zadżumioną i na każdym kroku dawało jej odczuć, że z racji swego pochodzenia powinna czuć się gorsza od innych. Jakiegokolwiek względy okazywali jej wyłącznie zubożali lordowie, których podupadłe włości potrzebowały ratunku w postaci fortuny Reginalda Hacketta. Tych ostatnich unikała z kolei sama panna Hackett, co nieodmiennie wprawiało w złość jej szanownego papę z wielkimi aspiracjami.

Propozycja niepoprawnej kuzynki wydała jej się raptem nader kusząca. Móc tańczyć i flirtować bez obawy, że znów spotka ją ostracyzm? O tak, jej miłość własna zostanie mile polechtana. Nie będzie dziś córką napuszonego kupca i zgorzkniałej wiecznie podpitej lady Letycji. Przez kilka godzin będzie sobą. Zapowiadała się przednia zabawa.

Panna Burnham wyczuła niezdecydowanie krewnej i postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Nikt nas nie rozpozna - przekonywała z przejęciem. - Peleryny szczelne zakryją nasze suknie. Znalazłyśmy je z Doris Ann na strychu. Na szczęście, odkąd je przewietrzyłyśmy, prawie nie czuć od nich kamforą. I pomyśleć, że moi rodzice byli kiedyś na tyle młodzi, by je nosić. Całe wieki temu, jak sądzę. Aż trudno w to uwierzyć. Dobrze, że papa jest taki niski, a ty taka wysoka jak na kobietę. Dzięki temu jego płaszcz będzie na ciebie w sam raz. Słyszałam, że niektórzy zamiast nudnego domina i maseczki włożą prawdziwe kostiumy. Będą rycerze, pastereczki i inni przebierańcy. Kto wie, może spotkasz samego diabła, który skradanie ci pocałunek, gdy wybije północ? Czyż to nie ekscytujące?

- Żadna z nas nie pozwoli się nikomu całować - rzekła apodyktycznie Regina, odwracając głowę, tak aby Doris Ann mogła zawiązać jej z tyłu maskę. - A już na pewno nie jakiemuś czartowi z piekła rodem. Zostaniemy nie dłużej niż godzinę, a potem pokażemy się na recitalu u lady Montag. Na wypadek gdyby twoja lub moja matka przypadkiem ją spotkały. Powiemy, że spóźniłyśmy się z powodu jednego z naszych koni, który niespodziewanie okulał. Ponadto nie odstąpisz mnie ani na krok, zrozumiano? - Spojrzała

groźnie na kuzynkę. - Będziemy się rozdzielać tylko na czas tańca. Nie mam ochoty znów cię szukać. Zgoda?

- Dobrze, już dobrze - odparła zajęta wkładaniem peleryny Miranda. - Zgadzam się, na co tylko zechcesz.

- I jeszcze jedno, moja droga. Jeśli zostaniemy przyłapani, powiem, że to wszystko twój pomysł i że najzwyczajniej w świecie mnie porwałaś.

- Ależ Reggie, nie zrobisz mi tego!

- Cóż, zastanowię się. Przypominam ci tylko, że podczas jednej z moich wizyt w Mentmore oskarżyłaś mnie o to, że wepchnęłam cię do stawu.

- Ha! Pamiętam to doskonale! - roześmiała się Randy. - Uwierzyli mnie, a nie tobie. To dlatego, że wyglądam tak słodko i niewinnie, ty natomiast... zresztą nieważne.

- Nieważne? O nie, tak łatwo się nie wywiniesz. Jak niby wyglądam? Mów.

Burnhamówna spuściła wzrok i splotła nerwowo palce.

- Mama powiada, że odrobinę... dekadenccko, papa że egzotycznie, a Justin...

- Justin? A to dobre. Śmiało, coś takiego mówi mój kuzyn idiota?

- No... twierdzi, że wyglądasz jakbyś była... gotowa. Nie patrz na mnie z takim wyrzutem. Pojęcia nie mam, co to właściwie znaczy, w każdym razie mama zabroniła mi przy mnie tak mówić. Lepiej dajmy już temu pokój i chodźmy. Skoro mamy tylko godzinę, wykorzystajmy ją jak najlepiej.

- Zdaje się, że mam kolejny powód, aby obwiniać o coś babcię Hackett - utyskiwała Regina, zawiązując pod szyją troczki płaszcza. - Niebawem trudno mi będzie zliczyć ułomności, które przekazała mi tak szczodrobliwie wraz ze swoją drobnomieszczańską krwią. - Okryła włosy kapturem i obejrzała się na kuzynkę. - Możemy ruszać. Teraz jestem... gotowa.

Jasne włosy Pucka spływały miękko na ramiona właściciela, zakrywając skutecznie tasiemki podtrzymujące maskę - maskę, którą wykonał dla Goodfellowa, zresztą według jego własnego projektu, właściciel najsłynniejszej paryskiej pracowni kostiumów teatralnych.

Pasowała jak ulał, niewątpliwie dzięki temu, że Robin dostarczył mistrzowi idealny odlew swojej twarzy. Zakrywała prawie całą jego fizis, to jest czoło, nos i policzki. Po-

zbawiona wszelkich ozdób, koronek i błyskotek, była surowa, a zarazem piękna w swej prostocie. Robiła oszałamiające wrażenie głównie za sprawą kunsztownego malowidła, którym ukraszono jej gładką powierzchnię. Za inspirację owego malowidła posłużyło koło świętej Katarzyny*. Z usytuowanej pomiędzy brwiami piasty rozchodziły się na boki długie szprychy, te z lewej strony pomalowane na złoto, te z prawej dla kontrastu hebanowo czarne.

* Mowa o kole, służącym w epoce średniowiecza za narzędzie tortur. Alternatywna nazwa „koło świętej Katarzyny” związana jest z legendą, dotyczącą kaźni Katarzyny Aleksandryjskiej (święta Kościoła katolickiego i prawosławnego). Otóż w momencie, gdy Katarzyna dotknęła koła podczas egzekucji, narzędzie pękło rzekomo właśnie za sprawą jej dotyku. W rezultacie męczennica została stracona poprzez ścięcie (*przyp. tłum.*).

Spod owej finezyjnej zasłony widać było jedynie szerokie usta, szczupły podbródek oraz parę roześmianych zielononiebieskich oczu. Efekt był iście piorunujący. Blackthorn przyciągał spojrzenia jak magnes przyciąga szpilki. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanował.

Reszta jego odzienia została, rzecz jasna, także starannie dobrana. Od stóp do głów spowijała go głęboka czerń, od koronkowych mankietów począwszy, na kamizelce skończywszy. Podszyty złotymi nićmi, sięgający kolan surdut, uzupełniały szykowna laska z rękojeścią w kształcie złotego węża oraz fular z rubinem wielkości gołębiego jaja. Stroju dopełniał muszkieterski kapelusz z nieodzownym zawadiackim piórem.

Gdy jeszcze w Paryżu Puck przywdział ów wyszukany kostium po raz pierwszy, tamtejsza socjeta jednomyślnie oniemiała z zachwytu. Znaleźli się naturalnie i tacy, którzy okazywali swój podziw na głos. Zwłaszcza pewna urocza dama, lady de Balbec, przypomniał sobie z uśmiechem. Zaklinała go, aby nie zdejmował maski i nie nastawał na jej cnotę, choć sama pozbawiła go wcześniej calusieńkiej garderoby. Dalibóg, kobiety miewają czasem dość nedorzeczne pomysły i zapewne właśnie dlatego tak trudno się im oprzeć.

Rozejrzał się dookoła, choć dokładnie wiedział, czego się spodziewać. Uczestnicy maskarad zazwyczaj nie wykazywali się szczególną inwencją w kwestii doboru kostiumów. Tym razem nie było inaczej. Na sali roilo się od bezbarwnych domin, rogatych Belzebubów, dostojnych monarchów, smutnych arlekinów, mleczarek, pasterczek oraz

błaźnów. Nuda i kompletny brak fantazji, podsumował w duchu. Jakżeby inaczej. Cóż, przynajmniej natychmiast rzucał się w oczy i wzbudzał powszechne zainteresowanie. Prawdę mówiąc, tylko po to tutaj przyszedł. Po cóż innego miałby zawracać sobie głowę?

Wypatrzwszy w tłumie swoich „protektorów”, ruszył rażno w ich stronę. Baron Henry Sutton miał na sobie czarną pelerynę i czarną maskę, co dowodziło oczywistego braku polotu, zaś jego towarzysz, Richard Carstairs, wcielał się dziś w rolę nadwornego głupca.

Goodfellow zarzucił sobie na ramię połę płaszcza i skłonił się przed nimi, wymachując dwornie kapeluszem.

- Panowie, to dla mnie wielki zaszczyt...

- Oto i nasze ulubione dziecię grzechu - mruknął złośliwie baron. - Zaszczyt! A to dobre. Przeszedłeś samego siebie, Blackthorn. Cóż to za kuriozalne przebranie, do diaska?

- Raczy pan mieć na myśli mój wyrafinowany kostium? - odparł Robin, teatralnym gestem poprawiając mankiety. - Nazywam go „Grzechem nocy letniej”. Nie wiedzieć czemu, wszystko nieodmiennie kojarzy mi się z grzechem. Przypuszczam, że to z powodu niechlubnych okoliczności mego poczęcia.

- Słusznie prawi, Henry - stwierdził łaskawie Dickie. - Coś bez wątpienia jest na rzeczy. Wygląda dość złowieszczo. Możemy już się stąd zabierać? Te piekielne dzwoneczki u czapki, przyprawiają mnie o ból zębów. Tylko mi nie mów, że musimy go komuś przedstawić.

- Obawiam się, że to główny cel naszej dzisiejszej wizyty - odpowiedział Sutton, omiatając wzrokiem wypełnioną po brzegi salę.

Robin podążył za jego spojrzeniem. Pomieszczenie zostało podnajęte specjalnie na tę okazję. Nawet słynąca ze złej reputacji lady Fortesque nie odważyłaby się bowiem wydać takiego przyjęcia we własnym domu przy Portland Square. Trzeba przyznać, że niezwykle zmyślnie porozstawiała parawany i donice z ogromnymi palmami. Goście, których najdzie chęćka na amory, bez trudu znajdą tu niejedną ustronną kanapę.

Przebrani za satyrów służący uwijali się jak w ukropie, roznosząc trunki. Cóż, alkohol z całą pewnością doda odwagi tym, którym nie wystarczy ukrywanie prawdziwego oblicza pod maską. O to chodziło w całej tej maskaradzie. Każdy chciał pozostać anonimowy.

- Zaczniemy od Henryka Tudora* - zarządził Henry, nachylając się do ucha Goodfellowa. - W rzeczywistości to wicehrabia Bradley. Nie musiał nawet wypychać sobie słomą kubraka, bo jak widzisz, własnego sadła ma pod dostatkiem. Idę za to o zakład, że aby pogrubić tyczkowate łydki, wypchał pończochy trocinami albo Bóg wie czym jeszcze. Jegomość ma bzika na punkcie koni, jeśli chcesz wiedzieć.

* Określenie Henryk Tudor może się odnosić do Henryka VII Tudora lub jego syna Henryka VIII. Autorka ma prawdopodobnie na myśli Henryka VIII, który pod koniec życia był monstrualnie otyły (przyp. tłum.).

- W istocie to bardzo cenna informacja - stwierdził z kamienną powagą Puck. - Od dawna myślę o nowej stajni. Nie omieszkam zwrócić się do niego po poradę. Kim jest jego kompan?

- Och, to Will Browning - szepnął Richard. - Cieszy się niezwykłą popularnością, zwłaszcza wśród płci pięknej. Gdyby zaakceptował cię jako przyjaciela, mógłbyś przynajmniej pocieszyć się znajomością licznych cór Koryntu, ale nie łudziłbym się na twoim miejscu. Willy nie ma wprawdzie tytułu, lecz to wciąż za wysokie progi na twoje nogi, Blackthorn.

- Niezgorszy z niego awanturnik - dodał Henry. - Wciąż się z kimś strzela, ogrywa ludzi w karty albo skacze przez płoty, wykradając się ukradkiem z buduarów cudzych żon. Jego największą dumą jest jednakowoż niespotykana biegłość w sztuce fechtunku.

Robin przyjrzał się z uwagą smukłej, lecz atletycznej sylwetce nieznajomego.

- Fechtuje, powiadają panowie? Hm... interesujące... Może zatem zaproponuję mu małą przyjacielską potyczkę?

- Przednia myśl - zakpił baron. - Zamiast nam się naprzykrzać, będziesz przykuty do łóżka lizał rany. Ale dość już tego gadania, ruszajmy i miejmy to wreszcie z głowy.

W ciągu następnych dwudziestu minut Blackthorn został oficjalnie przedstawiony ni mniej, ni więcej niż dziesięciu dżentelmenom z „wytwornego” towarzystwa. Dwóch z

nich ostentacyjnie go zignorowało, trzech innych uściśnęło mu dłoń, trzej kolejni, jako że służyli niegdyś z Beau, nie kryli zadowolenia ze spotkania z bratem dawnego towarzysza broni. Wicehrabia Bradley, jak się okazało, uczęszczał z ojcem Robina do Eton, nie miał więc nic przeciwko wspólnej wizycie w Tattersalls, największym domu aukcyjnym w Irlandii. Pan Browning z kolei przystał ochoczo na propozycję pojedynku szermierczego. Zmierzywszy Goodfellowa od stóp do głów, oznajmił bez żenady, że z największą przyjemnością porachuje mu kości.

Puck rzecz jasna nie uznał za stosowne poinformować biedaka o tym, że kształcił się w słynnej *Académie d'Armes de Paris* u niedoścignionego mistrza Moteta. Niektóre rzeczy lepiej trzymać w zanadrzu...

Nuda, pomyślał, z trudem powstrzymując ziewnięcie, po czym zerknął na Dickiego i Henry'ego.

- Nie wierzę, że tak znamienite osobistości jak wy, drodzy panowie, nie znają żadnych intrygujących dam... Nie proszę naturalnie, abyście przedstawiali mnie, niegodnego bękarta, swoim żonom czy siostram, które tak czy owak, w żadnym razie nie zaszczyliłyby swoją obecnością tego szemranego zgromadzenia, ale czy nie znajdzie się tu choćby jedna łaskawa niewiasta, która ulituje się nade mną i zaprosi mnie na przyjęcie w swoim domu?

- Lady Fortesque - podsunął Richard, wlewając w siebie kolejny kieliszek złocistego trunku. - Ale ją już zapewne poznałeś. Jeśli się uważnie rozejrzemy, na pewno znajdziemy gdzieś Harriet Wilson, jej siostry oraz kilka innych znanych kokot. Są też pewno niektóre poślednie aktoreczki i śpiewaczki z Covent Garden. Jeżeli naszła cię ochota, żeby odrobinę pobaraszkować, powiadam ci, nie masz nic lepszego niż aktorka. Te najlepsze udają tak przekonująco, że człek gotów jest uwierzyć, iż rzeczywiście znajdują przyjemność w... - urwał gwałtownie, gdy przyjaciel bez ceregieli szturchnął go łokciem w żebro.

- No co? - stęknął Carstairs, masując obolały bok. - Że niby mówię nieprawdę?

- Matka Jacka jest aktorką, kapuściana głowo - rzekł z przyganą Henry, po czym zwrócił się do Goodfellowa: - Wybacz, Blackthorn. Mój zacny przyjaciel, zdaje się, zostawił rozum w domu. Co się zaś tyczy twego pytania, cóż, lady Fortesque najwyraźniej

ograniczyła się do zaproszenia samych mężczyzn, po czym wystarała się o „odpowiednie” dla nich towarzystwo, jeśli wiesz, o co mi idzie. Ale to wyłącznie łatwa zdobycz, obawiam się, że żadnej innej tu dziś nie znajdziesz.

- W rzeczy samej - zgodził się Robin. - Zauważyłem, że panów jest znacznie więcej niż pań.

- Już za chwilę będzie o dwóch mniej - zripostował baron. - Ale jestem pewien, że wraz z porą zamknięcia teatrów liczba pań raptownie wzrośnie. Nietrudno odgadnąć, do jakiego finału zmierza ta impreza. Pozwól zatem, że się oddalimy. Wrodzona przyzwoitość nie pozwala nam bowiem przyglądać się ostentacyjnej rozpuście - z tymi słowy, Sutton skłonił się i rzucił na pożegnanie: - Bywaj, Blackthorn. Udanego wieczoru na łonie londyńskiej socjety w jej najnikczemniejszej odsłonie.

Goodfellow popatrzył za kompanami, gdy przeciskali się ku wyjściu.

Carstairs jak zwykle zamasyście gestykulował, baron zaś objaśniał mu z anielską cierpliwością, na czym polegała niewybaczalna gafa, którą przed momentem popełnił. Puck uznał w duchu, że Dickie nadaje się wyłącznie do czarnej roboty. Podczas gdy Henry i Jack nie ustawiali w wysiłkach, by „oczyścić społeczeństwo z niepożądanego elementu”, on mógł parać się jedynie staniem na czatach, powożeniem, ewentualnie kopaniem dołów. Bardziej skomplikowane tudzież wymagające myślenia zadania w jego wypadku nie wchodziły w rachubę. Biedny Richard...

Za to jego przyjaciel Henry to zupełnie inna historia... Trzeba przyznać, że baron niezwykle celnie podsumował wysiłki gospodyni dzisiejszego wieczoru. Nieuchronna pointa tej maskarady była tak oczywista, że aż banalna. Wypadałoby pójść w ślady znajomków i czym prędzej się ulotnić. Udział w anonimowej orgii zwyczajnie do niego nie przemawiał. Robin nigdy nie narzekał na brak damskiego towarzystwa. Nie musiał nawet szczególnie o nie zabiegać. Prawdopodobnie dlatego nie uznawał zasady „od przybytku głowa nie boli”. Nie miał najmniejszej ochoty zabawiać się z aktorkami. Doskonale wiedział, do czego prowadzi taki brak rozwagi.

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach odwrócił się gwałtownie i wpadł z impetem na jednego z gości.

- Stokrotnie przepraszam - zaczął i uśmiechnął się szeroko, gdy spostrzegł, że niemal stratował jakąś młodą damę. - Witaj, piękna nieznajomo...

- Skąd niby pan wie, że jestem piękna? Przecież mam na sobie tę nedorzeczną maskę. Niczego spod niej nie widać.

Puck nie posiadał się ze zdumienia. Zaskoczyła go nie tylko zuchwała odpowiedź, lecz także nieskrywana niechęć, którą usłyszał w jej głosie. Odkąd skończył trzynaście lat, żadna kobieta, stara czy młoda, nie dała mu tak bezceremonialnej odprawy. Zapomniał o oszołomieniu, gdy zajrzał w niesamowicie przejrzyste błękitne źrenice okolone niewiarygodnie długimi rzęsami. Potem przesunął wzrok na usta elokwentnej rozmówczynie. Okazały się równie niesamowite jak oczy. Były wydatne i wyjątkowo pełne. Nad lewym kącikiem górnej wargi miała uroczy brązowy pieprzyk, a właściwie znamię, które dodatkowo przydawało jej zmysłowości. Dziewczyna, którą natura obdarowała takimi wdziękami, musiała wiedzieć, jak robić z nich użytek.

Podszedł nieco bliżej i stwierdził, że jak na przedstawicielkę swojej płci, jest dość wysoka.

Była też raczej szczupła, ale za to miała bajeczny biust. Nie zdołała tego ukryć nawet bezkształtna peleryna.

- Zatańczmy - szepnął jej wprost do ucha, po czym objął ją w talii i ucałował z galanterią jej prawą dłoń.

Nie odsunęła się. Zamiast tego zerknęła odruchowo w stronę parkietu, na którym kilka par sposobiło się do walca.

- Nie, nie tam - rzekł stanowczo, obracając ją dookoła. - Jest pani nazbyt wyjątkowa, by pisać pośród tak pospolitego tłumu - dodał i pociągnął ją w stronę skapanego w świetle księżycy tarasu.

Jako że balkon okazał się pełen flirtujących par, zeszli po schodkach w głąb ogrodu.

Towarzyszka Pucka nadal nie protestowała. Uniosła krawędź spódnicy i bez słowa podążała za nim. Z niemałym trudem w końcu udało mu się znaleźć w miarę odosobnione miejsce między drzewami. W pobliżu nie było wprawdzie żadnej ławeczki, ale aby poznać ją lepiej, wystarczy mu odpowiednio gruby pień, o który będą mogli się oprzeć.

Właściwie to nie miał ochoty poznawać jej lepiej. Pragnął jedynie zaznajomić się dogłębnie z jej ciałem.

Zgodziła się z nim pójść i najwyraźniej była chętna. Czy musiał wiedzieć o niej więcej?

- Jak pani na imię, damo w szkarłacie? - zapytał, zaglądając w jej wielkie niebieskie oczy. Poczuł, że jeśli nie będzie ostrożny, może utonąć w ich przejrzystym błękicie.

- Wolałabym, aby to pan się najpierw przedstawił, jeśli łaska - odparła rezolutnie. - Dżentelmen w czerni?

Roześmiał się, szczerze rozbawiony jej bezpośredniością.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Robin Goodfellow, do usług.

Te słowa rzadko przyjmowano za dobrą monetę. Tym razem nie było inaczej.

- Naturalnie... Cóż za zbieg okoliczności. Tytania, królowa wróżek.

- Ach, cna Tytania... Zaiste wielka to niespodzianka - mruknął, nieco zdumiony jej biegłą znajomością dzieł Szekspira. Po chwili uzmysłowił sobie z niejaką zgrozą, że zapewne ma do czynienia z aktorką, a przecież z zasady nie wikłał się w przygodne związki ze służebnicami Melpomeny. - A więc nie wierzy pani, że tak się nazywam?

- A pan uwierzył, kiedy powiedziałam, że nazywam się Tytania? Zresztą jakie to ma znaczenie? Przecież nie przyprowadził mnie pan tu po to, abyśmy wymieniali uprzejmości.

- Nie po to? - spytał, zsuwając jej z głowy kaptur, pod którym kryła się burza niemal czarnych loków. - W takim razie po co?

- Nie jestem pewna, ale sądziłam, że chce mnie pan pocałować.

Znów udało jej się go zaskoczyć.

- Pocałować? - powtórzył oszołomiony. Wypowiedziała te słowa, jakby zwykły pocałunek był równie groźny jak czarna ospa. - Mam rozumieć, że pragnie pani być całowana? - upewnił się. - I dlatego pani ze mną poszła?

- Sama nie wiem. Raczej nie, ale skoro już znaleźliśmy się sam na sam, równie dobrze może pan zabrać się do rzeczy. I tak naraziłam na szwank swoją reputację. Skoro mam zostać potępiona, to wypadałoby choć raz zgrzeszyć, żeby wiedzieć, za co mnie ka-

rzą. Jestem pewna, że moja towarzyszka bez skrupułów korzysta z tej odrobiny wolności, którą dały nam maski. Całą drogę mówiła o pocałunku nieznajomego w świetle księżyca.

Rozum ostrzegał go przed popełnieniem horrendalnego głupstwa, ale zapomniał o zdrowym rozsądku. Odezwały się w nim pierwotne instynkty, których nie umiał i nie chciał zignorować. Była aktorką i najwyraźniej postanowiła odegrać przed nim rolę niewiniątka. Zapewne sądziła, że wcielając się w cnotkę, dostarczy mu więcej podniet.

Miała rację. Jej strategia okazała się nad wyraz skuteczna. Nawet jej nie tknął, a pragnął jej tak jak już dawno nie pragnął żadnej kobiety. Nie czuł się tak od czasów, gdy był nieśmiałym sztubakiem, który rumienił się na samą myśl o obnażonych damskich wdziękach.

- Cóż, moja królowo wróżek, w takim razie zacznijmy od pocałunku - rzekł, przekonany, że jego Tytania życzy sobie, aby współpracował i należycie odegrał swoją rolę w tej farsie.

Ujął ją za podbródek i przysunął wargi do jej ust.

Nie zawiódł się. Smakowała bosko, ale nie zachęcała do dalszych pieszczot. Nie objęła go ani nie przyłgnęła do niego całą sobą, jak to robią profesjonalistki, którym zależy na słonym napiwku.

Jej wystudiowana niewinność doprowadzała go do szaleństwa. Przepadł z krete-sem. Wystarczył jeden pocałunek, a gotów był oddać jej cały swój majątek i obsypać ją klejnotami. Jeden pocałunek i zasilil szeregi głupców pokroju własnego ojca - głupców, którymi nieodmiennie pogardzał.

Odsunął się i zajrzał jej w oczy. Nie dostrzegł w nich niczego poza zmieszaniem. Ani śladu podstępu czy zachłanności. Pomyślał, że pierwszorzędna z niej komediantka.

Ale on wcale nie był gorszy. Zamierzał odpłacić jej pięknym za nadobne. Tym razem nie silił się na delikatność. Zamknął ją w ciasnym uścisku, zmusił, aby rozchyliła usta i pozwoliła mu pogłębić pocałunek. Jego dłoń przesunęła się z pleców do przodu i objęła jej pierś.

Całował jej szyję, kark i dekolt, szepcząc przy tym po francusku o tym, jaka jest cudowna i jak bardzo podnieca go poza niewinnej panienki z dobrego domu, którą przybrała specjalnie na jego użytek. Mówił także o tym, jak zamierza wynagrodzić jej wysiłki

i o tym, że dopiero dzięki niemu pozna, co znaczy naprawdę obcować z mężczyzną, choćby miała przedtem cały tabun kochanków.

- Trzymam w ręku szpilkę do kapelusza - odparła w pewnym momencie. - Jeśli mnie pan nie puści, nie zawaham się wbić jej panu prosto w ucho.

Wypowiedziała te słowa głośno i wyraźnie, w dodatku... płynną francuszczyzną.

Puck skamieniał, po czym odsunął się gwałtownie i spojrzał na nią w niemym osłupieniu. Nie była „tym”, za kogo ją wziął, a wziął ją za zwykłą kokotę. Czyżby został wystrychnięty na dudka? Nie inaczej. Jakaś podfruwajka zrobiła z niego kompletnego durnia. Jak mogło do tego dojść?

- Co pani powiedziała?

- Och, nic strasznego, czego nie mogę niestety powiedzieć o tym, co przed chwilą usłyszałam od pana. - Okryła się szczelnie peleryną i włożyła z powrotem kaptur.

Trzęsły jej się ręce, ale w głosie nie słyhać było ani śladu wzburzenia.

- Żegnam pana. I proszę nie próbować iść za mną.

Uniósł ramiona, jakby chciał dowieść, że jest zupełnie nieszkodliwy.

- Bez obaw - rzekł z drwiącym uśmiechem. - Zapewniam, że nawet nie przyszło mi to do głowy. Zanim pani odejdzie, słówko na przestrozę. Radzę nie robić tego nigdy więcej. Następnym razem może pani trafić na łotra, który zechce udowodnić wam obojgu, że niestraszne mu szpilki do kapelusza. I jeszcze jedno, nikt zdrowy na umyśle nie uprzedza, że zamierza wymierzyć cios, lecz po prostu go wymierza. Niech pani to sobie zapamięta. A teraz uciekaj, ile sił w nogach, moja panno. Najlepiej wprost w domowe pielesze. Tam będziesz bezpieczna.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Podkasła spódnicę i popędziła ku światłom przez park.

Robin ruszył niespiesznie za nią. Po drodze na próżno usiłował sobie przypomnieć, co właściwie mówił, kiedy wydawało mu się, że jest sprzedajną dziewczką. Jedno było niemal pewne, przeraził biedulkę na śmierć.

Cóż, ona też zrobiła na nim niemałe wrażenie. Przypuszczał, że nieprędko otrząśnie się po tym, czego przed chwilą doświadczył.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Gdzie też ona się podziewa? - denerwowała się Regina. Dlaczego, na Boga, pozwoliłam jej zniknąć mi z oczu?

Wspięła się na palce, próbując wypatrzeć wśród tłumu przebierańców znajome, zielone domino.

Gdzie ona jest? Łzy zalewały jej oczy. Musi natychmiast przestać płakać, bo za moment przestanie cokolwiek widzieć. Nie wolno jej myśleć o tym, co się wydarzyło w ogrodzie, ani o tym, do czego mogłoby dojść, gdyby się w porę nie opamiętała. Ten łajdak... był taki przystojny, cały w czerni... I ta jego nadzwyczajna maska...

Co ona najlepszego zrobiła? Dlaczego pozwoliła mu się całować? Czyżby całkiem postradała zmysły?

Gdy mówił te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy, nie protestowała. Słuchała go bezwstydnie, zafascynowana jego słowami, dotykiem i swoją na nie reakcją.

Nagle zrobiło jej się niedobrze. To pewnie po tym słodkim napoju, który wlała w siebie kilka minut wcześniej.

Niewiele brakowało, a zaczęłaby nawoływać Mirandę po imieniu. Wiedziała jednak, że nie może popełnić takiego głupstwa. Obie byłyby skończone na wieki, gdyby wyszło na jaw, że pojawiły się na tym nieobyczajnym przyjęciu.

Włos jeżył jej się na głowie, gdy przyglądała się wyczynom pozostałych gości. Niemal wszyscy całowali się i obściskiwali w tańcu, zupełnie nie zważając na to, że nie są sami. Zupełnie tego nie pojmowała, zwłaszcza że na początku balu zachowywali się zupełnie przyzwoicie. Tak jakby wraz z tykaniem zegara wyzbyli się wszelkich dobrych obyczajów, które obowiązywały w cywilizowanym społeczeństwie.

- Dokąd to, ślicznotko? - usłyszała raptem za plecami. - Poczekaj chwilkę, niech ci się przyjrzę. - Jakiś rośli mężczyzna w przebraniu rozbójnika chwycił ją za ramię i mocno pociągnął. Wyglądało na to, że ani myśli jej puścić. - Przybyłem, aby skraść twoje skarby, moja piękna. Będzie o wiele prościej, jeśli oddasz mi je po dobroci. Zacznij, dajmy na to od pocałunku...

„Nikt zdrowy na umyśle nie uprzedza, że zamierza wymierzyć cios, lecz po prostu go wymierza”, przypomniała sobie słowa Goodfellowa i bez namysłu wprowadziła je w życie, wbijając szpilkę w tłustą dłoń napastnika.

Poskutkowało. Natręt zawył z bólu i natychmiast poluzował uścisk. Hackettówna wyrwała mu się w mgnieniu oka i uciekła.

Marzyła o tym, aby jak najprędzej opuścić to okropne miejsce. Stała się mimowolnym świadkiem igraszki dantejskich scen, których nie miała ochoty dłużej oglądać.

Obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie, i odetchnęła z ulgą. Zresztą nie знаła tu nikogo oprócz Robina Goodfellowa, o ile to jego prawdziwe nazwisko.

Przecisnęła się przez ciżbę w stronę pokoju, w którym umieszczono pokojówki dam, które uczestniczyły w balu.

- Och, panienko Regino! Jest panienka nareszcie! Chwała Bogu! - Doris Ann chwyciła ją za rękę i dodała płaczliwie: - Nigdzie jej nie ma! Moja panienka zniknęła! Przepadła jak kamień w wodę...

Reggie z trudem uwolniła dłonie i spróbowała dodać otuchy służącej.

- Nonsens, moja droga. Nie ma powodu wszczynać larum. Po prostu się zgubiła. Zapewne chowa się przed nami rozmyślnie. Kiedy ją ostatni raz widziałaś?

- W ogóle jej nie widziałam, to znaczy odkąd przyjechałyśmy na miejsce. Dochodzi północ, a mówiła panienka, że zostaniemy tu najwyżej godzinę. Dlaczego panienki nie posłuchała? Obiecywała mi! O mój Boże, co teraz będzie?

- Już dobrze, Doris Ann. Zachowajmy spokój. Owszem, zostałyśmy nieco dłużej, niż planowałyśmy, ale to nic nadzwyczajnego. Przypuszczam, że ktoś... zatrzymał Mirandę, podobnie jak mnie. Wdała się w jakąś interesującą rozmowę i straciła poczucie czasu...

- Ale... widzi panienka, ja... zajrzałam do środka, kiedy nikt nie patrzył. Na tym balu odprawia się różne bezeceństwa. Panienka rozumie, takie rzeczy, co to wstyd o nich mówić przyzwoitej osobie. Podsłuchałam, jak rozmawiały o tym dwie inne pokojówki. Nie powinny były panienki tu przyjeżdżać. To nie miejsce dla was.

- W rzeczy samej. Zdażyłam się zorientować. Zapewniam cię, że opuścimy ten przybytek rozpusty, jak tylko odnajdziemy Mirandę. Wrócimy na salę balową i poszukamy jej. Ja pójdę na prawo, a ty na lewo. Doris Ann! Nawet nie próbuj protestować!

- Za nic tam nie wejdę. To siedlisko grzechu...

- Tak, wiem. Już o tym wspominałaś. Ale chyba kochasz swoją panienkę, prawda?

- Tak, nad życie, ale...

- No właśnie. A ona gdzieś tam jest. W dodatku zupełnie sama. Pomyślałaś o tym, co powiesz rodzicom Randy, jeśli jej nie znajdziemy? Będziesz musiała przyznać się do tego, że brałaś udział w spisku. To ty pomogłaś Mirandzie wygrzebać ze strychu domina i maski. Co więcej, doskonale wiedziałaś, dokąd się wybieramy. Naprawdę chcesz wrócić do domu bez niej?

Doris Ann zacisnęła wargi, a potem rzekła:

- Mówiła panienka, że mam pójść na lewo czy na prawo?

- Na lewo. - Panna Hackett odetchnęła z ulgą. - Jeśli się na nią natkniesz, od razu sprowadź ją tutaj. Choćbyś miała zrobić to siłą. Jeżeli będzie trzeba, chwyć ją za ramię i nie puszczaj, dopóki nie zrobi tego, o co prosisz. Zrozumiałaś?

Pokojówka skinęła głową, zerkając bojaźliwie w stronę jaskini lwa.

- Ojej, panienko! Oni... odsłaniają twarze! A miało nas już tu nie być, kiedy zaczną się ujawniać.

- Boże wszechmogący... - jęknęła Regina. - Jakże miała tam teraz wrócić? Wyda im się podejrzane, że nadal ukrywa swoją tożsamość. Co będzie, jeśli ktoś zechce zerzeć z niej maskę? Ci ludzie nie mają przecież żadnych zahamowań.

Trudno, musi chwycić byka za rogi i dopaść kuzynkę, a kiedy już ją dopadnie, prawdopodobnie własnoręcznie skreśli jej kark.

- Jakieś kłopoty? - Rozpoznałaby ten głos wszędzie, mimo że słyszała go wcześniej tylko raz.

Robin Goodfellow, a raczej mężczyzna, który przedstawiał się jako Robin Goodfellow, odnalazł ją i tkwił tuż za jej plecami.

- Nie, ale dziękuję za troskę. - Nie odwróciła się, choć była bardzo ciekawa, jak wygląda.

Czy jest tak przystojny, jak go sobie wyobrażała? I czy znów będzie się z niej nigrwał? A może poprosi ją, żeby pokazała mu się bez maski? Naprawdę chciałby robić z nią te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy, o których szeptał jej do ucha, gdy ją całował? Mówił wówczas po francusku, sądząc, że nie pojmie ani słowa. Nie potrafiła spojrzeć mu w twarz teraz, kiedy wiedziała, że on wie, że jednak go zrozumiała...

- W takim razie, zostawiam panią.

Nie! - zaprotestowała w duchu. - Nie chcę zostać z tym ambarasem zupełnie sama...

- Panie Goodfellow. - Przygryzła wargę i obróciła się na pięcie, żeby na niego spojrzeć. Nadal widziała jedynie jego usta oraz zarys podbródka. Nie wiedzieć czemu ogromnie jej z tego powodu ulżyło. - Proszę nie odchodzić. Zdaje się, że... zgubiłam gdzieś swoją towarzyszkę.

- Ach tak... więc zniknęła, kiedy była pani zajęta... czym innym.

- Musi pan być taki okropny? Naprawdę nie mógłby się pan powstrzymać przed kolejnym przytykiem pod moim adresem? Ustaliliśmy już, że nie jestem „tym”, za kogo mnie pan wziął. Nie winię pana za to, co pan sobie o mnie pomyślał. Na pańskim miejscu pomyślałabym pewnie to samo. Zachowałam się skandalicznie. Przepraszam, że bezwiednie wprowadziłam pana w błąd. To niewybaczalne. Doris Ann, na miłość boską, przestań się wreszcie mazgaić! Co to ja mówiłam...? Otóż, muszę odnaleźć moją kuzyn... to jest chciałam powiedzieć przyjaciółkę.

- A niech mnie. - Robin przechylił lekko głowę. - Chce pani powiedzieć, że przyjechałyście tu we dwie? Przednio, szkoda tylko, że nie dysponujecie dwoma w pełni sprawnymi umysłami. Służę pomocą. Proszę powiedzieć, jak jest ubrana.

Reggie splotła nerwowo palce. Sprawa była więcej niż poważna. Miranda może być wszędzie. Bóg jeden wie, co teraz wyprawia. Dość pomyśleć o tym, czego sama niedawno się dopuściła. A zawsze wydawało jej się, że nie jest nawet w połowie tak głupia jak Randy. Cóż, widać się myliła.

Opisała pospiesznie krewną oraz jej odzienie.

Robin Goodfellow, dobre sobie... Doprawdy trudno oczekiwać, że ktoś, kto posługuje się tak absurdalnym nazwiskiem, okaże się w czymkolwiek pomocny.

Potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale z całą pewnością jej nie widziałem. Szczęść się swoją spostrzegawczością, to znaczy szczyłem się nią jeszcze pół godziny temu, zanim poznałem panią... Tak czy owak, nie przypominam sobie drobnej blondynki w szmaragdowozielonej pelerynie i niespotykanej masce. Może powinniśmy spróbować w ogrodzie?

- W ogrodzie? Niemożliwe. Miranda nie jest aż tak nierozsądna, żeby...

Goodfellow uniósł brew i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Och, mniejsza z tym - rzekła rozsierzona. Miała tak wielką ochotę go spoliczkować, że aż świerzbiły ją ręce. Dowcipniś z bożej łaski. Niewątpliwie należał do licznego grona niedojrzałych fircyków, którym się wydaje, że życie to nieustający karnawał. Był nad wyraz irytujący, ale cóż, nie miała wyboru. Potrzebowała pomocy, a na roztrzęsioną pokojówkę raczej nie należało liczyć. - Ma pan rację. Chodźmy zatem do ogrodu. Doris Ann, zostaniesz tutaj. Jeśli twoja pani wróci podczas naszej nieobecności, pozwalam ci na niej usiąść, żeby przypadkiem nie wpadło jej do głowy wybrać się na kolejną eskapadę.

Robin wziął ją za rękę i poprowadził na pogrążoną w półmroku salę balową. Niemal połowę świec wygaszono, a zgromadzeni goście zajmowali się czymś zgoła innym niż płasy, mimo że orkiestra wciąż przygrywała walca.

- Nie znajdziemy jej w tych ciemnościach! - poskarżyła się Hackettówna. - Czemu, na miłość boską, zdmuchnęli prawie wszystkie świe... O mój Boże! - Zacisnęła mocno powieki i wtuliła twarz w ramię towarzysza, wiedziała jednak, że widok tego, co przed chwilą zobaczyła, prawdopodobnie będzie ją prześladował do końca życia. Czy ta kobieta w ogóle nie miała wstydu? Najwyraźniej nie. Stała przechylona przez oparcie kanapy z zadartą w górę spódnicą i pozwalała, żeby jakiś nieokrzesany jegomość używał na niej w najlepsze. Ze spuszczonej do kostek spodniami, w dodatku w obecności rozentuzjzmowanych świadków. Ci ostatni zachęcali go, wznosząc głośne okrzyki i czekając na swoją kolej.

- Widziała pani? - zapytał Goodfellow.

- Staralam się nie patrzeć - odparła, ściskając kurczowo jego dłoń.

- Cóż, jest ich kilku, więc przynajmniej dadzą dziewczynie nieźle zarobić - skwitował rzeczowo. - Teraz pani rozumie, młoda damo, dlaczego mama tak często przestrzega panią przed przyjmowaniem zaproszeń na bale maskowe. Zwłaszcza te, których gospodynią jest słynąca z rozwiązłości lady Fortesque.

Kusiło ją, by unieść głowę i obejrzeć się za siebie. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co właśnie widziała.

- Jednym z owych kilku jest mój własny ojciec. Wyjdźmy stąd. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej.

Stanął jak wryty i posłał jej zdumione spojrzenie.

- Pani ojciec? Który to? Zresztą nieważne. Tuszę, że wolałaby pani nie prosić go o wsparcie w poszukiwaniach?

Zadrżała jej warga. Poczwała, że za moment albo się roześmieje, albo wpadnie w histerię. Ani chybi zaczynała tracić zmysły.

- Proszę, chodźmy stąd - powtórzyła błagalnie.

- Zechce pani wybaczyć mi tę oczywistą gruboskórność. Chyba pani nie zemdleje? Odprowadziłbym panią do pokojówki, ale sam nie rozpoznam pani kuzynki.

- Tak, wiem. - Pomyślała, że niewielki będzie miał z niej pożytek, jako że miała szczyry zamiar wpatrywać się cały czas w podłogę. - Tylko niech mnie pan nie zostawia...

Wziął ją znowu za rękę.

- Nie zostawię - powiedział, a ona mu uwierzyła.

Pół godziny później - po chwilami krępującej, chwilami niezwykle pouczającej dla panny Hackett wycieczce po ogrodzie - wrócili do pokoju dla służby z zielonym płaszczem i pozostałościami po masce Mentmore'ówny, za to bez ich właścicielki.

Regina była zdruzgotana. Znaleźli „dowody porwania”, jak się wyraził Goodfellow, na skraju posiadłości tuż przy bramie prowadzącej do mrocznego zaułka. Na miejscu widać było także wyraźne ślady walki.

Opadłszy na krzesło obok przerażonej służącej, panna Hackett ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami. Jej kuzynka zniknęła. Przepadła jak kamień w wodę. Najprawdopodobniej została uprowadzona.

- Proszę tu zostać. - Robin ukucnął przy niej i położył jej dłoń na ramieniu.

Kiwnęła głową.

- Wezmę ze sobą pelerynę i maskę i rozpytam służbę. Ktoś musiał ją widzieć. Być może ów ktoś zapamiętał także, z kim wówczas była.

- Panienko Regino...? - Doris Ann zerknęła na nią bojaźliwie, gdy Goodfellow zmierzał ku wyjściu.

Reggie spojrzała na nią, a potem odsunęła maskę na tyle, by móc otrzeć mokre policzki.

- Nie martw się. Odnajdziemy ją.

- Tak, panienko, ale co będzie, jeśli nam się nie uda?

Hackettówna zadrżała i skuliła się w sobie. W istocie, co jeśli im się nie uda? Będzie musiała wtajemniczyć w sprawę matkę, która jak nic zacznie lamentować i przywoływać babkę Hackett. Ojciec z kolei wpadnie w gniew i oskarży ją o to, że pogrzebała na wieki jego marzenia o zięciu arystokracie. Potem rodzice przekażą złą nowinę ciotce Claire i wujowi Sethowi. Ci zaś będą osłupiali i przerażeni. Cała czwórka obwini za wszystko ją.

To jednak najmniejszy kłopot. Martwił ją przede wszystkim los niepoprawnej krewnej. Bóg jeden wie, gdzie teraz jest i jakie czyha na nią niebezpieczeństwo. Ten, kto ją zabrał, użył siły. Nie poszła z nim z własnej woli.

Zamknęła oczy i zmówiła w duchu cichą modlitwę.

- Regino?

Zmarszczyła brwi. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że Robin zapewne usłyszał, jak Doris Ann zwraca się do niej po imieniu. Poderwała się na nogi.

- Dowiedział się pan czegoś?

- Owszem. Tego i owego. Musimy iść.

- Iść? Nie ma mowy. Nie mogę stąd wyjść. Muszę czekać na Mirandę. Będę jej potrzebna, jeśli wróci.

- Nie wróci. - Przywoławszy gestem pokojówkę, Goodfellow wyprowadził je obie na ulicę, gdzie czekał już na nich powóz.

- Pomogę pani wybrnąć z tej opresji - oznajmił, kiedy wsiedli do środka. - Ręczę za to słowem honoru, bo trzeba pani wiedzieć, że wbrew temu, co się może wydawać, jestem człowiekiem honoru. Wstąpimy na moment do mnie, przebiorę się w bardziej stosowne ubranie, a potem odwiozę panią do domu, gdziekolwiek to jest. Rozmówię się z pani matką i z kim jeszcze będzie trzeba. Po drodze uradzimy razem, co mówić. Trzeba będzie wymyślić jakąś sensowną historię. Wiem już mniej więcej, jak nasza opowieść powinna wyglądać, ale dopracowanie szczegółów pozostawiam pani.

- Nie sądzi pan, że lepiej byłoby powiedzieć prawdę?

- Tylko w ostateczności. Mam nadzieję, że potrafi pani kłamać. Proszę nie zapominać, że widzieliśmy tu dziś pani ojca. Raczej nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że jego córka bywa na tego rodzaju przyjęciach, w dodatku tych samych co on. Czy możemy liczyć na dyskrecję pokojówki?

- Doris Ann? - spytała nieprzytomnie Regina.

Jej umysł pracował na zdwojonych obrotach. Albo się przesłyszała, albo właśnie zakomunikował, że wiezie ją do swojej rezydencji. Czyżby teraz ona miała zostać porwana?

- Jest służącą. Nikt nie będzie jej o nic wypytywał.

- Znakomicie. Nie tylko dla nas, ale i dla niej. Nieprawdaż, Doris Ann?

- Tak jest, proszę pana.

- I nie piśniesz nikomu ani słowa, mam rację? W przeciwnym razie skończysz na bruku. Bez referencji. Rozumiemy się?

Biedaczka skinęła głową tak gwałtownie, że aż spadł jej czepek.

- Załatwione - Robin uśmiechnął się z zadowoleniem i przeniósł wzrok na Reggie.

- Odnalazłem waszych woźnicę oraz lokaja. Wmówiłem im, że zostali osaczeni przez bandę opryszków, którzy trzymając ich na muszce, uprowadzili Mirandę, po czym uszkodzili powóz. Uwierzyli bez kłopotu i będą trzymali się tej wersji, choćby ich przypiekano. Powóz tymczasem wymaga naprawy, w związku z czym wróci do domu pani kuzynki dopiero jutro. Londyn to nad wyraz niebezpieczne miejsce, czyż nie? Nikt nie może czuć się tu bezpieczny. Jak rozumiem, jest pani spokrewniona z hrabią Mentmore?

Hackettówna zamrugła i rozchyliła usta.

- Jak...? Skąd... pan wie?

- Inskrypcja na drzwiczkach. Między nami mówiąc, tylko osoba niespełna rozumu wybiera się na bal u lady Fortesque tak rzucającym się w oczy pojazdem. Zlokalizowałem go bez trudu w ciągu zaledwie kilku minut. Coś mi się zdaje, że ani pani, ani pani kuzynka nie macie należytej wprawy w oszukiwaniu tudzież snuciu intryg...

- Pan za to jest w tej dziedzinie mistrzem, jak mniemam?

- W rzeczy samej, zresztą na wasze szczęście. Skoro już to ustaliliśmy, przedstawię pani plan działania. Poinstruowałem stangreta, żeby zatrzymał się na tyłach mojej posiadłości. Wślizgnę się niepostrzeżenie do środka, żeby zrzucić kostium, pani tymczasem spożytkuje czas mojej nieobecności na wypełnieniu luk w naszej historyjce. Proponuję, żeby skupiła się pani na detalach. Proszę wymyślić, gdzie panie były, dlaczego udały się panie nie tam, gdzie powinny się być udać, czemu nie towarzyszyła wam przyzwoitka i jak to się stało, że uprowadzono tylko jedną z was. Pojmuje pani, w czym rzecz?

- Nie wzięli mnie, bo... bo... - zająknęła się Regina - Bo ukłułam napastnika szpilką do kapelusza, którą mama każe mi nosić zawsze przy sobie.

- Bardzo dobrze - pochwalił Goodfellow - Może nawet aż za dobrze. Ma pani załatki na niezgorszą kłamczuchę, Regino.

- Tak, wiem - odparła ponuro. - To pewnie przez moje plebejskie pochodzenie - dodała, gdy woźnica zatrzymał powóz, a Robin wyskoczył na trotuar.

Kiedy zniknął w ciemności, zerknęła na pochlipującą w kącie pokojówkę, po czym zabrała się do preparowania bajeczki, którą miała niebawem opowiedzieć rodzicom. O tej porze matka jest już pewnie tak upojona winem, że nie będzie z niej żadnego pożytku.

A ojciec? Z całą pewnością nie zastanie go w domu. Na samą myśl o nim żołądek skurczył jej się do rozmiarów pestki. Nie cierpiała go z całej duszy. Był nieokrzesany, prostacki, a do tego równie powierzchowny i rozpustny jak większość uczestników nieobyczajnych wydarzeń towarzyskich pokroju przyjęć wydawanych przez lady Fortesque.

To, że na jednym z owych przyjęć spotkała także Robina Goodfellowa, bynajmniej nie poprawiało jej nastroju. Prawdę mówiąc, w ciągu kilku minut popadła w skrajne przygnębienie. Poczuli się osamotniona jak nigdy w życiu.

Przypomniała sobie, że zaproszenie otrzymał również brat Mirandy, można było zatem domniemywać, że oprócz niego zaproszeni zostali także inni panowie z wyższych sfer. Niewesołe wnioski nasuwały się same. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Zepsuci do szpiku kości i rozpasani.

Doprawdy, wielka to szkoda, że żywot zakonnicy nie napawa jej szczególnym entuzjazmem.

Gdyby nie ten drobny szczegół, bez wahania wstąpiłaby do klasztoru.

- Panno Regino - chlipnęła Doris Ann. - Nie możemy wrócić do domu bez panienki Mirandy. Jej mama będzie zdruzgotana, a jego lordowska mość okropnie się zapiekli, to pewne jak amen w pacierzu.

Hackettówna zdjęła maskę i cisnęła ją przez okno na ulicę.

- Wuj Seth ma wszelkie prawo się zapie... to znaczy rozzłościć. Oboje będą przerażeni, ale my musimy być silne i dzielne. - Ścisnęła służącą za rękę. - Dla dobra Mirandy przyjdzie nam skłamać, bądź na to przygotowana.

- Dobrze, panienko. A jak wytłumaczymy im obecność pana Goodfellowa?

- Powiedział, że sam się tym zajmie. Myślę, że powinniśmy mu na to pozwolić. Cii... słyszę kroki. To pewnie on.

Reggie wyprostowała plecy i wyteżyła wzrok. Czekwała, aż ukaże się w świetle księżycy i będzie mogła ujrzeć wreszcie jego twarz. Miała nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym uda jej się przekonać samą siebie, że chwilowo straciła zdrowy rozsądek za sprawą jego niezwyklej maski. To ona sprawiła, że zrobiła coś, co w innych okolicznościach uznałaby za niedopuszczalne. I że jej uległość nie miała nic wspólnego ani z jego dotykiem, ani z hipnotyzującym głosem, ani tym bardziej z figlarnym spojrzeniem zachwycających zielononiebieskich oczu.

Jeśli w to nie uwierzy, będzie musiała uznać, że zapewne nigdy nie wyzwoli się od zgubnego wpływu plebejskiej krwi babki Hackett.

- O mój Boże - szepnęła bezgłośnie i zamrugnęła z niejakim niedowierzaniem.

Potem na wszelki wypadek przyjrzała mu się ponownie.

Był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Cały w czerni podkreślonej jedynie śnieżnobiałym fularem prezentował się wyjątkowo

korzystnie. Choć pochodził z Anglii, miał w sobie coś z cudzoziemca. Jego wyrafinowana elegancja wydawała jej się niezwykle romantyczna. Nie miał już na sobie peleryny ani laski, którą upuścił na ziemię, kiedy ją całował. Chciał wówczas uwolnić ręce, żeby móc... Nie! Nie będzie o tym myśleć. Musi jak najszybciej zapomnieć o tête-à-tête w ogrodzie.

Nim otworzył drzwiczki, schylił się i podniósł z ziemi porzuconą maskę.

- Lekcja numer dwa, piękna Tytanio - rzekł, sadowiac się obok Reginy na kanapie.
- Nigdy nie zostawiaj na widoku obciążających cię dowodów winy. Zechciej, pani, podać mi drugą maskę i oba wasze domina. O, dziękuję. Gaston!

Przywołany służący wyrósł jak spod ziemi. Goodfellow zwinął rzeczy w tobołek i rzucił je w jego stronę. Niestety, chybił celu i wszystko wylądowało na bruku.

- Wybacz, mój drogi. Nie mam wprawy w rzucaniu ubraniami. Zazwyczaj robię z nim zgoła co innego, *si vous prenez ma signification*. Spal to na proch, z łaski swojej.

- Wedle życzenia, jaśnie panie.

Reggie ochłonęła na tyle, by przewrócić oczami. Wkrótce jednak uzmysłowiła sobie, że dzieli ich zaledwie kilka centymetrów i zapomniała o bożym świecie. Jej „wybawca” wyglądał i pachniał niebiańsko. W dodatku nie był nieopierzonym młokosem, lecz mężczyzną z krwi i kości. Mężczyzną, który wpatrywał się w nią z nieskrywanym podziwem.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - upomniała go surowym tonem. - Nie pora na swawole. Zaginęła moja kuzynka.

- Owszem, ale to nie znaczy, że oślepiłem na niewieście wdzięki - odparł niezrażony. - Maską przydawała pani tajemniczości, ale bez niej wygląda pani jeszcze lepiej. Zamknij usta, Doris Ann. Nie mylisz się. Twoja pani i ja flirtujemy. Prawda, Regino?

- Nieprawda - zaprotestowała gwałtownie. - Nic podobnego. I nie przypominam sobie, abym pozwoliła panu zwracać się do siebie po imieniu. Zwłaszcza że nadal nie wiem, jak pan się naprawdę nazywa. Nie sądzi pan chyba, że uwierzyłam w Robina Goodfellowa? - prychnęła z kpina. - To niedorzeczne.

Przyłożył sobie rękę do serca, jakby śmiertelnie go uraziła.

- Drwi pani z mojego imienia? To okrutne. Moja matka byłaby niepokieszona, jako że jest do niego wielce przywiązana.

Nie uwierzyłaby mu nawet, gdyby próbował dowodzić, że niebo jest niebieskie.

- Wątpię. Czy mógłby pan wreszcie przestać szczerzyć zęby? Jest pan niemożliwy.

- Wiem. Mówiono mi to nie raz i nie dwa. W porządku, niech pani będzie. Nazywam się Blackthorn. Robin Goodfellow Blackthorn.

Poczuła, że oblewa się gorącym rumieńcem.

- Więc mówił pan prawdę?

- Poniekąd. Może zechciałaby pani odwdzińczyć się tym samym?

- Odwdzińczyć się tym samym? - powtórzyła nieprzytomnie. - No tak, naturalnie.

Hackett. Regina Hackett. A moja kuzynka to lady Miranda Burnham, córka wicehrabiego Ranscome i wnuczka hrabiego Mentmore.

- A niech to. Głowa mnie rozboleła od tych tytułów. I wciąż nie znam zasadniczych szczegółów. Na przykład dokąd jedziemy?

Sama się nad tym zastanawiała. Jej matka jest teraz upojona do nieprzytomności, to więcej niż pewne. Rano niczego nie będzie pamiętała. Łatwo będzie jej wmówić, że poprzedniego wieczoru towarzyszyła jej i Mirandzie w charakterze przyzwoitki. Reggie nie była dumna z tego, że zamierza w tak perfidny sposób wykorzystać słabość rodzicielki, ale sytuacja przedstawia się beznadziejnie, a beznadziejne przypadki wymagają uciekania się do desperackich metod.

- W sezonie rezydujemy w domu przy Berkeley Square - powiedziała na użytek Robina. - Podwieziemy tam moją mamę, która była z nami dzisiejszego wieczoru, lecz kompletnie przytłoczona fatalnymi wydarzeniami doznała rozstroju nerwowego i musiała położyć się do łóżka, zażywając laudanum. Dlatego nie zabierzemy jej ze sobą do siedziby dziadka, przy Cavendish Square, dokąd udamy się, aby przekazać złą nowinę rodzicom Mirandy. Cierpiący na podagrę dziadek na szczęście pozostał na wsi, stawimy zatem czoła ciotce Claire albo wujowi Sethowi, jeśli będziemy mieli pecha, obojgu. Jakież to inne szczegóły pana interesują?

- Nie jestem pewien. Jak już wspominałem, wciąż próbuję się połapać w gęstwinie nazwisk i tytułów, które przed chwilą od pani usłyszałem. O ile mnie słuch nie myli, pani

matka uczestniczyła wraz z nami w dzisiejszym przyjęciu? Hm... interesujące. Ciekaw jestem, jak zamierza ją pani przekonać, by poparła nasze kłamstwo.

Reggie zerknęła z ukosa na Doris Ann, która raptem się zachłysnęła i zaczęła kaślać, zakrywając usta dłonią.

- O to niech pana głowa nie boli. Wiem, jak postępować z własną matką. Proszę poinstruować stangreta, aby kierował się na Cavendish Square. Byłabym zobowiązana, gdyby w międzyczasie zechciał pan podzielić się ze mną tym, czego się pan dowiedział jeszcze na przyjęciu.

- Wolałbym opowiedzieć tę historię tylko raz, kiedy dotrzemy na miejsce. Proszę uzbroić się w cierpliwość, a kiedy już będę mówił w obecności pani krewnych, radzę milczeć i od czasu do czasu pochlipywać, jakby trawiła panią autentyczna zgryzota.

- Jakby?! - posłała mu mordercze spojrzenie. - Nie muszę niczego udawać! Naprawdę odchodzę od zmysłów.

- Doprawdy? W takim razie znakomicie to pani ukrywa.

- Nie przywykłam do okazywania... Nieważne. Niechże pan każe wreszcie ruszać!

Popatrzył na nią jakoś dziwnie, po czym wychylił się na zewnątrz i podał adres woźnicy.

Hackettówna pomyślała o biednej ciotce, która ubóstwiała swoją jedynaczkę niemal bałwochwalczo.

- Wie pan, kto uprowadził Randy?

- Gdybym wiedział, uznałbym całą rzecz za błąhostkę. Odesłałbym panią do domu i pozwolił, aby sprawą zajęła się pani rodzina. Niestety, odkryłem jedynie potencjalny powód porwania i jeżeli moje domysły są słuszne, mamy do czynienia z wyjątkowo pa-skudnym procederem.

Regina natychmiast pomyślała o czymś, o czym panienka z dobrego domu wie-dzieć nie powinna, i oblała się zimnym potem. Jej ojciec był właścicielem kilku statków kupieckich. Wielekroć słyszała jego opowieści o „niezwykłych” ładunkach, złożonych z mężczyzn i dzieci. Owych nieszczęśników wywożono do najdalszych zakątków świata i sprzedawano do niewolniczej pracy.

Frymarczono także - w wiadomym celu - urodziwymi kobietami. Reginald mówił o tym przy posiłkach, z lubością dręcząc małżonkę detalami. Znajdował perwersyjną przyjemność w pastwieniu się nad Letycją i we wpędzaniu jej w coraz większy nałóg. Doskonale wiedział, że szukała pocieszenia na dnie kieliszka.

Reggie szczerze go nienawidziła. I drżała o los kuzynki.

- Musimy ją odszukać i sprowadzić do domu - odezwała się, chwyciwszy Blackthorna za ramię. - Jak najprędzej.

- Owszem - zgodził się, ściskając jej dłoń. - Proszę się nie obawiać. Znajdę ją.

- Nie, znajdziemy ją razem. To wszystko moja wina. Zniknęła przeze mnie. Powinna była powiedzieć „nie”. Randy jest nieuleczalnie głupia, ale nie pojechałaby na tę okropną maskaradę, gdybym nie zgodziła się jej towarzyszyć. Jeżeli mi pan nie pomoże, przeprowadzę to śledztwo sama. Może mi pan wierzyć. Nie rzucam słów na wiatr.

Wpatrywał się w nią w milczeniu do chwili, aż powóz zatrzymał się przy Cavendish Square.

- Zgoda. Niech będzie. Pani wuj z pewnością uda się wprost na Bow Street, ale my możemy rozpocząć dochodzenie na własną rękę. Uprzedzam jednak, że może przejść pani na to ochota, zwłaszcza po usłyszeniu tego, co mam do powiedzenia rodzicom Mirandy. Jeśli do jutra nie zmieni pani zdania, spotkamy się o jedenastej przy wejściu do Hyde Parku. Proszę przyjść pieszo i zabrać ze sobą tylko pokojówkę.

- Zjawi się pan na pewno? Czy mówi pan to wyłącznie po to, żeby mnie zbyć? Wiem, że jestem odrobinę... uciążliwa.

- Droga panno Hackett... Regino, obiecuję uroczyście, że stawię się na umówione spotkanie. Właśnie dlatego, że była pani taka uciążliwa. Klnę się na... *pour mes péchés*.

- Na pańskie grzechy?

Przesunął palcem po jej policzku i ustach, przyprawiając ją o żywsze bicie serca.

- Nie inaczej - rzekł aksamitnym głosem. - Te, które już popełniłem, oraz te, które dopiero zamierzam popełnić. - Potem zrobił coś, co kompletnie ją zaskoczyło. Położywszy jej rękę na karku, rozpiął naszyjnik z pereł i wsunął go sobie do kieszeni. - Proszę nie zapominać, że panią obrabowano. Oddam go pani jutro, kiedy zobaczymy się w parku.

- Obawia się pan, że mogłabym nie przyjść?

- Cóż, przemknęło mi to przez myśl, nie przeczę.

- Niepotrzebnie. Przyjdę na pewno. Zamierzam odnaleźć Mirandę, pan zaś jest jedyną osobą, która wie, co się wydarzyło. Tylko pan może mi pomóc.

Kiedy służący otworzył drzwiczki, Blackthorn wyskoczył na zewnątrz i odwrócił się, aby podać dłoń Reginie.

- A zatem do dzieła...

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Nędzny stan rezydencji przy Cavendish Square rzucał się w oczy już od progu. Puck natychmiast zauważył, jak bardzo dom jest zaniedbany. Postanowił przy najbliższej sposobności przyjrzeć się bliżej finansom lorda Mentmore. I bez tego mógł jednak śmiało przyjąć, że jeśli sprawcy zażądatają okupu, rodzina Mirandy nie zdoła uzbierać odpowiedniej kwoty.

Dziwne. Burnhamowie mają tytuł i poważanie, ale brakuje im pieniędzy. Bracia Blackthorn z kolei żyją w dostatku, lecz nie mogą się pochwalić wystarczająco „zacną” genealogią. Wytworne towarzystwo nie chce mieć z nimi do czynienia, za to stary hrabia oraz jego potomstwo przyjmowani są wszędzie. Prawdziwa ironia losu. Mimo wszystko z dwojga złego wolał własne położenie.

Żywił bowiem głębokie przekonanie, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym jedna ze stron zmuszona będzie pójść na ustępstwa. Wiedział nawet, która to będzie strona. Zasobny portfel wkrótce wygra w walce z pochodzeniem, a wówczas światem zacnie rządzić pieniądź. Koniec końców, gdy bieda zagłąda w oczy, trudno się nakarmić szlacheckim rodowodem.

Panna Hackett przemierzyła nerwowo pokój, po czym westchnęła i opadła ciężko na krzesło.

- Jego lordowskie moście przyjmą państwa lada moment - oznajmił oficjalnie majordomus, do którego Regina zwracała się per Kettering.

- Wspaniale - rzekł Robin, jakby służący pochwalił mu się właśnie jakimś wielkopomnym osiągnięciem. - Wyglądasz mi na człowieka rozumnego, mój drogi - dodał konfidenckim szeptem, obejmując Ketteringa ramieniem. - Czy mogę ci zaufać? Wiesz, tak się nieszczęśliwie składa, że twoi chlebodawcy za chwilę przeżyją ogromny wstrząs. Uchylam przed tobą rąbka tajemnicy, ponieważ jestem pewien, że doskonale poradzisz sobie z sytuacją. Sugeruję wino lub sole trzeźwiące dla lady Ranscome i brandy dla jej małżonka.

- Jaśnie pan raczy woleć dzin - poinformował kamerdyner, nie kryjąc przy tym niechęci do tak podłego trunku i, jak się zdawało, do samego wicehrabiego. - Czy rzecz dotyczy panienki Mirandy, że pozwolę sobie zapytać?

- Niestety, tak. - Goodfellow pokiwał smętnie głową. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego smutku. - Właśnie dlatego uznałem, że tylko tak rzutki i prawy jego mość jak ty zapanuje nad chaosem, który niewątpliwie zagości pod tym dachem. Jeśli jednakowoż będziesz potrzebował pomocy lub dobrej rady, pamiętaj, że możesz zwrócić się do mnie. O każdej porze dnia i nocy. Prawdę mówiąc, nalegam, abyś tak właśnie zrobił. - Z tymi słowy wręczył rozmówcy swój bilet wizytowy oraz wypchaną po brzegi sakiewkę.

Kamerdyner wsunął je sobie do kieszeni, zerkając jednym okiem na Reggie. Ta ostatnia wpatrywała się w czubki własnych trzewików. Zajęta kontemplacją obuwia zupełnie nie zwracała uwagi na poczynania swego współnika.

- Będę zaszczycony, mogąc spełnić pańską prośbę, sir - rzekł Kettering. - Przyniosę napoje.

- Znakomicie. Byle nie dzin. Nie cierpię tego gorzkiego paskudztwa.

- Mamy w piwniczce butelkę wina. Bardzo dobry rocznik. Jego lordowska mość na pewno się nie zorientuje, że zniknęła.

Puck poklepał go po ramieniu i zadał pytanie, z którym nosił się od samego początku.

- Znam pannę Hackett od zaledwie kilku godzin. W dodatku poznaliśmy się w nader niesprzyjających okolicznościach. Co możesz mi o niej powiedzieć?

Majordomus rozejrzał się na boki. Upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje, oznajmił ściszym głosem:

- Ujdzie. W rzeczy samej to miła i rozumna dziewczyna. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, jeśli pojmuje pan o co mi idzie. Jej matka jest wprawdzie siostrą naszego wicehrabiego, ale za to ojciec? Szkoda gadać. Zwykły kupiec i parweniusz. Jest właścicielem kilku statków przewozowych. Najpierw kupił sobie żonę, a teraz próbuje frymarczyć córką. Chce ją wydać za dżentelmena z tytułem. To smutne, ale Burnhamowie podupadli aż do tego stopnia...

Goodfellow wciąż się uśmiechał, ale z wyraźnym przymusem. Ten służący spogląda na Reginę z wyraźną pogardą. Świat stanął na głowie...

- Przyjmują ją u siebie mimo jej kompromitującego pochodzenia?

- Cóż, jak już mówiłem, rodzina moich chlebodawców znalazła się w „arcytrudnym” położeniu, pan rozumie...

- A jakże, rozumiem. Papa Hackett łoży na ich utrzymanie, jak mniemam.

Kettering przypomniał sobie raptem, że rozmawia z nieznanym i prawdopodobnie powiedział o kilka słów za dużo.

- Czy mogę czymś jeszcze panu służyć?

- Nie, dziękuję, przyjacielu. Byłeś bardzo pomocny. - Złota moneta zniknęła z dłoni Blackthorna równie szybko jak się w niej pojawiła.

Majordomus znów się rozejrzył i zwilżył wargi.

- Matka panny Hackett, lady Letycja, praktycznie nigdy nie trzeźwieje, biedactwo, a ojciec? Brr, wyjątkowo odpychający typ. Na pańskim miejscu trzymałbym się od nich wszystkich z daleka. Taki wytworny i dobrze ułożony młodzieniec bez trudu znajdzie jakiegoś ładnego dziewczę z dobrego domu.

- Dziękuję, Kettering. Będę miał to na względzie. Przypuszczam, że ich lordowskie moście zaraz do nas dołączą, nie chcę cię ponaglać, ale musisz zorganizować poczęstunek. Pamiętaj, że liczę na twoją współpracę i rychłe wieści. Interesuje mnie nade wszystko to, jakie kroki poczyni twój pracodawca w związku z zaistniałą sytuacją.

- Naturalnie, sir. Wystarczy, że kichnie, a natychmiast panu o tym doniosę - obiecał solennie kamerdyner, po czym uklonił się i odszedł.

Nawet nie spojrział w stronę Ranscome'a i jego małżonki, którzy właśnie zjawili się w salonie. Nie uznał też za stosowne zaanonsować gościa.

Tym lepiej, stwierdził w duchu Puck.

Za dziesięć, a może dopiero za sto lat najlepsze karty będą rozdawać bogacze, ewentualnie ci, którym zbywa na wdzięku tudzież popularności, tymczasem jednak musiał liczyć się z tym, że choć nie brak mu ani jednego, ani drugiego, zostanie wyrzucony z tego domu na swoją „niegodną” twarz w tej samej chwili, w której gospodarz pozna jego tożsamość.

- Zechcą państwo wybaczyć mi to najście - zaczął z powagą - ale zaszły pewne nieprzewidziane, a zarazem niepożądane okoliczności, o których zmuszony jestem państwa poinformować. Rzeczą dotyczy państwa córki, lady Mirandy. Radziłbym, aby państwo spoczęli. Sprawa jest poważna.

- Mogę wiedzieć, z kim do diaska, mam do czynienia?! - ryknął wicehrabia, wykazując kompletny brak ogłady.

Wyglądał jak wyrwany z głębokiego snu. Miał pomięte ubranie i odcisnięty na policzku ślad poduszki.

Co to, to nie, pomyślał Robin. Wolałbym jeszcze przez kilka minut pozostać anonimowy.

- Cóż, jestem, nazwijmy to, posłańcem. Obawiam się, że przynoszę złe wieści. Państwa córkę uprowadzili zbójcy.

Poskutkowało. Jego lordowska mość zapomniał na jakiś czas o zadawaniu wszelkich pytań. Zdekoncentrowały go próby ocucenia omdlewającej połowicy, którą na próżno usiłował utrzymać w pionie.

Regina zmroziła Pucka spojrzeniem pełnym wyrzutu i pospieszyła na pomoc wujowi. Wspólnymi siłami doprowadzili bezwładną lady Burnham do kanapy usytuowanej w pobliżu kominka.

Kolejny kwadrans upłynął na przywracaniu nieszczęśnicy przytomności za pomocą wachlowania tudzież soli trzeźwiących. Zatrokana siostrzenica jej męża krzątała się przy niej jak w ukropie, małżonek zaś raczył się w międzyczasie przyniesionym przez Kettering dzinem. Zdaje się, że był mocno przejęty, jako że wychylił duszkiem dwie szklanki, jedną po drugiej.

Blackthorn tkwił przy kominku, uważnie obserwując całą scenę. Jego uwadze nie umknął żaden szczegół. Szczycił się swoją spostrzegawczością, która nie zawiodła go i tym razem. Majordomus dotrzymał słowa i dostarczył obiecane wino. O dziwo okazało się całkiem niezłe. Grunt to zaprzyjaźnić się ze służbą. Zaskarbienie sobie jej przychylności to co najmniej połowa sukcesu.

Zrozpaczona matka uprowadzonej w końcu odzyskała równowagę na tyle, aby usiąść. Nieco mniej zrozpaczony ojciec zażądał wówczas, aby jego gość objaśnił mu co takiego się wydarzyło.

Puck spojrzał wyczekująco na Reginę.

- Panno Hackett? Zechce pani zacząć?

Popatrzyła na niego w taki sposób, że przez chwilę rozważał, czy nie czmychnąć. Gdyby był nieco bardziej bojaźliwy ani chybi dałby nura za fotel.

- Jak pamiętacie, byliśmy w drodze na wieczorek u lady Montag - zaczęła Hackettówna, usiadłszy obok ciotki i ująwszy ją za rękę. - Mama wprost nie mogła się doczekać cytrynowych ciasteczek. Ciągłe o nich paplała... ale co też ja opowiadam? To przecież zupełnie nieistotne... Ciotuchna wybaczy, to przez nerwy. Wciąż jestem roztrzęsiona. Nie mogę dojść do siebie... No więc... jechaliśmy i jechaliśmy, aż nagle stangret pomylił drogę. Potem skręcił i kluczył pomiędzy innymi powozami, próbując wrócić na właściwy szlak. Koniec końców, znaleźliśmy się w jakiejś nieznanej ciemnej uliczce, w dodatku wjechaliśmy wtedy w jakąś dziurę i uszkodziliśmy koło. - Zaszlochała rozpaczliwie. - Wszystko poszło nie tak jak trzeba...

- Niekompetentny dureń! - wrzasnął rozsierzdzony wicehrabia. - Wyleci na zbity py... chciałem powiedzieć, skończy na bruku!

Słusznie, pochwalił w myślach Robin. Naturalnie nie wypada winić go za cudze kłamstwa, ale z całą pewnością zasłużył na utratę posady za to, że bez mrugnięcia okiem zawiózł jedynaczkę swego chlebodawcy do siedliska rozpusty.

- Owszem, wuju, woźnica się nie spisał, ale byłby to jedynie niefortunny incydent, gdyby nie... gdyby nie owi okropni rozbójnicy. - Regina spojrzała znacząco na współnika.

Najwyraźniej wołała, żeby od tego miejsca to on podjął opowieść.

- W rzeczy samej - odezwał się Goodfellow. - Tak się złożyło, że przejeżdżałem wówczas nieopodal. Usłyszałem poruszenie oraz krzyki dam i wraz z własnymi służącymi pospieszyłem im na ratunek. Niestety, gdy dotarliśmy na miejsce zajścia, niewiele mogliśmy zrobić. Przybyliśmy odrobinę za późno. Mogę jednak zrelacjonować państwu przebieg zdarzenia na podstawie rozmowy z waszym stangretem.

- Zróbże to więc, do pioruna! - pieklił się Seth. - Nie trzymaj nas w niepewności.

- Oczywiście, panie wicehrabio. Właśnie zamierzałem zacząć. Otóż szajka groźnych rzezimieszków uznała, że nadarza się znakomita sposobność, aby obrabować bezbronne kobiety, i postanowiła tę sposobność wykorzystać. Bandyci otoczyli powóz i zażądali pieniędzy, a także wszelkich kosztowności, które panie miały przy sobie.

- Ale przecież dziewczęta niczego przy sobie nie miały... - załkała Claire. - A te perły nie są nawet prawdziwe...

- Dziękujemy, moja droga - uciszył ją mąż. - Proszę kontynuować - dodał, przenosząc wzrok na Pucka.

Blackthorn skłonił się i udał, że nie dosłyszał rewelacji wicehrabiny.

- Jak państwo zapewne zauważyli, panna Hackett oddała napastnikom swój naszyjnik, jak również biżuterię matki.

Reggie kiwnęła głową i przyłożyła dłoń do szyi.

- Zanim przyjechaliśmy do was, odwieźliśmy mamę do domu - oznajmiła gwoli wyjaśnienia. - Była kompletnie rozstrojona. Mówi ciocia, że perły Mirandy były fałszywe? Nie wiedziałam... bandyci zdaje się, też się nie poznali. Zresztą bardziej niż klejnotami interesowali się samą Randy, to jest jej... wyglądem.

- W istocie - podchwycił Robin, odnotowawszy z niejakim zdumieniem, że Regina sama się domyśliła, z jakiego powodu uprowadzono jej kuzynkę. - Zwrócili uwagę zwłaszcza na drobną posturę, jasne włosy, niebieskie oczy oraz mleczną cerę państwa córki. Jak się dowiedziałem, młode kobiety o podobnym wyglądzie znikają w Londynie i jego okolicach od kilku miesięcy. Popytałem tu i ówdzie i nie mam dla państwa dobrych wieści. Z tego, co usłyszałem, wyłania się niezwykle ponura i smutna historia.

- A Regina? - zapytała podejrzliwie lady Burnham, zerkając z niechęcią na siostrzenicę swego męża.

Jakby obwiniała Hackettównę za to, że zamiast niej porwano jej ukochaną jędnaczkę.

- Oszczędzili pannę Hackett, ponieważ jest wysoką brunetką - wyjaśnił pospiesznie Puck. - Wygląda zupełnie inaczej niż lady Miranda. Pozostałe uprowadzone przypominały ją powierzchownością, ale pochodziły głównie z gminu. Były wśród nich służące, po-

sługaczki, kilka aktorek i baletnic. Niewątpliwie dlatego do tej pory sprawa nie zyskała zbyt wiele rozgłosu. Teraz to co innego. Państwa córka jest dla swoich oprawców, że się tak wyrażę, wyjątkowo smakowitym kąskiem. Pojmuje pan, o co mi idzie, prawda panie wicehrabio?

Ranscome sprawiał wrażenie człowieka rażonego piorunem. Przez chwilę tkwił w miejscu, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Dotarły do mnie pogłoski o tym niecnym procederze - szepnął w końcu. - Rozmawialiśmy o tym w klubie... To przerażające, młode dziewczęta dosłownie rozplývają się w powietrzu... Sądziłem, jednak, że takie rzeczy spotykają wyłącznie przedstawiciele pospólstwa! I nie przytrafiają się nam! Przeklęte miasto!

- Moje dziecko, moja córuchna kochana... - zawodziła wicehrabina, wlepiając wystraszony wzrok w męża. - Smakowity kąsek? Seth, co ten człowiek wygaduje? Nic z tego nie rozumiem. Co się stało z moją małą dziewczynką?

- Nie wiemy, wasza lordowska mość - odpowiedział za niego Blackthorn. - Możemy się tylko modlić i mieć nadzieję, że nie grozi jej nic złego. Młodziutkie dziewice są w cenie, pod warunkiem że zbywa się je w „nienaruszonym” stanie. Te kanalie będą przebierały w kupcach, aż znajdą tego, który da najwięcej. Oby do tej pory zdołali odnaleźć Burnhamównę. Zanim będzie za późno.

Choć nie wypowiedział tych słów na głos, lord Burnham jakimś sposobem je usłyszał.

- Udam się niezwłocznie na Bow Street* i najmę tylu ludzi, ile trzeba - oznajmił, jakby mówił do samego siebie. - Choćby i tuzin. Tak czy inaczej, nie wolno nam dopuścić do tego, aby sprawa się rozniosła. Nikt nie może wiedzieć, że Miranda zniknęła. W przeciwnym razie będzie zgubiona. Rozpowiemy, że ciężko zachorowała, albo lepiej, że dogląda chorej matki. Proszę was oboje o dyskrecję.

* Wicehrabia Ranscome ma na myśli tzw. Bow Street Runners - pierwszą profesjonalną jednostkę policji w Londynie, którą założył w roku 1749 pisarz i sędzia pokoju Henry Fielding. Jednostkę rozwiązano w roku 1839 (przyp. tłum.).

- Naturalnie, wasza lordowska mość - zgodził się Goodfellow. - Sam miałem to zasugerować. Jest kwestią najwyższej wagi, aby nie ucierpiała na tym nieskazitelna dotąd

reputacja państwa córki. A teraz zechcą państwo wybaczyć. Powinienem odwiedzić pannę Hackett do domu. Domyślam się, że niepokoi się o matkę.

- Tak, tak, słusznie - odparł Seth, patrząc gniewnie na siostrzenicę. Podobnie jak żona wolałby, żeby to ją uprowadzono. Rozwścieczała go sama myśl o tym, że Regina, córka zwykłego kupca, siedzi obok cała i zdrowa, tymczasem jego jedyną, szlachetnie urodzoną latorośl przetrzymują pospolici zbójcy. - Regino - zwrócił się do młodej krewniaczki - poinformuj proszę swego ojca, że odwiedzę go jutro z samego rana. - Policja z Bow Street zażąda od nas pieniędzy za swoje usługi, a moje fundusze są obecnie... ograniczone.

- Naturalnie, jak sobie życzysz, wuju - odrzekła Reggie, podrywając się na nogi odrobinę szybciej, niż wypadało. Wyglądało na to, że nie może doczekać się chwili, kiedy opuści to miejsce. - Ciociu Claire, bardzo mi przykro. Musimy być dzielni. Znajdziemy ją, przyrzekam ci.

Wicehrabina podniosła na nią oczy, po czym powróciła do pochlipywania w chusteczkę.

Robin wyciągnął dłoń, ale nim Hackettówna zdążyła ją ująć, Ranscome ponowił pytanie, na które jego gość wolałby nie odpowiadać.

- Zaraz, moi drodzy. Obawiam się, że nie dosłyszałem pańskiego nazwiska, młody człowieku. Nie zdążyłem też należycie panu podziękować za okazaną pomoc.

- Nie ma potrzeby dziękować, milordzie. Miałem po prostu zaszczyt przebywać w pobliżu, kiedy bliskie panu damy znalazły się w niebezpieczeństwie. Panna Hackett była bliska hysterii. W tym stanie nie zdołałaby zapanować samodzielnie nad sytuacją.

Regina chwilowo ograniczyła się do posłania mu morderczego spojrzenia, był jednak przekonany, że w drodze na Berkeley Square wyzna bez ogródek, co o nim myśli. Prawdę mówiąc, liczył na to, że porządnie zmyje mu głowę. Nie miał pewności, czy zgodzi się, aby jej towarzyszył, postarał się więc dać jej ważny powód, aby zechciała spędzić z nim nieco więcej czasu. Po tym, co przed chwilą powiedział, zrobi to choćby po to, żeby go zbesztać. Nie należała do kobiet, które lubią, gdy nazywa się je histeryczkami.

- Co się zaś tyczy pańskiego pytania, panie wicehrabio, to pragnę poinformować, że jestem trzecim z kolei, a zarazem najmłodszym synem Cyrila Woodwarda markiza Blackthorn.

Jego lordowska mość wyciągnął dłoń, lecz zaraz potem ją cofnął. Najwyraźniej dotarło do niego znaczenie słów rozmówcy. Mina lorda Burnham nie wróżyła przy tym niczego dobrego. Można by odnieść wrażenie, że Goodfellow oznajmił mu właśnie, iż cierpi na dżumę lub jakąś inną groźną zarazę.

- Chcesz powiedzieć, młokosie, że jesteś jednym z bękartów Blackthorna?!

- Nie inaczej, milordzie. Robin Goodfellow Blackthorn, do usług. Przyjaciele mówią na mnie Puck, choć to niedorzeczne. Ale cóż, twierdzą, że to imię wyjątkowo do mnie pasuje. Zechce pan zamienić ze mną słowo na osobności?

- Na osobności? Wykluczone! Nie życzę sobie pana oglądać ani minuty dłużej. Proszę natychmiast opuścić mój dom!

- Jak możesz, wuju! - Regina stanęła pomiędzy mężczyznami, jakby trzeba było ich rozdzielić. Czyżby się obawiała, że skoczą sobie do gardeł? A jeśli tak, to którego z nich pragnęła ochronić? - Pan Blackthorn okazał nam dziś niezwykłą życzliwość, a jego pomoc była wręcz nieoceniona. Bóg raczy wiedzieć, co by się ze mną, to znaczy z nami, ze mną i z mamą, stało, gdyby nie jego interwencja. Pomyśl tylko, jak zareagowałyby pa-pa na wieść o tym, że przytrafiło mi się jakieś nieszczęście akurat wtedy, gdy podróżowałam waszym powozem. Zamiast wypraszać swego gościa na ulicę powinieneś raczej okazać mu wdzięczność.

Puck był zachwycony. Nie mógł oderwać od niej oczu. Co za wystąpienie...

A niech mnie, zdecydowanie muszę poznać tę dziewczynę lepiej, obiecał sobie w duchu. Z wielu powodów.

- Wdzięczność nie będzie konieczna - rzekł na głos. - Aczkolwiek byłbym zobowiązany, gdyby jego lordowska mość przystał na chwilę prywatnej rozmowy. Milordzie?

Wicehrabia toczył przez moment wewnętrzną walkę. Ewidentnie rozważał, jak wyglądałoby jego życie bez pieniędzy znienawidzonego szwagra. Na koniec uznał, że najprawdopodobniej byłoby niewiele warte. Postanowił zatem mimo wszystko nie narażać się panu Hackettowi.

- Niech będzie - zgodził się z niechęcią i w nader niegrzeczny sposób przywołał Robina w odległy kąt salonu. - Ostrzegam, by nie próbował pan jej bałamucić - warknął, zerkając na siostrzenicę. - Radzę trzymać się od niej z daleka. Reginald ma wobec swojej jedynaczki określone plany. Nie muszę dodawać, że owe plany z całą pewnością nie obejmują wydania panny za owoc pozamałżeńskich wyskoków tego czy innego markiza, który w istocie nie jest nawet godzien miana arystokraty. Pamiętam doskonale ubiegłoroczny skandal z udziałem pańskiego brata oraz młodej Breanówny. Szczęśliwie dla obojga sprawa rozeszła się po kościach, tyle tylko że stary Brean to osioł bez ikry, a Reg wręcz przeciwnie. Nie brak mu wigoru ani podłości. Po prawdzie to człek zepsuty do szpiku kości.

- Hm... dziękuję za przestrożę, panie wicehrabio - skwitował gładko Goodfellow. - Będę o niej pamiętał, ale nie o tym chciałem mówić. Trzeba panu wiedzieć, że słynę ze swej spostrzegawczości i tak się składa, że podczas naszej pogawędki przyszło mi coś do głowy. Otóż pomyślałem sobie, że zaciągnął pan już u szwagra spory dług, a najwyraźniej nie lubi pan być jego dłużnikiem. Co mnie zresztą nie dziwi. W związku z tym mam dla pana pewną propozycję. Podaruję panu pewną sumę, która pokryje w całości koszty najęcia policjantów z Bow Street. Niech to będzie, powiedzmy, dwieście funtów? Jak wspomniałem nie będzie to pożyczka, lecz darowizna. Stawiam tylko jeden warunek. Pozwoli mi pan eskortować pannę Hackett do domu.

Obydwaj panowie doskonale wiedzieli, co jest na rzeczy. Opłacenie policjantów wymagało nie więcej niż dwudziestu funtów. Goodfellow oferował dziesięciokrotność owej kwoty. Innymi słowy, proponował Ranscome'owi nad wyraz hojną łapówkę. Kupował w ten sposób jego milczenie i ewentualną współpracę, jeśli w przyszłości będzie takowej współpracy potrzebował. Naturalnie żaden z nich za nic nie powiedziałby tego na głos. Blackthorn był na to zbyt bystry, a Burnham zbyt chciwy.

Jego lordowska mość najpierw wybałuszył oczy, a potem wciągnął ze świstem powietrze. Niczym ryba wyciągnięta z wody. Ryba, którą ktoś uczynny skłonny był wrzucić z powrotem do rzeki. Niemal bezinteresownie.

- Darowizna, powiada pan? I... nie zażąda pan zwrotu? Czy aby na pewno?

- Ależ, sir, obraża mnie pan tą supozycją. A zatem? Mamy umowę?

- Wiem, o co ci idzie, młodzieńcze. Chodzi o dziewczynę, mam rację? Wpadła ci w oko... To dlatego mam trzymać język za zębami albo wręcz wam pomagać. Życie ci nie-miłe, chłopcze? Reg ukatrupi cię gołymi rękami. Wspomnisz moje słowa.

- Tak, milordzie, już pan o tym wspominał, niemniej wątpię, by coś mi z jego stro-ny groziło.

Puck obmyślił ten plan, kiedy Gaston pomagał mu zmienić ubranie. Przewidział, że będzie potrzebował odpowiednich środków na wprowadzenie go w życie i zapobiegliwie zabrał ze sobą dwie sakiewki. Stojąc tyłem do dam, pokazał teraz jedną z nich, tę więk-szą, lordowi Burnham.

- Proszę to wziąć. Teraz albo nigdy. Nie ponowię oferty. Brawo, bardzo słusznie. Wykazał pan odrobinę zdrowego rozsądku. Resztę przyślę jutro przez posłańca. Teraz lekko się obróć, żeby panie nie nabrały podejrzeń, że coś knujemy, pan tymczasem sze-roko się uśmiechnie i uściśnie mi dłoń. A kiedy od czasu do czasu natkniemy się na sie-bie w miejscu publicznym, będzie pan wobec mnie równie serdeczny jak w tej chwili. Właśnie zostałem pańskim nowym przyjacielem i sprzymierzeńcem. Od dziś będzie pan za mną przepadał, choćby miało to pana zabić.

- Podstępny z ciebie łajdak i oślizgła żmija, Blackthorn. Cóż, nie dziwota, w końcu jesteś zwykłym przybłądą...

Robin wyszczerzył zęby i podał mu rękę.

- Nie przeczę, wicehrabio. Ale kto się teraz skundlił, pan czy ja?

Regina utkwiała urażony wzrok w oknie, kiedy Puck usiadł obok niej w powozie.

- Mógł mi pan powiedzieć - zaczęła z wyrzutem.

Goodfellow wygładził poły surduta i poprawił mankiety.

- O czym, panno Hackett?

O czym? Wolne żarty, pomyślała poirytowana.

- O swoim... pochodzeniu, to znaczy... o swoim położeniu... Pańska sytuacja wiele tłumaczy, na przykład dlaczego... - raptem zgubiła wątek i nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dlaczego wtedy w ogrodzie postąpiłem wobec pani jak ostatni łajdak? - podsunął usłużnie.

Obróciła się i wlepiła w niego oburzone spojrzenie.

- Wie pan, że nie to miałam na myśli! A o tamtym oboje natychmiast zapomnimy.

Czy wyrażam się jasno?

- Jaśniej nie można, ale obawiam się, że wymaga pani rzeczy niemożliwych. Ma pani bajeczne usta, Regino. Odkąd się poznaliśmy, żyję wyłącznie po to, żeby znów zakosztować ich smaku.

O mój Boże, jeśli nadal będzie przemawiał do mnie tym swoim aksamitnym tonem, to chyba umrę albo rozpląnę się w powietrzu i zostanie ze mnie tylko mokra plama.

- Nie wolno panu mówić do mnie w ten sposób...

- Nie wolno? Przecież właśnie to zrobiłem.

Nie potrafiła oderwać od niego oczu. Zresztą wcale nie miała na to ochoty. Gdy był w pobliżu, czuła, że żyje.

- Niech pan nie będzie uciążliwy. Tylko pan udaje, że nie pojmuję, o co mi idzie.

- Nie jestem uciążliwy, lecz szczery, no i może odrobinę zbyt... bezpośredni, przyznaję. Ale widzi pani, tak się składa, że lubię robić to, w czym jestem naprawdę dobry.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Zaginęła moja kuzynka! A panu zbytki w głowie.

- Skoro już o niej mowa, wciąż nie mogę się nadziwić, jakim cudem domyśliła się pani powodów jej uprowadzenia. Czyżby to wpływ nieodpowiedniej lektury? Wiem skądinąd, że niektóre młode damy lubują się w czytaniu tanich romansideł, których heroiny spotykają rozliczne okropieństwa. Na kartach owych powieści niewinne i urodziwe dziewczęce co chwila porywane są przez typy spod ciemnej gwiazdy. Trafiają potem do haremów w dalekim nieznanym kraju, gdzie czekają, aż wybawi je szlachetny rycerz na białym rumaku, ewentualnie odbierają sobie życie, żeby nie dopuścić do tego, aby podli zwyrodnialcy odebrali im cześć. Zawsze byłem ciekaw, po co komu nienaruszona cnota, kiedy jest martwy? Zastanawiała się pani nad tym?

Reggie odwróciła wzrok, choć nie przyszło jej to łatwo. Wpatrywanie się w jego twarz sprawiało jej przyjemność. Podobały jej się zwłaszcza fascynująco tajemnicze i niezwykle inteligentne oczy. Ich przenikliwe spojrzenie widziało stanowczo zbyt wiele.

- Mój ojciec jest kupcem i właścicielem kilku statków przewozowych. Podróżuje po całym świecie i widuje rzeczy, w które większości z nas trudno uwierzyć. Czasem

nam o nich opowiada... a ja sędzę, że jego opowieści są prawdziwe. Nigdy nie przyszło mi jednak do głowy, że coś takiego mogłoby się zdarzyć tu, w Londynie.

- Straszne rzeczy zdarzają się wszędzie, Regino. Pewien służący na balu powiedział mi, że zna co najmniej dwójkę zaginionych dziewcząt. Jedna z nich była posługaczką w tawernie, a druga modystką. Obie przepadły jak kamień w wodę i to w odstępie zaledwie kilku dni. Słyszał także o innych. Ponoć wszystkie są drobnymi blondynkami o niebieskich oczach. Podobnie jak pani kuzynka. Maską Mirandy była w strzępach, kiedy ją znaleźliśmy, a to oznacza, że lady Burnham próbowała się wyswobodzić. Nie opuściła terenu posiadłości z własnej woli. Rzecz jasna nie mamy stuprocentowej pewności, że przetrzymuje ją ta sama szajka, która jest odpowiedzialna za porwania pozostałych kobiet, niemniej z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, że to ci sami sprawcy. Zgodzi się pani?

- Tak. Randy na pewno nie poszła z nimi po dobroci. Miałyśmy tylko sobie popatrzeć, w najgorszym razie poflirtować. To było nierozsądne, nawet głupie, ale nie przypuszczałyśmy, że okaże się niebezpieczne. Znam swoją kuzynkę. Jest nieroztropna, ale nigdy nie zostawiłaby mnie samej. Chciałyśmy się trochę... zabawić, nic więcej...

Wzięła od niego chusteczkę i wytarła zapłakane policzki.

- Pani wuj zamierza nająć policjantów z Bow Street, a ci z racji swego fachu bez wątpienia doskonale orientują się w sytuacji. Wiedzą o poprzednich zaginionych. Zapewne domyślają się także, gdzie należy ich szukać. Ludzie nie znikają bez śladu.

Odwróciła się, by znów na niego spojrzeć.

- Sam pan nie wierzy w to, co mówi, prawda? Bywałam z ojcem w porcie nie raz i nie dwa. Cumują tam setki okrętów i statków. Miranda może już być na pokładzie jednego z nich. O mój Boże... - załamał jej się głos. - Wystarczy, że nadejdzie kolejny przypływ, a ci szubrawcy wywiozą ją na drugi koniec świata... Nie wiem, co robić... tak bardzo się o nią boję...

Nagle poczuła wokół siebie jego ramiona. Puck przygarnął ją do piersi i oparł brodę o jej włosy. Próbował ją pocieszyć, a ona nie miała nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie. Przyłgnęła do niego w nadziei, że da jej siłę, by mogła stawić czoło temu, co spotkało jej bliskich. Była mu wdzięczna za wsparcie, ale obudziły się w niej także uczucia,

które nie miały nic wspólnego z wdzięcznością, uczucia, którym w zaistniałych okolicznościach nie powinna ulegać. Wiedziała, że nie wolno jej zapominać o kuzynce.

Do tej pory nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć w trudnych chwilach. W jej życiu nie było ani jednej osoby, do której mogłaby się przytulić. Nie dostała nawet psa, który obdarowałby ją bezwarunkową miłością. Kochała matkę, ale lady Letycja kompletnie nie sprawdzała się w roli rodzica. Z ojcem było jeszcze gorzej. Reginald Hackett nie miał dla córki żadnych uczuć. Widział w niej jedynie towar, coś, co jak sam się wyraził, „kupił za bezcen i zamierzał sprzedać z niebagatelnym zyskiem”. Może dlatego było jej tak dobrze w objęciach Robina Goodfellowa.

Odsunęła się dopiero, gdy powóz zatrzymał się przed domem przy Berkeley Square.

- Musimy z tym skończyć. Raz na zawsze. Użalam się nad sobą, a przecież to Mirandzie grozi niebezpieczeństwo, nie mnie. Jestem okropna. Pan zresztą też, panie Blackthorn. Zamierzał pan niecnie wykorzystać sytuację i moją chwilową słabość, nieprawdaż? Proszę się przyznać...

- Cóż, owszem, przemknęło mi to przez myśl, nie przeczę. Ale... czy aby na pewno byłaby pani temu przeciwna?

Usiłowała zgromić go spojrzeniem, ale nie wytrzymała i roześmiała się w głos.

- Jest pani nieznośny. Imię Puck rzeczywiście idealnie do pana pasuje.

- Wiem. - Uśmiechnął się i cmoknął ją w usta. - To dla kurażu - rzekł, zaglądając jej w oczy.

- W istocie odwaga będzie mi bardzo potrzebna. Wejdzie pan ze mną?

Potrząsnął głową.

- Lepiej będzie, jeśli pozostanę anonimowy. Wicehrabia Ranscome raczej o mnie nie wspomni, więc nie mamy powodów do obaw. Sama wyjaśni pani wszystko rodzicom. Ojciec nie będzie wypytywał o szczegóły. Wystarczy mu, że wróciła pani do domu cała i zdrowa. A co do matki...

Skrzywiła się mimo woli.

- Z matką nie będzie problemu.

- Przykro mi - szepnął, głaszcząc ją po policzku.

- Niepotrzebnie. To nie pańska wina.

- Przykro mi, że musimy się już rozstać. Jutro zatriumfuje rozsądek i będzie pani pamiętać już tylko o tym, że jestem wyjątkowo kiepską partią.

Spuściła wzrok. Miał rację. Nie wolno jej było myśleć o nim w ten sposób. Reginald Hackett nie pozwoliłby, aby jego najcenniejszy artykuł zmarnował się na rzecz wykluczonego z towarzystwa bękarta, nawet jeśli owego bękarta spłodził sam markiz Blackthorn.

- Ulegliśmy chwili - powiedziała, nie podnosząc oczu. - Przeżyłam dziś ogromy wstrząs, nawet kilka wstrząsów... pan zaś jest...

- Nieprzyzwoitym łajdakiem? - wyręczył ją.

- Jaśnie panie, dojechaliśmy na miejsce - oznajmił stangret, otwierając drzwiczki.

Puck odsłonił zęby w szerokim uśmiechu. Wyglądał młodo, beztrosko i niepoważnie. Regina przypatrywała mu się przez chwilę ze zdumieniem pomieszanim z zachwytem. Miał tyle różnych twarzy, a ona pragnęła poznać je wszystkie.

- Niektórzy wprost uwielbiają stwierdzać rzeczy oczywiste. Mój służący odprowadzi panią do drzwi i upewni się, że wpuszczono panią do środka.

Skinęła posłusznie, a potem podjęła ważną decyzję. Dotknęła jego policzka i pocałowała go prosto w usta.

- Jutro o jedenastej w parku - powiedziała, zgarnawszy pospiesznie torebkę.

Gdy wypadła z impetem z powozu, usłyszała za plecami jego śmiech.

Miała nadzieję, że uda jej się dotrzeć niepostrzeżenie do swego pokoju. Chciała przemyśleć w samotności wydarzenia wieczoru. Niestety, tuż za progiem natknęła się na ojca, który przywołał ją do bawialni. Nie spodziewała się, że go zastanie, zwłaszcza że kiedy widziała go po raz ostatni, wydawał się niezwykle zajęty.

Poczuła się raptem okropnie zmęczona, ale nie miała wyboru. Zawróciła i dygnęła na powitanie. Z jakiegoś powodu zawsze sprawiało mu to przyjemność. Gdyby nie dygnęła, musiałaby ucałować go w policzek, a po tym, na czym go dziś przyłapała, wołałaby raczej ucałować osmolony ruszt kominka.

- Gdzie twoja matka? Zresztą nieważne. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

Reg Hackett wciąż był stosunkowo młodym i niezwykle krzepkim mężczyzną. Wyróżniał się słusznym wzrostem, ale nie był aż tak wysoki jak Puck, co Regina odnotowała z niemalym zadowoleniem. Zażywną budowę zawdzięczał ciężkiej pracy fizycznej. Zazwyczaj pracował ramię w ramię z załogami swoich statków, brał udział zarówno w ładowaniu, jak i w rozładowywaniu przewożonych towarów. Często zabierał do doków córkę, głównie po to, żeby jej pokazać, jak wielkim wysiłkiem okupiony jest jego sukces.

Nieustannie powtarzał, że dorobił się majątku dzięki ciężkiej „harówce”, a ona powinna być mu wdzięczna za piękne stroje oraz życie w dostatku. Gdyby nie on, nie miałyby dachu nad głowę i zapewne umarłyby z głodu wraz ze swą bezużyteczną matką.

Pewnego dnia oświecił ją także w kwestii tego, jak winna okazać mu swą wdzięczność.

- Zadowolili mnie wyłącznie hrabia, pojmujesz, moja panno? Żaden pozał się Boże baronet, baron czy inny wicehrabia. Tylko hrabia z prawdziwego zdarzenia. Wydasz się za takiego, a potem urodzisz mu słuszną gromadkę synów, im więcej, tym lepiej, a mnie przy okazji uczynisz dziadkiem dziedzica. Tym sposobem dwa pokolenia wprzód nikt już nie będzie pamiętał o tym, że Hackettowie kiedykolwiek parali się kupiectwem. Tak, moja panno, dwa pokolenia, nie więcej. To w zupełności wystarczy. I jeszcze coś, jednemu z waszych nobliwych potomków dacie na imię Reginald. Będę przy tym obstawał. Obiecałem to na łożu śmierci matce i zamierzam dotrzymać słowa. Zrozumiano?

Obiecał matce. Czyli babce Hackett. Dla niego Alice Hackett była chodzącym ideałem, uosobieniem wszystkiego, co w życiu dobre i wartościowe, dla matki, która musiała znosić obecność gruboskórnej i apodyktycznej teściowej aż do jej śmierci, wręcz przeciwnie. Lady Letycja kochała córkę, ale nie potrafiła ukryć obawy, że Regina wrodziła się w swoją protoplastkę - wywodzącą się z gminu wulgarną prostytutką - i że Hackettówna prędzej czy później ujawni swoje prawdziwe prostackie oblicze, przynosząc tym samym ujmę drugiej stronie rodziny, to jest szlachetnie urodzonym Burnhamom.

- Przynoszę fatalne wieści, papo - odezwała się Reggie, gdy ojciec podszedł do kafejki z dzinem. Upodobanie do tego trunku było jedyną rzeczą, która łączyła go ze szwagrem. - Nasz stangret zmylił drogę, wjechaliśmy w niebezpieczny zaułek i zostaliśmy

napadnięci przez bandę opryszków... - zawiesiła głos. - Ja wyszłam z opresji bez szwanku - dodała pospiesznie, gdy posłał jej zasepione spojrzenie. - Ale za to Miranda...

- Co Miranda? No, dalej, moja panno, wyduś to wreszcie. Cóż się znowu przytrafiło tej głupiej gęsi? Pobito ją? Zastrzelono? Zhańbiono?

Podsunęła sobie krzesło i usiadła.

- Nie. Uprowadzono.

- Uprowadzono, powiadasz... - powtórzył sucho.

W jego głosie nie było ani odrobiny troski czy współczucia.

- Wuj Seth wszczął już poszukiwania - kontynuowała niepewnie. Bała się ojca, choć nie chciała się do tego przyznać. Wydawał jej się wielki i groźny. Sama jego obecność była przytłaczająca. Pocieszała się myślą, że bał się go prawdopodobnie każdy z odrobiną oleju w głowie. - Obawiamy się, że owi bandyci uwięzili Randy po to, żeby ją następnie sprzedać. Tak jak nikczemni ludzie, o których opowiadałeś wielokrotnie mi i mamie. Ci, którzy traktują ludzi jak towar i kupczą nimi bez najmniejszych skrupułów.

- Pojmuję... - wycodził z wolna. - Zastanawiam się tylko, czy aby na pewno mówisz prawdę, moja panno. Nie zdziwiłbym się, gdyby ta nieszczęsna idiotka namówiła cię, żebyś opowiedziała rodzinie smętną bajeczkę, a sama uciekła z jakimś durnym młokosem, któremu się zdaje, że ją kocha.

- Nie, papo! Naprawdę ją porwano!

- Nie pomogłaś jej zmyślić tej historii? Nie łzyj, dziewczyno, bo nie ręczę za siebie.

Regina poderwała się na równe nogi.

- Niejedno można mi zarzucić, ale z pewnością nie jestem kłamczuchą.

Huknął pięścią w stół. Tak mocno, że aż zatrzęsł się kandelabr.

- Akurat, ty mała krętaczko! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

Opadła z powrotem na krzesło, choć prawdę mówiąc, najchętniej wymknęłaby się z pokoju. Nie przypuszczała, że ojciec tak dobrze ją zna.

- Papo, proszę...

- W końcu jesteś moją nieodrodną córką. A to znaczy, że kłamiesz jak z nut, kiedy ci to na rękę. To twoja jedyna zaleta poza tym, że jesteś sporo warta na małżeńskim targu.

- Mam też całkiem znośne zęby - mruknęła z urazą.

Hackett opróżnił szklaneczkę i odstawił ją na stół.

- Nie bądź taka drażliwa, moja panno - rzekł pojednawczo. Na lepsze przeprosiny zwyczajnie nie było go stać. - Przedstawiłem ci tylko fakty. W dzisiejszym świecie trzeba być bardziej hartownym. Bez tego daleko nie zajdziesz. Zresztą mniejsza o to. Zapomnimy o tej nonsensownej bajeczce ze zbrojami w roli głównej. Zgoda? Postanowiłyście dziś odrobinę napsocić, jak to młode trzpiotki, ot i wszystko. Tobie udało się uratować skórę, za to twoja kuzynka nie miała aż tyle szczęścia. Następnym razem i ty możesz ucierpieć, ale nie będzie następnego razu, prawda?

Skuliła się i zrezygnowana wbiła wzrok w podłogę. On wiedział. Ale skąd? Jakim sposobem...?

- Prawda, papo.

- Zatem rozumiem, że Burnhamówna nie wplątała cię w ucieczkę z jakimś absztyfikantem? I naprawdę została porwana... Seth już o tym wie?

Skinęła głową.

- Zamierza udać się na Bow Street jutro z samego rana.

- Niech go diabli. Widzę, że nie ominie mnie kolejny wydatek. A ta durna dziewczka nie jest warta moich pieniędzy. Żadnego nie ma z niej pożytku, tyle tylko że towarzyszy ci wieczorami w oficjalnych wyjściach.

- W rzeczy samej, papo. - Regina chwyciła się tej myśli, jak tonący chwytą się brzytwy. Wiedziała, że to jedyny argument, który może przekonać ojca do uratowania powinowatej. - Bez Randy nie będę mogła uczestniczyć w ważnych wydarzeniach towarzyskich. Na mamę nie mogę liczyć, a ciotka Claire będzie zdruzgotana, jeżeli jej córka nie wróci, wszystko będzie tak jak dawniej.

- Ha! Przedni dowcip, słowo daję. Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

Ojciec podszedł do krzesła, na którym siedziała, i stanął tuż przed nią.

- Twoja kuzyneczka leży teraz pewnie w jakiejś tawernie z rozłożonymi nogami, a cała horda rozochoconych bywalców używa na niej do woli. Wyprawiają z nią rzeczy, o których nie śniło się samemu diabłu, a im bardziej ona wrzeszczy i protestuje, tym większej dostarcza im podniety. Nie waż się zasłaniać uszu, moja panno. Słuchaj, co do ciebie mówię. Oby Burnhamówna nie dożyła jutra. Tak będzie lepiej dla niej samej i dla nas wszystkich. Wkrótce pojmie to nawet jej własny papcio. Wspomnisz moje słowa. Nie będzie jej długo szukał. Dziewczyna skończy na cmentarzu albo w rynsztoku. Nie ma dla niej ratunku. A ty, dobrze się zastanowisz, zanim znów wpadnie ci do głowy zboczyć ze ścieżki, którą ci wyznaczyłem, rozumiesz, durna dziewczucho?

Regina zacisnęła powieki i bezwiednie złączyła kolana. Obraz, który podsunął jej ojciec, był okrutny, ale przemawiał do wyobraźni. Miał rację. Była głupia. I miała wiele szczęścia. Bóg jeden wie, co by się z nią stało, gdyby zamiast Pucka spotkała na maskaradzie kogoś takiego jak Reginald Hackett albo jak oprawca Mirandy.

- Tak, papo, rozumiem - powiedziała szeptem.

- Dobrze. A teraz powiedz mi, jak on się nazywa.

Poderwała głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem, które szybko zmieniło się w przerażenie.

- Nawet nie próbuj kłamać. Rozbójnicy. W Mayfair. Tfu! Zastanawiałem się, jaką zaserwujesz nam bajeczkę. Nie sądziłem, że będzie aż tak lichotka. Tylko taki półgłówek, jak mój, pozał się Boże, szwagier mój wziąć podobne brednie za dobrą monetę.

Reggie była bliska omdlenia. Sprawa wyglądała o wiele gorzej, niż przypuszczała.

- Wiedziałeś? Od samego początku? I pozwoliłeś mi opowiadać te wszystkie kłamstwa?

- Owszem. Swoją drogą napatrzyłaś się dziś na to i owo, co, moja panno? Zauważyłem cię w tłumie, ciebie i tego jegomościa, z którym się prowadziłaś, ale nim zdążyłem was dogonić, wsiedliście do jego powozu. Pojechałem za wami na Cavendish Square. Potem uznałem, że Seth zdobędzie się chociaż na tyle, aby zapewnić ci bezpieczny powrót do domu. No więc? Kim on jest? Zignorowała pytanie.

- Wiedziałeś, że Miranda zaginęła podczas balu?

- Cóż, odjechaliście bez niej. Przyjęcia lady Fortesque to nie podwieczorki dla statecznych matron. A licho nie śpi. Tak czy inaczej, Burnhamówna sama mogła zaplanować swoje zniknięcie. Tak przynajmniej wówczas pomyślałem. Byłoby to do niej podobne. Przyznasz, że twoja kuzyneczka jest wyjątkowo bezmyślna. Skoro koniecznie chcesz wiedzieć, odpowiedź brzmi nie. Nie miałem pewności, że ulotniła się podczas maskarady. Nabrałem jej dopiero, kiedy tam wróciłem i rozpytałem innych gości. Podaj mi nazwisko tego człowieka. Odwiózł cię do wuja. Dzięki niemu jesteś cała i zdrowa. Chcę mu podziękować.

- Nie - odparła stanowczo, choć ze strachu drżała na całym ciele.

Ojciec nigdy dotąd nie podniósł na nią ręki. Kontrolował ją w inny sposób.

- Mów, bo inaczej każę zamknąć twoją matkę w przytułku dla obłąkanych.

Dotychczas ta groźba zawsze przynosiła pożądany skutek. Tym razem Regina nie dała się jednak zastraszyć. Powiedziała to, co zawsze chciała, lecz czego nigdy nie miała odwagi powiedzieć.

- Nie zrobisz tego. Nie zapominaj, że próbujesz wepchnąć kupiecką córkę na salony. Nie osiągniesz upragnionego celu, jeśli uczynisz mnie także córką wariatki. Stanę się wybrakowanym towarem, którego nikt nie zechce kupić, choćbyś obiecywał mu połowę swojej fortuny.

Zasłoniła się, kiedy uniósł dłoń, aby wymierzyć cios, ale cios nie padł. Zamiast ją uderzyć, nagle się uśmiechnął, co nie wróżyło niczego dobrego.

- Dobrze, skoro tak stawiasz sprawę, zapomnimy o dobrym Samarytaninie. Możesz iść spać.

- Tak, papo. Wybacz, że byłem taka nieroztropna. - Regina podniosła się i niemal wybiegła z pokoju.

Była pewna, że ojciec nie da za wygraną. Całe szczęście, że Puck miał na sobie maskę. Wyglądało na to, że nikt go nie rozpoznał. Tak czy owak, nie wolno jej się z nim spotkać. Dla jego dobra. Po namyśle doszła do wniosku, że mimo wszystko powinna się z nim zobaczyć. Żeby go ostrzec. W przeciwnym razie gotów przyjąć i zapukać do jej drzwi. Wiedziała, że jest wystarczająco nierozważny, żeby zrobić coś takiego. Albo coś o wiele gorszego...

ROZDZIAŁ CZWARTY

- M'sieur Puck, zechce pan z łaski swojej unieść nieco brodę, żebym mógł należyście zawiązać panu fular? Będę niezmiernie zobowiązany. - Gaston swoim zwyczajem przemawiał do chlebodawcy z przesadną uprzejmością.

Nie zawsze wyrażał się tak kwieciście i nienagannie. Kiedy Robin znalazł go w paryskim rynsztoku bliskiego śmierci, jego mowa brzmiała zgoła inaczej. Ocalił mu życie, wrywając go z rąk grupki rozwścieczonych prześladowców, którzy wymierzali biedakowi karę za jego domniemane „wynaturzenia”. Z gorliwością typową dla zajadłych bigotów.

U służby Puck cenił nade wszystko lojalność. Ponadto miał sentyment do wszelkich odmieńców i ludzi pokrzywdzonych przez los. W osobie Gastona zyskał wiernego przyjaciela i sojusznika, jednym słowem, bezcenny skarb. Mógł mówić przy nim, co chciał, jak chciał i kiedy chciał, bez obawy, że zostanie osądzony, źle zrozumiany lub zdradzony.

- Powiadam ci, Gaston, dziewczyna jest zjawiskowa. Idę o zakład, że w życiu nie widziałeś takich oczu. I takich ust. Nie sposób im się oprzeć. W dodatku jest harda, pełna wigoru i nieprzeciętnie bystra. Istny brylant!

- Tak, m'sieur. Już pan o tym wspominał. Wiele razy. Jestem niezmiernie rad, że spotkało pana tak wielkie szczęście. Brak mi słów, żeby wyrazić swoje zadowolenie. Broda w górę, m'sieur, jeśli łaska.

- Powinienem był odejść na zawsze - kontynuował Blackthorn, poniosłszy posłusznie podbródek. - Zostawić ją w spokoju. Tak nakazywałyby przyzwoitość i rozsądek. Mogę przecież wszcząć poszukiwania panny Burnham bez udziału Reginy. Nie należy jej do tego mieszać. To zbyt niebezpieczne. Powiem jej to i więcej się nie zobaczymy.

- Naturalnie. Pragnę jednakowoż przypomnieć, że aby to uczynić, musi pan wpiersię z nią spotkać. A przygotowania do tegoż spotkania zajęły panu „zaledwie” dwie godziny, z czego większość spędził pan przed lustrem. - Służący wygłosił to zdanie kom-

pletnie pozbawionym wyrazu tonem, acz równie dobrze mógł huknąć pana obuchem w głowę.

Goodfellow przyjrzał się po raz ostatni swemu odbiciu i westchnął z zadowoleniem. Lokaj jak zwykle spisał się na medal.

- Nie mogłem posłać do jej domu umyślnego z bilecikiem. To nazbyt ryzykowne. W istocie wszelka korespondencja niesie ze sobą ogromne ryzyko.

- Aha, naturalnie, sir. A ja? Czyżbym ja również był „nazbyt ryzykowny”? Mógłbym udać się do wyznaczonego miejsca schadzki i przekazać pannie Hackett wiadomość od pana. Pożegnałbym ją w pańskim imieniu bez konieczności spisywania czegokolwiek na papierze.

Puck spojrział na Francuza z uniesioną brwią.

- Słuszna uwaga. Właśnie dlatego ją zignoruję.

Gaston pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Nigdy wcześniej nie widziałem pana w podobnym stanie, m'sieur. Uwielbia pan piękne kobiety. Romansuje pan z nimi, po czym je pan porzuca. Przeskakuje pan z kwiatka na kwiatek niczym pszczoła w poszukiwaniu nektaru. Czemu tym razem miałyby być inaczej?

Blackthorn sięgnął po rękawiczki i klepnął służącego po ramieniu.

- Sam się nad tym zastanawiam, mój drogi. I mam nadzieję wkrótce odkryć, w czym rzecz. Zaczę swoje badania już dziś. Pozwalam ci odmówić w mojej intencji modlitwę. Kto wie, może się okaże, że jednak mam jakieś ludzkie odruchy i jestem człowiekiem z krwi i kości. - Zakończywszy na tym rozmowę, ruszył w stronę parku.

Postanowił przybyć na miejsce sporo przed umówioną godziną, żeby sprawdzić teren. Ostrożności nigdy za wiele. Intuicja nie zawiodła go i tym razem.

Niemal natychmiast spostrzegł podejrzanego mężczyznę, który wyglądał przeciętnie, lecz był wyraźnie nieswój i rozglądał się niespokojnie na boki. Jakby czegoś lub kogoś wypatrywał. Co jakiś czas spoglądał przy tym na odzianą w jasnozieloną pelisę młodą damę, za którą dreptała rudowłosa pokojówka.

Regina również przyszła wcześniej. A zatem nici ze wspólnej przechadzki na łonie natury. Puck obrócił się na pięcie, wyszedł na ulicę i skierował się nieco okrężną drogą ku Berkeley Square.

Kościelne dzwony wybiły dwunastą, kiedy wychynał ze swej kryjówki i ujrzał wreszcie pannę Hackett, która zmierzała szybkim krokiem wprost do domu. Była tak wściekła, że biedna pokojówka ledwie za nią nadążała.

A niech to, pomyślał niewesoło. Zmyje mi głowę, jeśli zaraz się nie pokażę. Na szczęście, o tej porze tylko nieliczni mieszkańcy tej snobistycznej dzielnicy zażywali spaceru.

- Psst! - Do diaska, nie usłyszała go. - Pssst!!! - spróbował ponownie.

Zwolniła i spojrzała w głąb zaułka, w którym się zaczął. Nakazał jej gestem udawać, że ubrudziła but, a ona spełniła jego prośbę bez wahania. Przystanęła i oparłszy dłoń o latarnię, wysunęła trzewik, aby służąca mogła zetrzeć z niego wymagane nieczystości.

- Gdzie pan się podziewał? - rzekła z wyrzutem, zwracając twarz ku pokojówce. - Czekałam blisko godzinę!

- Nie była pani sama. Ktoś panią obserwował. Czyżby pani ojciec coś podejrzewał?

- Nie musi niczego podejrzewać. Wszystko wie. Widział mnie na balu.

- Hm... to dlatego nagle wyrósł pani ogon...

- Co mi wyrosło?! - spytała ze zgrozą.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Ogon. Mam na myśli tego typu, który za panią chodzi. Nie odstępuję pani na krok. Teraz też jest gdzieś w pobliżu. Nie, proszę się nie oglądać! Niech myśli, że pani o nim nie wie. Im dłużej, tym lepiej. W końcu poczuje się swobodnie i stanie się mniej ostrożny.

- No, tak. To oczywiste. Ale... co my teraz zrobimy? Nie może mnie z panem zobaczyć. Nie zdradziłam ojcu pańskiego nazwiska, choć bardzo na to nalegał.

- Jeśli mu na tym zależy, prędzej czy później odkryje prawdę. Idę o zakład, że pani wuj chętnie mu w tym pomoże.

- Panienko... - jęknęła z ziemi Hanks. - Moje kolana... Już nie mogę wytrzymać.

- Och, wybacz, moja droga - powiedziała pospiesznie Reggie, po czym zwróciła się do Pucka. - Musimy iść. Rozumiem, że skoro tkwił pan tu tak długo, zdążył pan obmyślić jakiś plan. No więc? Jak i gdzie możemy się spotkać?

- Zuchwała z pani osóbką, słowo daję. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, jak bardzo podziwiam tę cechę u kobiet. - Puck miał ochotę porwać ją w ramiona i całować do utraty tchu. - Proszę wrócić do domu, wejść do środka i odczekać dziesięć minut. Potem niech pani wyjdzie z powrotem, skręci w prawo i jeszcze raz w prawo na rogu ulicy. Tam panią odnajdę.

- A... mój ogon?

- Nie wpadnie mu do głowy, że tak szybko wybierze się pani na kolejny spacer. Poza tym o tej porze na pewno jada lunch, więc jest głodny i pobiegnie do najbliższej tawerny, jak tylko upewni się, że zniknęła pani wewnątrz budynku. Gdyby mimo wszystko okazało się, że nadal jest w zasięgu wzroku, kiedy znowu wystawi pani śliczną buzię na zewnątrz, zagwiżdżę, aby panią ostrzec, i wymyślę coś innego. Swoją drogą, gustowny kapelusik, choć wolałbym, żeby odsłaniał nieco więcej.

- A cóż to będzie? Owo coś innego? - dopytywała się, udając, że szuka czegoś w torebce.

Cóż za bystrość umysłu, zachwycił się w duchu Robin. Najpierw bucik, a teraz to. Nie odegrałaby tego lepiej prawdziwa aktorka. Urodziła się, by grać i dawać innym przyjemność.

- Panienko, naprawdę trzeba iść - niecierpliwiła się Hanks. - Nie możemy tu dłużej stać.

- Jeszcze nie wiem - oznajmił tymczasem Blackthorn. - Jak szerokie macie kominy? Zmieściłbym się do któregoś z nich?

Hackettówna zignorowała jego dowcipną odpowiedź i uniósłszy brodę, ruszyła na przód. Puck pogratulował sobie znakomitego gustu. Nie mylił się co do niej. W istocie była zjawiskowa. Westchnął i popędził wąskimi alejkami przed siebie. Niebawem wyłonił się z drugiej strony placu, niemal wyprzedzając jegomościa śledzącego Reginę.

Popatrzywszy na niego przez dłuższą chwilę, doszedł do wniosku, że ma do czynienia z marynarzem. Żeglarze poruszali się charakterystycznym, chwiejnym krokiem,

więc nietrudno ich było rozpoznać. Zwykli też nosić przy sobie noże i pistolety, zazwyczaj zatknięte za pas. Zapamiętał to sobie na później i kontynuował niespiesznie spacer. Szedł za ogonem panny Hackett, aż obydwaj minęli jej dom i skręcili w lewo. Kilka przecznic dalej marynarz wszedł do niewielkiej tawerny uczęszczanej głównie przez okoliczną służbę. Nim zamknął za sobą drzwi, Goodfellow zdążył zauważyć, że kilku bywalców powitało go od progu, a to oznaczało, że był tam częstym gościem.

Idealnie się składa. Gaston uwielbiał poznawać nowych ludzi. W swoim poprzednim życiu, zanim najął się do służby u Blackthorna, poznawał ich całe mnóstwo, wprawdzie przelotnie, ale jednak poznawał. Czynił to, pozbawiając przygodnie napotkane osoby kosztowności, był bowiem jednym z najskuteczniejszych w mieście kieszonkowców.

Puck chętnie zapoznałby się z zawartością kieszeni „anioła stróża” panny Hackett. Był przy tym więcej niż pewien, że jego francuski lokaj równie chętnie odświeży i przećwicz swoje stare umiejętności.

Wróciwszy na Berkeley Square, zaszedł wprost na tyły rezydencji Hackettów. Przy tej samej wąskiej uliczce mieściła się druga równie okazała posesja. Ponieważ domy stały bardzo blisko siebie, ich okna były zazwyczaj zasłonięte. Sąsiedzi zwyczajnie nie lubili się nawzajem podglądać. Być może nie było to idealne miejsce na potajemną schadzkę, ale przynajmniej powinno obyć się bez świadków...

Nagle pojawiła się Regina i zapomniał o bożym świecie. Wyszedł jej na spotkanie i chwycił ją za rękę.

- Przyniosła pani ze sobą słońce - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Niechże pan da spokój - odparła, cofając dłonie. - Nie mamy czasu na pańskie nonsensy... niemniej dziękuję za komplement.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło ubiegłego wieczoru po tym, jak odwiozłem panią do domu. - Odnotował z niezadowoleniem, że jest blada i wymizerowana. Zapewne ma za sobą ciężką noc.

- Jak już wspominałam, ojciec widział mnie na balu. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Miranda została uprowadzona. Sądził, że sama zaaranżowała ucieczkę z jakimś mężczyzną, z którym się potajemnie zaręczyła. Kiedy powiedziałam mu o naszych po-

dejrzeniach, stwierdził tylko, że wuj Seth znów sięgnie do jego kieszeni, żeby opłacić policję. Nic więcej go nie interesowało.

Znów ujął jej ręce w swoje. Tym razem pozwoliła, by je uścisnął, i nie odsunęła się.

- Powie mi pani, jeśli wicehrabia rzeczywiście zwróci się do ojca po pieniądze?

Przechyliła głowę i uniosła brew.

- Dobrze, powiem, ale po co chce pan to wiedzieć?

- Po co? Powiedzmy, że na wszelki wypadek. Lepiej wiedzieć za dużo niż za mało. Powinna pani podać ojcu moje nazwisko, kiedy o nie pytał. Przypuszczam, że pani odmowa mocno go rozeźliła.

- Cóż, nie był zadowolony, ale dość szybko dał za wygraną. Teraz to nieistotne. Najważniejsze, byśmy odnaleźli Randy. Zanim będzie za późno. Ojciec twierdzi, że nie ma już dla niej ratunku, ale ja w to nie wierzę. Mówi, że jest martwa, w najlepszym razie zrujnowana. Nie wierzę, że ktoś porwał córkę wicehrabiego i wnuczkę hrabiego tylko po to, żeby... żeby ją... och, proszę, Puck, nie każ mi mówić tego na głos... - Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- Nie musisz mówić nic więcej, Regino, ale twój udział w poszukiwaniach powinien się definitywnie zakończyć. Jak najprędzej. Przyszedłem tu tylko po to, żeby ci to powiedzieć.

Westchnęła ciężko.

- A ja przyszedłam po to, żeby ci powiedzieć, żebyś zapomniał o całej sprawie. Nie wolno mi prosić cię o pomoc. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Nie możemy się więcej widywać. Ojciec byłby temu przeciwny.

- Domyślam się, że to z powodu moich rodziców i tego że kiedy powołali mnie na świat, nie łączyły ich więzy małżeńskie. Twój papa zaplanował dla ciebie znacznie lepszą przyszłość. Doskonale to rozumiem.

- W rzeczy samej. Uparł się, że wyda mnie co najmniej za hrabiego. Jestem drabiną, po której zamierza wspiąć się na wyższy szczebel londyńskiej socjety. Nigdy się z tym nie krył.

- Na pewno ma na względzie wyłącznie twoje dobro. - Puck przyjrzał jej się uważnie.

Zastanawiał się, jak zareaguje. Sprawiała wrażenie osoby, która nie lubi, gdy inni sterują jej życiem.

- Nic podobnego. Idzie wyłącznie o jego próżność i wygórowane ambicje. Wiesz to równie dobrze jak ja. Widzę to w twoich oczach. Znaczą dla niego tyle samo co dobrej jakości towar, za który będzie mógł kupić sobie upragniony tytuł. Ale mniejsza o to. W tej chwili liczy się przede wszystkim Miranda. Mój ojciec twierdzi, że nawet wuj Seth nie będzie jej zbyt długo szukał. Będzie wolał zapomnieć, że kiedykolwiek miał córkę, niż dopuścić do tego, żeby wróciła do domu zhańbiona. Ciotka nigdy o niej nie zapomni, ale wuj jest słaby, a bez pieniędzy ojca nie zdoła niczego zrobić. Jeśli ktokolwiek może ją uratować, to tylko ja. Muszę to zrobić sama.

- Mówisz poważnie, prawda? Rzeczywiście, jesteś gotowa to zrobić... - Była albo szalona, albo najodważniejsza ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. - Zechcesz mi wyjawić, jak zamierzasz tego dokonać?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia. Myślałam... miałam nadzieję, że powiesz, żebym nie była nierozsądna i że zrobimy to razem. Wiem, że nie powinnam liczyć na twoją pomoc, ale rozpaczliwie jej potrzebuję. Wykorzystuję twoją uczciwość i... słabość do mojej osoby, tak, to haniebne, ale jestem zdesperowana. Poza tym wydaje mi się, że należysz do ludzi, którzy zawsze robią to, co inni im odradzają. Z czystej przekory.

Roześmiał się, szczerze ubawiony jej przemową, lecz zaraz umilkł. Ktoś mógł ich usłyszeć, co z pewnością nie wyszłoby im na dobre.

Nietrudno było sobie wyobrazić, jak Hackett zareagowałby na wieść o tym, że jego córkę widziano w towarzystwie jednego z bękartów markiza Blackthorn. Zapewne wpadłby w szal i zrobiłby wszystko, aby nie dopuścić do ich ponownego spotkania.

Z drugiej strony nie wiedział, jak wygląda Burnhamówna. Był mu potrzebny ktoś, kto ją rozpozna. Nie mógł przecież ratować wszystkich zaginionych blondynek i pytać każdą z osobna, czy jest tą właściwą. Zresztą nie wymyślił jeszcze, jak ich szukać.

Jedno było pewne. Nie mógł dopuścić do tego, by Regina wszczęła poszukiwania w pojedynkę. Jeżeli jej kuzynka się nie odnajdzie, panna Hackett już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Nie wybaczyłby sobie, gdyby jej nie wspomógł. Nawet jeśli już nigdy nie dane mu będzie wziąć jej w ramiona.

- Puck, odezwiesz się wreszcie?

Wyrwany z zamyślenia, uniósł jej dłonie do ust i czule je ucałował.

- Nie powinienes... - mruknęła bez przekonania, więc zignorował jej protesty.

- Jest tylko jedno rozwiązanie, tyle że niestety kompletnie absurdalne.

- Absurdalne. Ale nie niemożliwe?

- Cóż, niemal niewykonalne. W dodatku niebezpieczne. Ponadto jeśli ma się nam udać, musisz mnie we wszystkim słuchać, a to raczej nie leży w twojej naturze.

- Potrafię słuchać i wykonywać polecenia. Pod warunkiem że uznam je za słuszne.

- Dzięki Bogu. Uspokoiłś mnie. Wiesz, że całkiem niezła z ciebie aktorka?

Potrząsnęła głową.

- Naprawdę. Wczoraj prawie uwierzyłem, że matka była z wami w powozie. Nie mam wprawdzie pojęcia, o co chodziło z cytrynowymi ciasteczkami, niemniej byłaś bardzo wiarygodna. Dzisiaj na ulicy także.

- Dziękuję, jesteś bardzo miły, ale ojciec od razu się zorientował, że nie mówię prawdy. Nazwał mnie kłamczuchą. I to kiepską. Dlaczego o tym rozmawiamy?

Opowiedział jej o tym, co udało mu się obmyślić, gdy czekał na nią po niedoszłym spotkaniu w parku. Plan był nedorzeczny, ale możliwy do zrealizowania.

Tak sobie przynajmniej wmawiał. Podobnie jak wmawiał sobie mnóstwo innych rzeczy, na przykład, że ratuje Reginę przed jej własną lekkomyślnością i że nigdy do niczego między nimi nie dojdzie. Chodziło wyłącznie o odnalezienie i uratowanie Mirandy Burnham.

Powtarzał sobie to wszystko jak mantrę. I nie wierzył w ani jedno swoje słowo. Dopóki żył, miał prawo marzyć i mieć nadzieję.

- Proszę, papo, zgódź się. To najlepsze rozwiązanie. Dla nas wszystkich. Wuj Seth też tak uważa, prawda, wuju?

Reginald spojrział na córkę zza ogromnego biurka, które wykonano na specjalne zamówienie. Ponoć było większe niż biurko samego premiera, tak w każdym razie sądził dumny właściciel imponującego mebla.

Tego rodzaju detale miały dla pana Hacketta ogromne znaczenie. Podobnie jak wnętrze całego gabinetu, które zresztą zaprojektował osobiście. Zadbął przy tym o każdy szczegół. Obwiesił ściany portretami nieistniejących krewnych i wypełnił biblioteczki tuzinami książek, których nie tylko nigdy nie przeczytał, lecz także nigdy nie zamierzał przeczytać. Ustawił je za to według określonego porządku, a mianowicie kolorami skórzanych grzbietów, czerwone oddzielnie, niebieskie oddzielnie, czarne oddzielnie. Były pięknie wydane i drogie, a zatem musiały wzbudzać powszechny zachwyt. Tak przy najmniej uważał Reg.

Przedstawiciele londyńskiej śmietanki, którzy potrafili rozpoznać nuworysza z „aspiracjami” na odległość, mieli na ten temat zgoła odmienne zdanie. Rzekome zamiłowanie do lektury nazywali „kupowaniem książek na metry w charakterze dekoracji” i naturalnie naśmiewali się z delikwenta do rozpuku.

Wyłącznie za jego plecami, rzecz jasna. Żaden z wytwornych panów nie śmiałby bowiem wytknąć słabości komuś tak zasobnemu i wpływowemu jak Hackett. Z wicehrabią Ranscome włącznie.

Ten ostatni nie cierpiał prostackiego szwagra z całej duszy, ale nie miał najmniejszych oporów przed tym, aby korzystać z jego majątku.

W tej chwili siedział, popijając dżin na jednej ze skórzanych kanap zniechęconego powinowatego.

Było wczesne sobotnie popołudnie. Miranda zniknęła poprzedniego wieczoru około północy.

- Seth wysłał na poszukiwania trzech policjantów - stwierdził Reg, stukając w blat mosiężnym nożykiem do otwierania listów. - Kto wie, może nawet zdążyli już sprowadzić ją do domu. Powiadam wam po raz wtóry, moim zdaniem dziewczucha najzwyczajniej w świecie uciekła z jakimś kochasiem, a nie została porwana przez... jak ich nazwałaś? A tak, już pamiętam, przez „opryszków”.

Reggie od dłuższego czasu zachodziła w głowę, dlaczego ojciec ukrywa przed wujem fakt, że Randy zaginęła podczas maskarady. Prawdopodobnie chodziło o to, że ona również znalazła się wśród gości owego nieszczęsnego balu. Gdyby wyszło na jaw, że panna Hackett bywa na owianych złą sławą przyjęciach lady Fortesque, jej szanse na korzystne zamążpójście spadłyby na łeb na szyję, a tym samym rozwiałyby się nadzieje papy na wejście do arystokratycznego kręgu.

- Moim zdaniem to zwykły fortel, Seth - dowodził w najlepsze Reginald. - Twoja córka wystrychnęła nas wszystkich na dudka, z Reginą na czele. Jak myślisz, dlaczego powóz nie wrócił dotąd na Cavendish Square? A lokaj, który miał go pilnować, rozpląnął się w powietrzu? Nic nie dzieje się bez przyczyny. Był w to zamieszany, to pewne jak amen w pacierzu. A rozkapryszona pannica czmychnęła z jakimś zakochanym durniem w siną dal. Idę o zakład, że oboje zrywają teraz boki ze śmiechu, podczas gdy ty w swej naiwności odchodzisz od zmysłów. Jesteś słaby, Seth. Słaby i głupi. Moja Regina nigdy nie ważyłaby się spróbować ze mną czegoś takiego. Dobrze wie, kto sprawuje rządy w jej domu. A twoja rodzina, drogi szwagrze, zupełnie się z tobą nie liczy i robi, co jej się żywnie podoba.

Więc w tym rzecz, pomyślała Reggie, wbijając wzrok w podłogę. Ojciec nie wspomniał o balu, bo za nic w świecie nie przyznałby się przed wicehrabią, że jego córka również dopuściła się karygodnego nieposłuszeństwa. Pragnął uchodzić za człowieka, który zawsze panuje nad sytuacją. Nawet się nie domyśla, jak wielką ona i Puck przygotowali dlań niespodziankę. Chwała za to Najwyższemu.

- Tak czy owak, nie mogę pokazywać się na salonach bez Mirandy - przypomniała rzeczowo. - Ciocia Claire jest zbyt roztrzęsiona, aby mi towarzyszyć, a mama, cóż... - urwała i pozwoliła, by każdy z panów dopowiedział sobie resztę.

Usłyszawszy o tym, co się przytrafiło jej bratanicy, lady Letycja popadła w rozpacz tak wielką, że z miejsca zamknęła się w swoim pokoju i poczęła topić smutki w trunkach. Twierdziła przy tym, że nie będzie w stanie rozpowszechnić wszem wobec bujdy na temat nagłego zniknięcia biednej Randy. Następnego ranka była już jednak w stanie takiego upojenia, że nie odróżniała rzeczywistości od zmyśleń. Dość powiedzieć, przekonała samą siebie, iż owej feralnej nocy nie tylko była wraz z dziewczętami w powozie, lecz

także broniła młodej krewniaczki jak lwica. Świadomość, że nie zdołała jej uratować, zaprowadziła ją rzecz jasna z powrotem do karafki wypełnionej winem.

Regina czuła się winna, ale wiedziała, że nie może zdradzić rodzicielce całej prawdy. Matka byłaby zdruzgotana, gdyby dotarła do niej informacja o tym, że jej córkę widziano na najbardziej gorszącej imprezie sezonu. To, że na liście zaproszonych znalazł się Reginald Hackett, było najlepszym dowodem na to, że na przyjęciu zgromadziło się całe mnóstwo niepożądanych osobników.

- Moja córka chce powiedzieć, że twoja siostra wypłynęła na szerokie wody i nieprędka wróci - objaśnił Reg.

- Nie pojmuję, czemu pozwalasz jej pić - odparł z przekąsem wicehrabia, lecz natychmiast się zmiętygował. - Cóż, każdy znajduje pociechę w czym innym...

- W rzeczy samej - zachichotał Hackett. - Letty szuka pociechy od bez mała dwóch dekad, ale widać jeszcze jej nie znalazła. Moja żona to zwykła moczygęba, Seth. Pijaczka jakich mało. Ciebie zaś nazwałbym gąbką. Pochłaniasz moje pieniądze od lat. Wraz ze swoim papciem огоłociliście mnie niemal do cna. Wy i wasze karciane długi. Twój synalek to obibok i darmozjad, a córka rozpustnica. Tfu. Diabli nadali taką rodzinę. Wszyscy razem funta kłaków nie jesteście warci.

Ranscome poderwał się, żeby stanowczo zaprotestować, ale prędko opadł z powrotem na kanapę. Przypomniawszy sobie, że gąbki nie mają kręgosłupa, mają za to świecące pustkami kieszenie.

- Sugestia Reginy wydaje się całkiem rozsądna - powiedział, by skierować rozmowę na właściwe tory. - To jest, jeżeli istotnie byłaby skłonna zdobyć się na takie poświęcenie. - Odwrócił głowę i rzekł do siostrzenicy: - Dobrze z ciebie dziecko, Reggie.

- To żadne poświęcenie, wujku. Mam na względzie dobro Mirandy, ale myślę także o sobie. Nie wyobrażam sobie, bym zdołała przebrnąć przez resztę sezonu bez niej.

- Lepiej przywyknij do tej myśli, bo wasza Randy nie wróci! - wrzasnęła z irytacją Reg. - Stamtąd się nie wraca.

Burnham poderwał gwałtownie głowę.

- Stamtąd? To znaczy skąd? Mówisz, jakbyś wiedział, gdzie jest.

Panna Hackett przestała cokolwiek rozumieć. Sądziła, że ojciec naprawdę sądzi, iż jej kuzynka nie została porwana, lecz po prostu uciekła. Ubiegłej nocy mówił te okropne rzeczy tylko po to, żeby ją nastraszyć. Próbował jej uzmysłwić, że naraziła się na wielkie niebezpieczeństwo. Teraz nie wiedziała już, co myśleć.

- Och, na litość boską, Seth, nie łap mnie za słówka. Na twoim miejscu posłałbym najemników z Bow Street prosto na Gretna Green. Zresztą to ja ich opłacam, więc jeśli masz odrobinę oleju w głowie, zrobisz, jak mówię. To nasza jedyna nadzieja na to, żeby wyplątać się z tej kabały. Módlmy się o to, by pozostała nietknięta, kiedy ją znajdziemy. Jej reputacja i tak będzie mocno nadszarpnięta. W tym sezonie nie wróci już na salony. Sprawa musi odrobinę przycichnąć. Być może trzeba będzie zamknąć ją pod kluczem. Kto wie, kim okaże się ten jej kochaś. Pamiętasz dziewczynę Breana? To siostra hrabiego i jak marnie skończyła? Nie pokazuje się publicznie, odkąd uciekła w zeszłym roku z jednym z bękartów Blackthorna. Regino, spójrz na mnie. Słyszałaś o tym, prawda? Wiesz, kim są Blackthornowie?

Skinęła głową, bo nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Owszem, dotarli do niej opowieści o romansie lady Chelsea Mills-Beckman, nie знаła jednak nazwiska wybranka jej serca. Najwyraźniej był nim przyrodni brat Pucka. A zatem ojciec o nim wiedział i właśnie to chciał jej powiedzieć. Jakim cudem zdołał się dowiedzieć?

Miała ochotę wstać i wybiec z pokoju. Robin się mylił, marna z niej była aktorka. Aktorkom nie trzęsą się ze strachu ręce, kiedy wygłaszają swoje kwestie.

- Postaram się, aby Miranda nie dotarła na Gretna Green - oznajmił wicehrabia, podnosząc się z kanapy. - Posłucham twojej rady, Reg, i niezwłocznie pošlę za nią ludzi na północ. W międzyczasie nie zaszkodzi, jeśli zrobimy tak, jak mówi Reggie. Rozpowiem w klubie, że Randy zaniemogła, w związku z czym wszystkie panie postanowiły udać się razem do Mentmore do czasu zakończenia jej rekonwalescencji. To powinno zapobiec wszelkim plotkom. Dzięki temu, kiedy policja ją odnajdzie, będzie mogła powrócić na łono społeczeństwa, jak gdyby nie wydarzyło się nic złego.

- Naturalnie pod warunkiem że się zgodzisz, papo. - Regina uznała, że nadszedł właściwy moment, aby włączyć się do rozmowy. - Mogłybyśmy wyruszyć w drogę już jutro. Mama zawsze stara się... nad sobą panować, kiedy w pobliżu jest dziadek...

- Chcesz raczej powiedzieć, że nie pije na umór, kiedy przebywa z dala ode mnie - parsknął Hackett. Obrócił w palcach nóż do listów, jakby rozważał różne możliwości. - Dobrze - rzekł w końcu. - Wyjedziecie, ale nie dłużej niż na tydzień. Potem wrócisz na salony, droga córko, choćbym musiał opłacić jakąś starą megierę, żeby zgodziła się zostać twoją przyzwoitką. Zamierzam wydać cię za mąż jeszcze w tym roku, zrozumiano?

- Dziękuję, Reg! - zawołał z zapalem Ranscome, zbierając się do wyjścia. - Jestem ci niezmiernie wdzięczny. Pójdę już. Jeszcze raz dzięki, szwagrze. - Pocałował w policzek siostrzenicę i wyszedł.

Regina zwróciła twarz ku ojcu.

- Ja także jestem ci wdzięczna, papo. Ciocia Claire na pewno poczuje wielką ulgę.

- Do diabła z twoją ciotką i jej ulgą. Mam je gdzieś! Dziewczyna przepadła na wieki, pogódź się z tym. Oby tydzień na wsi wystarczył, abyś wybiła sobie z głowy kuzyneczkę i schadzki z tym twoim Blackthornem. Swoją drogą nie pojawił się dzisiaj w parku, co? Nieładnie z jego strony, oj, nieładnie.

- Nie wiem, o czym mówisz, papo. Owszem, wybrałam się rano do parku na spacer, ale...

Nożyk do papieru przeleciał ze świstem przez pokój i wbił się ostrzem w dębową boazerię.

- Nie łżyj w żywe oczy, dziewczyno. Możesz kłamać wiecznie zapijaczonej matce, durnemu wujowi, nawet samej sobie albo Panu Bogu, jeśli sądzisz, że ujdzie ci to na sucho, ale nie mnie. Nigdy więcej. Pojmujesz, co mówię?

- Chciałam... chciałam mu tylko jeszcze raz podziękować za ratunek - powiedziała wystraszona. - I pożegnać się... ale... nie przyszedł...

- To akurat wiem. Może poszedł po rozum do głowy. Albo usłyszał o mnie to i owo. Tym lepiej dla niego. Uratował ci wczoraj skórę, więc nie będę go ścigał. Żeby nikt potem nie mówił, że Reg Hackett jest człowiekiem pozbawionym honoru. Tak czy owak, na tym koniec. Jesteśmy kwita. On i ja. Jeśli jeszcze raz się do ciebie zbliży, porachuję mu kości, a na koniec skreję kark. Słyszysz, dziewczyno?

- Tak, papo. - Mogła odejść, ciesząc się ze zwycięstwa, ale musiała zadać mu jeszcze jedno pytanie. - Mówiłeś, że Miranda została zrujnowana, może nawet zamordowa-

na. Dlaczego wmówiłaś wujowi Sethowi, że uciekła na Gretna Green? Chciałaś oszczędzić mu bólu?

Popatrzył na nią przez chwilę, nim się odezwał.

- Tak, chciałem oszczędzić mu zgryzoty. Nie jestem takim bezdusznym i nieczułym potworem, za jakiego mnie masz. Zgodziłem się przecież posłać was na wieś, prawda? Tylko po to, żeby ratować reputację twojej nieszczęsnej kuzynki.

Sam sobie przeczył, ale postanowiła mu tego nie wytykać. Zamiast tego zebrała się w sobie, objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

- Wybacz, papo. Wstyd mi, że uległam na moment urokowi pana Blackthorna. Zapewne pomyliłam wdzięczność z czymś innym. Nigdy więcej cię nie okłamię - skłamała jak z nut, po czym wróciła do swego pokoju, otworzyła okno i wyrzuciła przez nie białą chustkę.

Potem udała się do sypialni matki i poinformowała ją, że nazajutrz ruszają do Mentmore, co było oczywiście kolejnym kłamstwem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Puck postanowił śledzić Carstairsa. Wybrał jego, a nie barona, ponieważ jak objaśnił Gastonowi, Dickie był znacznie potężniejszy od przyjaciela, a zatem łatwiej było wypatrzeć go w tłumie. W rzeczywistości chodziło o to, że w przeciwieństwie do Suttona, Richard nie grzeszył zbyt wielką inteligencją.

Czcigodny pan Carstairs rozpoczął sobotni wieczór od suto zakrapianej kolacji, którą spożył ze znajomymi w klubie przy Bond Street. Stamtąd udał się do teatru, a ściślej do Covent Garden. Robin, który nigdy z własnej woli nie przestąpiłby progów tego miejsca, wysłuchiwał przez co najmniej trzy kwadranse recitalu trzech wyjątkowo marnych śpiewaczek.

Podczas wyczekiwanego z utęsknieniem antraktu pojawił się baron i niby to przypadkiem natknął się na Dickiego w zatłoczonym bufecie. Panowie przez moment udawali zdziwienie, potem uścisnęli sobie ręce i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Upuściwszy bilecik, który Henry podał mu niepostrzeżenie, kiedy podali sobie dłonie, Richard rozejrzał się nerwowo na boki, po czym podniósł zgubę z ziemi.

Ukryty w cieniu Puck doszedł do wniosku, że warto było przyjść i obejrzeć tę farzę.

Gdy rozbrzmiał gong kończący przerwę, upewnił się, że Carstairs wrócił do swej łoży. Przypuszczał, że nie pozostanie w niej długo, więc dyskretnie dał znak czekającemu w pobliżu Gastonowi, który kiwnął głową i wyszedł przed budynek.

Nie pomylił się. Pięć minut później Dickie w istocie opuścił teatr, ściągając na siebie uwagę niemal wszystkich, którzy go przy tym widzieli.

Chryste, pomyślał Blackthorn, ruszywszy w ślad za nim, ten dureń nie nadaje się nawet do kopania dołów.

Kiedy dotarł na ulicę, Richard odjeżdżał właśnie pojazdem z rzucającymi się w oczy insygniami barona.

- Czasem to aż za proste, Gaston - westchnął Goodfellow, oparłszy się o kanapę własnego nieoznakowanego powozu. - Gdybyś jednakowoż zamierzał spocząć na lau-

rach, przypominam ci, że mego brata nazywają Black Jackiem nie bez kozery. Kochany Jackie pewnie już wie, że jesteśmy w drodze.

- Więc jednak nie jesteś kompletnym idiotą - rozległ się w ciemności znajomy głos.

- Dobrze wiedzieć.

- Zechce pan wybaczyć, m'sieur - wtrącił gorączkowo lokaj. - Wstyd się przyznać, ale zostałem zaskoczony. Czy mógłby pan odsunąć nóż od moich żeber, szanowny panie bracie mego chlebodawcy?

Puck klepnął się po kolanach i wybuchnął śmiechem.

- Jack! Ty też ich śledzisz? Czyżbyś nie miał zaufania do swoich dzielnych kompanów?

Starszy Blackthorn wsunął sztylet do pochwy ukrytej w cholewce buta.

- Zazwyczaj potrafia się zorientować, że ktoś za nimi łązi, jeśli o to ci idzie. Wyznam, że byłem nieco zaskoczony, widząc, że uczepiłeś się Dickiego. I nawet nie próbowałeś się z tym kryć.

Robin wzruszył ramionami.

- Cóż, byłem zbyt zajęty obserwowaniem tego, co mam przed sobą, by oglądać się za siebie. Poważne niedopatrzenie z mojej strony. Taki błąd może mnie sporo kosztować, zwłaszcza że mam na pieńku z pewnym jegomościem... Ależ ze mnie oferma. Co za wstyd...

- Ależ to wszystko moja wina, m'sieur - jęknął Gaston. - Miałem zabezpieczać tyły, a tak srodze pana zawiodłem...

- Doprawdy urocze, jacy jesteście dla siebie uprzejmi i jak się nawzajem usprawiedliwiacie. Obaj moi bracia mają miękkie serca, niestety. Miękkie serce oznacza bowiem miękką głowę, a miękkie głowy mają to do siebie, że niezwykle łatwo je roztrzaskać.

Puck skrzywił się w ciemnościach.

- Słowo daję, Jackie, powinieneś się zająć dramatopisarstwem. Nie dorównałbyś może Willowi Szekspirowi, ale za to bez wątpienia stałbyś się bożyszczem wielu prowincjonalnych scen.

Tym razem to Jack się roześmiał, lecz rychło spoważniał.

- Nie zapytam, dlaczego śledziłeś Carstairsa, bo to oczywiste. Zapytam, czego chcesz ode mnie. Aha, i nie martw się o Dickiego. Nie zgubimy go. Poinstruowałem stangreta Suttona, aby się odpowiednio ślamazarzył.

- Łaskawca. Uspokoileś mnie. Nasi rodzice pozostają w dobrym zdrowiu. W każdym razie mieli się dobrze, kiedy ich ostatnio widziałem. Zamierzałeś o nich zapytać, nieprawdaż?

- Zamierzałem? Nie sędzę.

- Nie? A zatem pewnie nie wiesz, że papa pragnie nas widzieć? Wszystkich trzech. W majątku na wsi.

- Wszystkich trzech? Razem? W tym samym czasie? Obawiam się, że wielce się rozczaruje.

- Dlatego, że jest z nim mama, jak sędzę? - Puck żałował, że nie widzi twarzy brata, choć nawet gdyby ją widział, pewno niewiele by z niej wyczytał. Jack rzadko zdradzał jakiegokolwiek emocje. - Nigdy nie uwierzyłem, że się jej boisz, ale po tym jak unikałeś jej w zeszłym roku przy okazji pogrzebu Abigail, sam już nie wiem, co myśleć.

- Zważ, że pochowaliśmy wówczas markizę Blackthorn, siostrę naszej matki. Przyjechałem tam dla Abby, a nie dla niej. Pożegnałem zmarłą i wyjechałem. Nie widziałem powodu, by zostawać dłużej.

- Istotnie, pożegnałeś zmarłą. W środku nocy w asyście służących, po czym odjechałeś w siną dal, nie racząc nawet przywitać się z pozostałymi członkami rodziny. Kiedy mama odkryła dowody twojej bytności w domu, była bliska ataku apopleksji... Ale nie o tym miałem mówić. Chciałem się z tobą zobaczyć, żeby osobiście przekazać ci prośbę ojca. On naprawdę pragnie się z nami zobaczyć.

- Nie wątpię. Jeśli przyjedziemy wszyscy razem, oszczędzimy mu kłopotu. Nie będzie musiał trzykroć powtarzać tego samego.

Robin skinął głową.

- Nie inaczej. Nie domyślałam się, co takiego ma nam do powiedzenia, ale wiem, że w zeszłym roku zamierzał wtajemniczyć Beau. Po śmierci Abby, to jest markizy Blackthorn, nagle się rozmyślił. Czy mogę mu przekazać, że zgadzasz się przyjechać? Byłoby miło, gdybyś tym razem dla odmiany zjawił się za dnia. Nie jest już najmłodszy... i chy-

ba pragnie jak najprędzej zrzucić ten ciężar z piersi. Matka naturalnie tego nie pochwała...

- Naturalnie - powtórzył z przekąsem Jack. - Jakżeby inaczej. Poinformuj markiza, że rozważę jego prośbę, ale nie teraz. Powstrzymują mnie pewne sprawy, których muszę dopilnować.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Jack. Którego z nich dwojga nienawidzisz bardziej, matki czy ojca?

Gaston wtulił się w kąt kanapy, jakby chciał rozpułnąć się w powietrzu.

- O, widzę, że szczeniackowi wreszcie wyrosły kły. Winszuję. - Starszy z braci chwycił się na zakręcie poręczy, ukazując dłoń. Na jednym z palców nosił oprawiony w złoto czarny onyks.

- Dla twojej informacji, szczeniak dawno przestał być szczeniakiem. Poza tym jestem tylko dwa lata młodszy od ciebie i nie lubię, gdy się mnie nie docenia. Proponuję rozejm. Zaczynj traktować mnie poważnie, a ja odwdzięczę się tym samym.

- Zgoda. Przyznaję, zaimponowałeś mi tym, jak wmanewrowałeś Dickiego i Henry'ego w „przyjaźń”. Ale przejdźmy w końcu do rzeczy. Jaki jest drugi powód naszego spotkania? Nie wierzę, że zadałeś sobie tyle trudu tylko po to, żebyśmy mogli uciąć sobie pogawędkę o naszych szanownych rodzicach.

- A niech mnie, jak się domyśliłeś? - zażartował Puck, zadowolony z tego, że rozmowa schodzi na bezpieczniejsze tory. - Otóż ubiegłej nocy uprowadzono kuzynkę pewnej mojej znajomej. Przyczyny owego uprowadzenia nie są znane, aczkolwiek nietrudno je odgadnąć w świetle dowodów, które znalazły się w moim posiadaniu.

- Coś podobnego... Jak brzmią nazwiska dam zamieszanych w tę niefortunną sytuację?

- Bardzo dostojnie, a ściślej jedno z owych nazwisk brzmi dostojnie. Drugie nie jest niestety aż tak szacowne, ale mniejsza o to. Wszak nie nazwisko czyni człowieka, czyż nie? A wracając do rzeczy, porwana dziewczyna to drobna blondynka ponoć niepośledniej urody, niewinna i z dobrego domu. Dowiedziałem się, że jej zniknięcie nie było pierwszym tego rodzaju incydentem. Przed nią znikwały inne drobne i urodziwe blondynki. Nie mogę wprawdzie ręczyć za ich cnotliwość, niemniej pozostałe elementy opisu pa-

sują jak ulał. Obiecałem przyjaciółce, że uczynię, co w mojej mocy, aby odnaleźć jej krewniaczkę i sprowadzić ją do domu całą i zdrową.

- Ach tak? Wielce to chwalebne. Rad bym usłyszeć, jak mianowicie zamierzasz tego dokonać.

Puck otworzył usta i niemal zdradził bratu szczegóły, których wcześniej nie zamierzał ujawniać. Potem o czymś sobie przypomniał i raptem zmienił zdanie.

Jack był człowiekiem niezależnym. Aż do przesady. Czasem jednak dzielił się swymi licznymi talentami i wykonywał pewne usługi na rzecz monarchii. Tak jak owego dnia w Gateshead, gdy wraz z Beau natknęli się na niego oraz jego współników. Noah, jegomość na którego panowie wówczas polowali, bez wątpienia już dawno przeniósł się na łono Abrahama.

Władze niewiele dbają o zaginione dziewczęta, zwłaszcza te pochodzące z gminu, ale na pewno nie mogą przejść obojętnie nad tym, że kobiety znikają z ulic, a potem są ładowane na statki niczym worki z mąką i sprzedawane za granicą jak niewolnice. A Jack przebywa w Londynie, w związku z nową misją, tak w każdym razie głosił bilecik w kieszeni Carstairsa. Wystarczyło połączyć fakty...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Jack, wołałbym, żebyś to ty opowiedział mi najpierw, jak zamierzasz znaleźć zaginione dziewczęta i ukrócić owe haniebne praktyki. Jeśli twój plan przypadnie mi do gustu, kto wie, może pozwolę wam się do mnie przyłączyć. Mam na myśli ciebie i twoich rażąco niekompetentnych pomocników, rzecz jasna.

Gaston wyprostował się jak struna, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Ha! I co pan na to, m'sieur Black Jack? Szczeniak zmienił się w groźnego brytana, ot co!

Regina pozostawiła dopracowanie szczegółów planu w gestii Pucka. Prosił, żeby zachowała spokój, i zdała się na niego.

Wierzyła w jego spryt i ufała mu, ale i tak spędziła całą noc, przewracając się w łóżku z boku na bok. Obiecała, że nie będzie się zamartwiać, ale nic nie mogła na to poradzić. Odchodziła od zmysłów z niepokojem.

- Mamo, proszę cię, daj już temu pokój - powiedziała, spoglądając na stertę bagażu, którą rodzicielka zgromadziła w holu. - Hanks o niczym nie zapomni.

Letycja zignorowała protesty córki i kontynuowała inspekcję ekwipunku. Poruszała się przy tym wolno i metodycznie, by nie rzec ślamazarnie. Tkwiła bowiem w przekonaniu, że spowolnione ruchy to najlepsze świadectwo trzeźwości.

Ale służba i tak wiedziała swoje.

Biedna mama, pomyślała z żalem Reggie. Była kiedyś taka ładna. Teraz zawsze wyglądała na zmęczoną i pokonaną, jej błękitne oczy były puste i pozbawione blasku, w najlepszym razie malował się w nich głęboki smutek. Nie miała jeszcze czterdziestu lat, ale młodość i pogoda ducha dawno ją opuściły...

- Tak, serdeńko, już kończę, ale widzisz, nie mogę znaleźć podróznego kuferka. Tego, który podarowała mi niegdyś moja ukochana nieboszczka matka. Pamiętasz, prawda?

A jakże. Pamiętała. Tyle że ów kuferek kupiono wiele lat wcześniej na targu, a jego zawartość stanowiło pół tuzina butelek z winem. Jak mogła ludzić się choć przez chwilę, że Letycja zapomni o swoim najcenniejszym skarbie?

- Hanks? - skinęła na służącą, która w lot pojęła, w czym rzecz, i pobiegła odszukać zgubę.

Reggie uznała, że lepiej zabrać ze sobą zapas trunków niż niepotrzebnie ściągnąć na siebie uwagę ojca. Gdyby usłyszał harmider, mógłby w ostatniej chwili zmienić zdanie w sprawie ich wyjazdu.

- Doprawdy nie pojmuję, dlaczego nie zabieramy ze sobą Fellows. Kto to słyszał, żeby dzielić się pokojówką? Ludzie gotowi pomyśleć, że Reg skąpi nam pieniądze, a dobrze wiesz, że twój ojciec nie chce uchodzić za skąpca. Okropnie na mnie nakrzyczał, kiedy powiedziałam, że jako debiutantce w zupełności wystarczy ci tuzin sukien.

Regina z trudem powstrzymała westchnienie.

Matka przez całe dorosłe życie myślała wyłącznie o jednym. Robiła, co mogła, by nie drażnić męża. Co prawda, nigdy jej nie uderzył, ale podobnie jak na córkę miał także swoje sposoby na żonę. Letty nigdy nie śmiała mu się sprzeciwić, za to nieustannie sprawiała wrażenie wystraszonej i praktycznie nie odstawiała na bok butelki.

Reggie wiedziała, że nienawiść to ciężki grzech, mimo to nie zносиła ojca, a jeszcze bardziej nie cierpiała dziadka, który najzwyczajniej w świecie sprzedał córkę, żeby

splacić karciane długi. A przecież był arystokratą, wytwornym dżentelmenem, który uczęszczał do najlepszych szkół i odebrał staranne wychowanie. Reginald Hackett nie miał tyle szczęścia. Urodził się jako syn prostej chłopki, więc trudno było wymagać od niego wyrafinowania i ogłady.

- Jedziemy do Mentmore, mamó. Nikt tam nie będzie liczył, ile przywiozłyśmy ze sobą służących. Poza tym pod naszą nieobecność Fellows będzie wietrzyła i sprzątała pokoje. Nie pamiętasz?

W rzeczywistości Fellows powierzono zupełnie inne zadanie. Miała odnaleźć i usunąć z domu wszystkie zapasy alkoholu, które lady Letycja zdołała zgromadzić w ciągu ostatnich miesięcy. A była istną mistrzynią w wynajdywaniu najprzemysłniejszych kryjówek, od strychu aż po piwnicę. Bywało, że przechowywała trunki nawet we flakonach na perfumy.

- Doprawdy? Nie pamiętam. Ale skoro tak mówisz, to pewnie masz rację. Cieszę się, że odwiedzimy Mentmore. To przecież mój rodzinny dom, a ojciec tak rzadko pozwala mi tam jeździć.

- Ciocia Claire jedzie z nami. Będiesz miała towarzystwo.

Wyszły na ulicę i w asyście lokajów ruszyły w stronę powozu z insygniami Mentmore'ów. Lady Burnham pomachała im przez okno.

- Claire zawsze była dla mnie miła. Ją też sprzedano. W zamian za tytuł. Jej dziadek miał sklep bławatny przy Queen Street. Był nieprzyzwoicie bogaty i ponoć sprzedawał piękne kapelusze. Nigdy żadnego nie widziałam, ale musiały być ładne, skoro wydała ją za wicehrabiego. Szkoda tylko, że trafił jej się akurat mój brat.

- Mamó, na litość boską, mów nieco ciszej... O, jest Hanks i twój kuferek. Wsiadaj, możemy jechać.

Regina rozejrzała się w nadziei, że ujrzy w oddali Robina. Po chwili zrezygnowana zerknęła na umocowane na dachu bagaże i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Puck siedział na koźle odziany w liberię stangreta Mentmore'ów, a jego długie jasne włosy przykrywał obszerny kapelusz. Kiedy ich oczy się spotkały, mrugnął porozumiewawczo i skłonił głowę.

Puck siedział w bawialni swego domu przy Grosvenor Square, nasłuchując kroków dobiegających z korytarza.

Czekanie dłużyło mu się w nieskończoność, lecz jego cierpliwość w końcu została nagrodzona i w progu ukazała się Regina.

Sprawiała wrażenie znużonej, co wcale go nie dziwiło. Przez ostatnie dwie godziny tłumaczyła dwóm oszołomionym, by nie powiedzieć rozhisteryzowanym kobietom, że nie zostały porwane jak biedna Miranda.

Przyłożył palec do ust i zamknąwszy drzwi, pociągnął ją w głąb pokoju.

- Zgodziły się? - zapytał, gdy usiedli na kanapie.

- Mama chyba nie do końca rozumie, co się święci - odparła z ciężkim westchnieniem. Jakiś czas temu Hanks przyniosła jej kuferek z winem. To straszne, że muszę uciekać się do takich metod, ale w obecnej sytuacji nie mam wyboru. Ciotka Claire z wdzięczności porwała mnie w objęcia. Okazało się, że nie miała najmniejszej ochoty wyjeżdżać. Chciała zostać w Londynie na wypadek, gdyby Randy jakimś cudem sama się odnalazła i wróciła na Cavendish Square. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy. Jesteś genialny, Puck.

- Każ to wyryć na moim nagrobku, bo pewnie niebawem zawisnę za uprowadzenie niewinnych niewiast tudzież inne zbrodnie.

Pożalował szybko nieopatrnych słów. Spojrzała na niego z wyraźnym przestraszeniem i ścisnęła mocniej jego dłoń.

- Nikt się przecież nie dowie... Podróżujemy oznakowanym powozem. Wszyscy widzieli, jak wyjeżdżamy z miasta. O tej porze powinniśmy być już w połowie drogi do majątku dziadka. - Przechyliła głowę i przyjrzała mu się z uwagą. - Swoją drogą, jak tego dokonałeś?

Wciąż nie mogła uwierzyć, że znalazła się pod jego dachem. Z dwiema przyzwoitkami, ale jednak... Powinien jak najszybciej ją pocałować, zanim któraś z pań przybiegnie jej szukać. Niestety, z jakiegoś powodu obiecał, że będzie postępował, jak przystało na dżentelmena.

- Czy to ważne?

- Naturalnie, że tak. Powinieneś być z siebie dumny i opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami, choćby tylko po to, żeby mi zaimponować.

- Skoro nalegasz - powiedział z uśmiechem. - Jak zapewne pamiętasz, stangret twego wuja został wczoraj odprawiony. Dzięki temu przejęcie powozu okazało się banalnie proste. Ja i kilku moich ludzi przedstawiliśmy się jako nowi pracownicy wicehrabiego. Powiedzieliśmy, że kazano nam odwieźć lady Burnham oraz jej krewne do Mentmore. Nie więcej niż kwadrans później stajenny otrzymał potwierdzenie tegoż rozkazu od samego lorda Ranscome. Nie przyszło mu do głowy, że możemy nie być tymi, za kogo się podajemy.

- Genialne! Nikt by tego lepiej nie wymyślił!

- Cóż... Tak czy inaczej powóz Mentmore'ów został starannie ukryty na terenie moich włości. Do czasu waszego powrotu nikt go nie zobaczy.

- Teraz możemy spokojnie rozpocząć poszukiwania Mirandy. Bez obawy, że ojciec odkryje nasze plany. - Regina była bliska łez. - Ciotka jest zrozpaczona, a ja czuję się winna. Gdybym nie zgodziła się jechać na tę okropną maskaradę...

- Pewnie nigdy byśmy się nie spotkali - dokończył za nią. - A co za tym idzie, nigdy byśmy się też nie pocałowali. Przyznasz, że byłaby to prawdziwa tragedia.

Gdy musnął ustami jej usta, przymknęła powieki i westchnęła.

Powoli, Puck, nie spiesz się, ostrzegł się w myślach. Dziś nie mamy na twarzach masek i nie stoimy w świetle księżyca.

Ledwie jej dotykał, a płonął na całym ciele. Oczami wyobraźni widział ją na górze w swoim łóżku z włosami rozsypanymi na poduszce.

Była niewinna, ale wyczuwał w niej nieposkromioną namiętność. Rozpalała jego zmysły, reagując na jego pieszczoty żywiołowo i bez oporów. Chciała nie tylko brać, lecz także dawać. Razem mogli zaznać rozkoszy, o jakiej obojgu nawet się nie śniło.

Podciągnął jej spódnicę i przesunął ręką po gładkim udzie. Nie, skarcił się po cichu. Jeszcze nie teraz. To za wcześnie. Obiecałeś sobie, że jej nie tkniesz.

Zawahał się, a wtedy ona zadrżała i rozsunęła kolana.

O Boże, pomyślał i dał za wygraną. Zwyczajnie nie zdołał się oprzeć. Była rozpalona i złąkniona dotyku jego wprawnych palców. Nie przestając jej całować, pieścił ją, dopóki nie wstrząsnął nią potężny dreszcz rozkoszy.

A zarzekał się, że zachowa się jak dżentelmen.

Kiedy nieco się uspokoiła, zajął w jej piękne niebieskie oczy. Wciąż widział w nich namiętność i ani śladu skruchy. Nie żałowała.

- *Million de pardons, mais aucunes excuses*. Przepraszam, ale nie zamierzam się usprawiedliwiać.

- Nie musisz ani przeproszać, ani się usprawiedliwiać. Nie ma takiej potrzeby. Próbowалаm zapomnieć o tym, co szeptałeś mi do ucha w tę noc, kiedy się poznaliśmy, ale nie potrafię. Kiedy przypominam sobie twoje słowa, coś dziwnego dzieje się z moim ciałem. Nie mogę przestać o tym myśleć...

- Nie powinienem był tego mówić. Wziąłem cię za kogoś, kim nie jesteś.

- A ja nie powinnam była cię słuchać ani pozwalać, abyś mnie dotykał i całował. Przez cały czas trzymałam w ręku szpilkę, ale jej nie użyłam. Sprawiasz, że staję się inną osobą i nie wstydę się tego powiedzieć. Przy tobie czuję, że żyję. Mogłabym sobie wmawiać, że zachowuję się jak ostatnia bezwstydnica przez babkę Hackett, ale wiem, że oszukiwałabym samą siebie.

- Babkę Hackett? - postanowił o nią zapytać wyłącznie po to, aby pozbyć się nieprzystojnych myśli. - Opowiesz mi o niej?

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Inne dzieci straszy się potworami pod łóżkiem, a mnie straszono babką Hackett. Matka straszy mnie nią do tej pory.

- Taka była okropna?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nigdy jej nie spotkałam, niemniej słyszę o niej bez ustanku. Do tej pory. Zwłaszcza kiedy zrobię coś, co nie spodoba się matce. Czasem żałuję, że zmarła przed moim urodzeniem i nie miałam okazji jej poznać. Ponoć miała monstrualny biust i rozpowiadała wszem wobec o swoich licznych podbojach miłosnych. Nawet przy stole w towarzystwie gości potrafiła rozprawiać o kochankach, których miała przed i po swoim

ukochanym mężu Josephie Hacketcie. Jedno i drugie było naturalnie niewybaczalne i niegodne prawdziwej damy.

- O tak, ze wszech miar niewybaczalne. Dopuściła się jakichś innych równie haniebnych zbrodni?

- A jakże. Zebrało się tego całe mnóstwo. Pewnego razu, gdy mama była czymś bardzo wzburzona, zdradziła mi w sekrecie, że babcia Mentmore przyłapała kiedyś swego męża, dziadka Mentmore'a, in flagranti nie z kim innym, jak właśnie z babką Hackett. Podobno zabawiali się w najlepsze w altanie, w dodatku w biały dzień. Babcia Mentmore się wściekła i wylała na nich wiadro wody. Potem dziadek podarował jej na przeprosiny kolbę z brylantów. Był to jedyny naszyjnik z prawdziwymi klejnotami, jaki od niego dostała.

- Ha! Dobrze i to. Przynajmniej coś na tym zyskała.

- Prawda, ale czy to nie dziwne? Dziwne i śmieszne zarazem... Puck?

- Co takiego?

- Ciotka Claire nie może wybaczyć wujowi, że posłał policjantów na Gretna Green. Błagała go, żeby zmienił zdanie, ale nie dał się przekonać. Twierdzi, że skoro to mój ojciec za wszystko płaci, musi postępować zgodnie z jego wolą.

Blackthorn nie był zdziwiony tym, co usłyszał. Pomyślał, że teraz ma wicehrabiego w garści.

- Ciotka wierzyła w ucieczkę córki?

Reggie spuściła wzrok.

- Powiedziałam jej całą prawdę. Kiedy wybrałam się na Cavendish Square, żeby poinformować ją o wyjeździe. - Popatrzyła na niego błagalnie, jakby prosiła o wyrozumiałość. - Spodziewałam się, że nie będzie zachwycona postępowaniem Mirandy, i nie myliłam się. Wieść o maskaradzie bardzo ją przygnębiła i wystraszyła, ale uznałam, że jeśli wszystkiego się dowie, będzie bardziej skłonna przystać na nasz plan. Miałam rację.

- Obym tylko zdołał spełnić jej oczekiwania. Odnalezienie twojej kuzynki nie będzie łatwe...

- Już bardzo jej pomogłeś. Jest zadowolona, że może cokolwiek zrobić zamiast siedzieć beczynnie i się zamartwiać. Chciałaby, żebyś skontaktował się z jej dziadkiem.

Ma sklep przy Queen Street. Ciotka jest przekonana, że udzieli nam wszelkiego wsparcia. Na jej ojca nie możemy liczyć. Jest zupełnie do niczego.

- Czyżby dosięgło go szaleństwo? - zapytał zaintrygowany.

Słyszał, że chemikalia używane do wyrobu kapeluszy niejednego zdrowego mężczyzną doprowadziły do postradania zmysłów.

Skinęła głową.

- Niestety. Podobnie jak wielu innych kapeluszników. Nieszczęśnik skończył w przytułku dla obłąkanych... A wracając do rzeczy, ciotka obiecała, że zajmie się matką, jeśli ta zacznie sprawiać kłopoty. Dzięki temu będę miała więcej czasu, by prowadzić śledztwo wspólnie z tobą. Chyba nie zmieniłeś zdania w tej sprawie?

- Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś została tutaj i czekała spokojnie, aż sprowadzę pannę Burnham do domu. Po namyśle doszedłem jednakowoż do wniosku, że lepiej będzie mieć cię stale na oku. Gdybym zostawił cię samą, ani chybi porwałabyś się na coś nierozważnego.

Nie oponowała. Widać jego argumenty wydały jej się rozsądne.

- Nie pojmuję tylko jednego - zaczęła z innej beczki. - Czemu ojciec uparł się, by posłać ludzi z Bow Street na północ? W piątek, kiedy wróciłam do domu, był święcie przekonany, że Randy została porwana, teraz twierdzi uparcie, że zwyczajnie zbiegła z ukochanym. Podobno pragnie w ten sposób oszczędzić bólu jej rodzicom. Sam sobie przeczy. Nie wierzy w ucieczkę, a mimo to każe jej szukać tam, dokąd rzekomo uciekła? Przecież to absurd.

Interesujący typ, ten cały Reginald Hackett, stwierdził w duchu Goodfellow. Warto by przyjrzeć mu się nieco bliżej.

- Nie przyszło ci do głowy, że twój papa może nie chcieć, żeby Burnhamówna się odnalazła? Pomyśl tylko. Jeżeli Miranda wróci skompromitowana, będzie to miało poważne konsekwencje dla całej waszej rodziny, a zwłaszcza dla ciebie. Ucierpi także twoja reputacja. A to oznacza, że trudno cię będzie wydać za dobrze urodzonego kawalera z tytułem. Papcio byłby niepokieszony...

- Racja... nie zniósłby takiego niepowodzenia... Jaki będzie nasz następny krok?

Zastanawiał się przez chwilę, czy wspomnieć o Jacku, ale uznał, że rozsądniej będzie na razie zachować milczenie, zwłaszcza że jego brat także nie miał pojęcia o istnieniu Reginy. Poza tym nad wyraz niechętnie dzielił się informacjami. Ustalili, że każdy z nich będzie prowadził dochodzenie na własną rękę i spotkają się dopiero wtedy, kiedy któremuś z nich uda się odkryć coś istotnego.

- Nie tylko my szukamy zaginionych dziewcząt, ale tylko my wiemy, kiedy i gdzie zniknęła jedna z nich. Czy byłabyś skłonna tam wrócić?

- Naprawdę chcesz tam wrócić? Teraz? - Poderwała się na równe nogi. - Znów będziemy musieli wdziać maski, żeby ukryć naszą tożsamość?

- W maskach zanadto rzucalibyśmy się w oczy. Sprawimy sobie nowe kostiumy, mój lokaj, Gaston, już się tym zajął. Do czasu, kiedy będą gotowe, musi ci wystarczyć obszerny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, najlepiej ten, który miałaś na sobie wczoraj w parku.

Posłała mu szeroki uśmiech, który bardzo szybko przygasł.

- Nie wolno mi się z tego cieszyć. To przecież nie przygoda, lecz poważna sprawa. Może nawet sprawa życia i śmierci. Zakradniemy się tylnym wejściem?

- Bardzo możliwe. - Podał jej ramię, po czym wyszli razem na korytarz. - Zabrałaś ze sobą podobiznę kuzynki?

- Medalion? Mam go na górze. Poczekaj tu na mnie.

- Na ciebie, moja słodka, gotów jestem czekać w nieskończoność. - Skłonił się z galanterią, a ona roześmiała się i podkasawszy spódnicę, wbiegła na piętro.

Pięć minut później zmierzali nieoznakowanym powozem do domu, w którym odbył się bal maskowy lady Isobel Fortesque.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Regina odsunęła ostrożnie zasłonkę i wyjrzała na ulicę. Jej oczom ukazał się nadgryziony zębem czasu mocno zaniedbany budynek.

- Ojej, w nocy to miejsce wyglądało zupełnie inaczej...

- W ciemnościach wiele rzeczy wygląda inaczej - stwierdził Puck, pomagając jej wsiąść. - Z reguły lepiej. Trzymaj głowę spuszczoną i zakryj twarz chustką.

Zrobiła, co kazał bez protestów, zwłaszcza że za sprawą pobliskich straganów w powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń ryb.

- Gotowa? W takim razie, idziemy.

- Jak zamierzasz to rozegrać? Przypuszczam, że w środku ktoś jest. Pewnie nie zakończono jeszcze sprzątanego po balu.

- Nie inaczej. Wiem skądinąd, że ludzi obsługujących przyjęcie zatrudnia właściciel posesji - posesji, którą, nawiasem mówiąc, różne podejrzane indywidua wynajmują do najprzeróżniejszych podejrzanych celów, ale nie będę cię zanudzał nieistotnymi detalami. Najważniejsze, że jeden z tutejszych posługaczy, niejaki Davy Tripp, okazał się nad wyraz pomocny. Otóż wyjawiał mi za niewielką opłatą, że on i reszta służby nie tylko pracują, lecz także mieszkają w tej uroczej ruderze. Mówiłaś wczoraj, że jestem genialny. Jak widzisz, wszystko wskazuje na to, że się nie myliłaś.

- Zdaje się, że niepotrzebnie wzbudziłam w tobie dumę - orzekła z udawaną przyganą. - Zaczynasz się przechwalać. Czy to laska z ukrytym ostrzem? - zapytała, kiedy zastukał do drzwi ozdobną rękojeścią. - Nigdy takiej nie widziałam.

- Owszem może służyć jako broń, ale wolałbym nie demonstrować ci jej dodatkowego zastosowania.

Wzruszyła ramionami.

- Ale chyba umiesz się nią posługiwać?

Zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku minut nie będę musiał ci tego udowodniać. - Usłyszawszy chrobot przy klamce, zasłonił ją własnym ciałem. - Dzień dobry,

chciałbym się rozmówić z Davym Trippem, jeśli łaska - powiedział, gdy w progu ukazała się sylwetka zwalistego mężczyzny.

Reggie wychynęła zza pleców towarzysza, by przyrzeć się roslemu nieznanemu. Wyglądał jak istne monstrum. Miał dłonie wielkości bochenka chleba, nosił obszerny skórzany fartuch niemal w całości pokryty rybimi łuskami, a jego twarz była kompletnie zmasakrowana, jakby ktoś próbował mu ją przefasonować przy użyciu pięści. Na łysej jak kolano czaszce doliczyła się nie więcej niż pięciu włosów i doszła do wniosku, że jegomość mógłby bez charakterystyki straszyć po nocach dzieci.

Kiedy w dodatku przemówił cienkim i piskliwym głosem, niemal parsknęła śmiechem.

- Davy, powiecie, panicyku? A będzie kwadrans, jak posedł z jednym takim innym panicykiem, co to mu miedziaka łobiecał za „chwile rozmowy”. Do ogrodu wysli, widzi mi sie. Davy i Davy. Nic, tylko Davy. Tyn to ma gadane, panie, jak kaznodzieja jaki, cy co. Co kto psyjdzie i gadać mu sie kce, to zara tygo ancymona na strone bieze i miedziakami łopsypuje. W cepku urodzony, musi, gagatek. A co to ja gadać nie umim, cy jak? Dacie, panicyk, pienionska, to zara szysko wyśpiewam jak na spowiedzi. Robin chwycił Reginę za rękę.

- Biegiem! - polecił zwięźle, cisnąwszy na ziemię monetę.

Olbrzym rzucił się za pieniądzem, przy okazji schodząc pozostałej dwójce z drogi.

Wkrótce znaleźli się wewnątrz domu i biegli w kierunku rzędu drzwi, które panna Hackett pamiętała mgliście z piątkowego wieczoru.

- Puck! Co... co się stało?! - wydusiła bez tchu, próbując dotrzymać mu kroku.

- Nie teraz - odparł pospiesznie. - Nie ma czasu na wyjaśnienia. A niech to! Spowalniaj mnie. Puszczę cię teraz, ale nie zatrzymuj się. Biegnij za mną. - Chwilę później pędził, ile sił w nogach, w stronę tarasu. W jego lewej dłoni połyskiwało srebrne ostrze sztyletu.

W korytarzu krzątało się kilku mężczyzn z miotłami. Na widok intruza, żądni wrażeń porządkujący, rzucili się w pościg i stłoczyli przy wyjściu do ogrodu.

Hackettówna musiała się między nimi przeciskać, kiedy wreszcie ich dogoniła.

- Puck! - wrzasnęła przerażona.

Jakiś biedak leżał rozciągnięty na trawniku, Robin zaś klęczał tuż obok niego. - Lepiej trzy godziny za wcześnie niż minutę za późno stwierdził sentencjonalnie, po czym uniósł laskę, aby ukryć z powrotem sztylet.

Reggie popatrzyła na przygwożdżonego do ziemi młodziana, który dyszał ciężko i sprawiał wrażenie mocno wystraszonego.

- Co powiedziałeś? - zwróciła się nieco roztargnionym głosem do Blackthorna.

- Och, nic takiego. To tylko wers zapożyczony od mistrza Szekspira. Pochodzi z *Wesołych kumoszek z Windsoru*, jeśli cię to interesuje. Wybacz, że zostawiłem cię w tyle, moja droga. Trochę mi się spieszyło. I nie martw się o naszego młodego przyjaciela. Nic mu nie będzie. Jest tylko odrobinę skonfundowany, ale to wyłącznie z nadmiaru wrażeń, prawda, Davy? Podaj mi rękę, młodzieńcze, pomogę ci się podnieść. Twój prześladowca już sobie poszedł.

- Prześladowca?! - przelękła się Regina. - Napadł was jakiś złoczyńca? O mój Boże! Dźgnął go?

- A wolałabyś, żebym go dźgnął, czy nie? Dobrze się zastanów. Od tego zależy moja odpowiedź.

Posłała mu mrożące krew w żyłach spojrzenie, a on miał czelność się uśmiechnąć. Wyglądał przy tym na bardzo zadowolonego z siebie.

- Nie widzę w tym niczego zabawnego, panie Blackthorn - oznajmiła lodowatym tonem.

- Davy pewnie też nie widzi, nieprawdaż, chłopcze?

Młodzian skinął posłusznie głową.

- I dlatego chętnie pójdzie z nami, mam rację, Davy?

Davy zerknął ukradkiem na laskę Pucka. Upewniwszy się że owo śmiercionośne narzędzie wygląda znowu jak zwyczajna laska, obrócił się na pięcie i spróbował dać drapak. Nie zdążył. Robin chwycił go w porę za kołnierz i przytrzymał w miejscu.

- Dokąd to? Na twoim miejscu bym tego nie robił. Zapomniałeś już o... złoczyńcy? Coś mi się zdaje, że jeszcze z tobą nie skończył.

Chłopiec pogłaskał się umorusaną dłonią po opuchniętym policzku.

- I mie sie tak zdaje, 'śnie panie - stwierdził w końcu. - A co mi tam, idem z panem.

- Bardzo słusznie, synu - pochwalił Puck.

- Uderzył cię? - oburzyła się panna Hackett. - Ów złoczyńca? Czemu?

- Regino, na miłość boską, nie tutaj - upomniał Goodfellow. - Mamy co najmniej tuzin świadków, a to oznacza tuzin par uszu za wiele. Nie zauważyłaś?

- Och... no tak... racja - przypomniała sobie, że przygląda im się publiczność. - Chyba powinniśmy jak najprędzej opuścić to miejsce.

- Przednia myśl, słowo daję - odparł, bezczelnie szczerząc zęby.

Miała ochotę natrzeć mu uszu. Zamiast tego zrobiła urażoną minę i przyjęła jego ramię. Niebawem całą trójką ruszyli w drogę powrotną. Nie spieszyli się. Kroczyli z wolna, udając, że nic sobie nie robią z obecności depczących im po piętach posługaczy. Blackthorn na wszelki wypadek wysunął sztylet i trzymał go ostentacyjnie na widoku. Był przy tym uosobieniem spokoju i pewności siebie.

- Nie oglądaj się za siebie, moja słodka - szepnął do ucha Reginie. - Widok tych obszarpańców mógłby cię zamienić w słup soli, a tego bym nie zniósł.

- Pojmuję. Pozwól zatem, że zabawię cię rozmową. Jakbyśmy wybrali się na przechadzkę po parku. Skąd wiedziałaś?

- Skąd wiedziałem? Co mianowicie?

- Nie bądź uciążliwy. Skąd wiedziałaś, że Davy jest w tarapatach?

Puck uchylił kapelusza wielkoludowi o cienkim głosie, który wciąż tkwił przy drzwiach. Potem pomógł Reggie wsiąść do powozu.

- Nie wiedziałem. Powiedzmy, że... miałem złe przeczucie i zapragnąłem się upewnić, że naszemu młodemu przyjacielowi nic nie grozi. O nie, nie, nic z tego, młodzieńcze. Rad jestem z naszego ponownego spotkania, ale myślę, ba, jestem pewien, że zarówno tobie, jak i twemu unikatowemu zapachowi będzie o wiele lepiej na kozle obok stangreta. Anders pomoże ci wskoczyć na górę. O właśnie, greczny chłopiec.

Regina zaczekała, aż Goodfellow siądzie obok niej, po czym niezwłocznie przypuściła atak.

- Miałaś złe przeczucie? Nie jestem idiotką, Puck. Nie próbuj mnie zbyć. Jak widzisz, nie wpadłam w histerię, choć przyznaję, przez moment byłam bliska ataku paniki. Możesz śmiało powiedzieć mi prawdę.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie sądziłem, że nasza mała eskapada okaże się niebezpieczna. Mieliśmy tylko zamienić parę słów z Davym i pokazać mu podobiznę Mirandy. Powinienem być zamknąć cię pod kluczem, albo jeszcze lepiej przywiązać do łóżka, żeby nie wpadł ci do głowy jakiś postrzelony pomysł.

- I mówisz to tylko z powodu tego drobnego incydentu?

Westchnął i przewrócił oczami.

- Skądże. Tak naprawdę miałem na myśli podłą aurę. Nie chcę, żebyś się zaziębiła, dlatego wolałbym, żebyś nie wyściubiała nosa z domu.

Urażona, odwróciła głowę i demonstracyjnie zapatrzyła się w okno.

- Jeśli nie masz ochoty odpowiadać na moje pytanie, twoja wola, ale nie musisz od razu być uszczypliwy.

- Uszczypliwy? Ja? Gdzieżbym śmiał. Zaraz pewnie mi powiesz, że świetnie się bawiłaś i że wcale się nie bałaś?

Reggie była bliska łez.

- Oczywiście, że się bałam! Byłam przerażona, bo nie wiedziałam, co się dzieje. Nadal nie wiem!

Objął ją ramieniem i przytulił.

- Chcesz prawdy? Dobrze. Usłyszysz prawdę. Jeden „panicyk”, który pragnie uciąć sobie pogawędkę z kimś takim jak nasz złotousty Davy, to jeszcze rozumiem, ale dwóch „panicyków” jednego dnia? Od razu wydało mi się to podejrzane. Zgodzisz się ze mną, że to dość niezwykle, prawda?

- Owszem, niezwykle - zgodziła się, zadowolona, że jest tak blisko niej.

Głaskał ją po rękę, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Lubiała jego dotyk. Jej także wydawał się zupełnie naturalny. A przecież znali się od zaledwie dwóch dni. Pomyślała, że świat jest bardzo dziwny.

- Właśnie. Skoro my przyszliśmy do Davy'ego po informacje, nietrudno się było domyślić, że i ten drugi zjawiał się po to samo.

- Racja - przyznała, przysuwając się nieco bliżej.

- Uwielbiam uległe i zgodne niewiasty. Au! Masz wyjątkowo ostre łokcie, moja piękna. Wiesz o tym?

- Mam też szpilkę do kapelusza, więc proszę się liczyć ze słowami, panie Blackthorn. Zechce pan przejść wreszcie do rzeczy?

- Dobrze już, dobrze. Otóż pomyślałem, że ów drugi nie jest tak nieszkodliwy jak my i może zechcieć uciszyć Davy'ego na wieki. Postanowiłem więc interweniować.

- Istotnie. Miał paskudny siniak na policzku. Ktoś go uderzył.

- Ów ktoś zamierzał zwyczajnie go zadźgać. Na szczęście, w porę wkroczyłem do akcji.

Poczuła na plecach ciarki.

- O mój Boże...

- Niestety, nasz drogi Davy z wdzięczności uczepił się moich nóg i tym samym całkiem mnie unieruchomił. Tymczasem złoczyńca skorzystał z zamieszania i umknął. A ten siniak na twarzy chłopaka to moje dzieło. Usiłowałem mu się wyrwać. Niezbyt dobrze to wyglądało. Cieszę się, że nie byłeś świadkiem mojego wątpliwego heroizmu.

Roześmiała się mimo woli.

- Najpierw ocaliłeś mu życie, a potem go pobiliś?

- Cóż, najwyraźniej nie jest to mój najlepszy dzień. Przez chwilę bałem się, że ratuję młokosa przed własnym bratem. Na szczęście, to jednak nie był on.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Teraz to już nic nie rozumiem.

- Och, nie przejmuj się. Nikt nie rozumie Jacka. To znaczy, mojego brata.

Przerwali rozmowę, gdy powóz zatrzymał się na tyłach posiadłości przy Grosvenor Square.

- Zakryj twarz i skorzystaj z kuchennego wejścia - polecił Puck. - Zaraz do ciebie dołączę. Wydam tylko dyspozycje dotyczące Davy'ego.

Kilka minut później spotkali się ponownie w bawialni.

Panna Hackett usiadła na kanapie, a Blackthorn podszedł wprost do stolika z alkoholem i nalał sobie kieliszek wina.

- Wadsworth przyniesie ci lemoniadę i ciastka.

Pomyślała, że lemoniada nie ukoji jej nerwów, ale mając na względzie skłonności matki, uznała, że lepiej będzie nie przyzwyczajać się do mocnych trunków.

- Dziękuję.

- To ja ci dziękuję. - Puck usiadł obok niej i ucałował jej dłoń. - Byłaś bardzo dzielna.

- Cóż, nie miałam innego wyboru - odparła, a on uśmiechnął się, jakby powiedziała coś nadzwyczajnego. - Opowiesz mi o swoim bracie? Mam na myśli Jacka, bo o Beau co nieco już słyszałam. Było o nim głośno w ubiegłym sezonie, kiedy namówił do ucieczki lady Chelsea Mills-Beckman.

- On twierdzi, że było na odwrót. Zresztą zostałem wciągnięty w całą tę kabałę i mogę potwierdzić jego słowa.

- Czy to znaczy, że to lady Beckman go porwała? Nie wierzę.

- Powiedzmy, że wymusiła na nim tę wyprawę. Ma na niego swoje sposoby. Przypuszczam, ba, jestem przekonany, że gdybyś ty próbowała wymóc na mnie coś równie szalonego, zgodziłbym się bez wahania. W istocie już to zrobiłem.

- Próbujesz zmienić temat, ale nic z tego. Nie wymigasz się. Chcę usłyszeć o Jacku.

- O Black Jacku. Tak go nazywają. - Odstawił kieliszek na pobliski stolik i rozsiadł się wygodnie na kanapie. - Opowiem ci całą historię od początku. Skoro i tak musimy poczekać na Davy'ego... mamy mnóstwo czasu. Służba właśnie zaznajamia naszego chwackiego młodziana z nowymi znajomymi; wodą i mydłem. Oby był to początek wielkiej przyjaźni...

- Kazałeś go wykopać?

- Niewykluczone, że zostanie z nami na dłużej, pomyślałem więc, że nie zaszkodzi nieco go... „odkazić”. Wiesz o ubiegłorocznym skandalu z udziałem Beau i Chelsea, a zatem wiesz także, że wszyscy trzej jesteśmy synami markiza Blackthorn, ale za to nie jesteśmy synami jego małżonki markizy Blackthorn. Zgadza się?

- Niezwykle delikatnie to ująłeś - zauważyła, wpatrując się w jego twarz. Szukała na niej oznak zażenowania, ale ich nie znalazła.

- Cóż, lata praktyki uczyniły swoje.

Rozmowę przerwał Wadsworth, który wkroczył do bawialni z tacą.

- O, moje ulubione ciasteczka - ucieszył się Robin. - Dziękujemy, Wadsworth. Jak postępuje „odkazanie” naszego nowego gościa?

- Melduję, że operacja jest w toku, jasnie panie, choć przebiega nie bez pewnych perturbacji.

Gagatek czmychnął Andersowi aż dwa razy, ale w końcu wpakowaliśmy go do wanny. Gospodyni nie była wszak zachwycona, gdy podczas jednej z uciezek chłopak wparował do kuchni golusieńki. Jak go Pan Bóg stworzył. Panienka wybaczy. Reggie spuściła głowę, by ukryć uśmiech.

- Golusieńki jak go Pan Bóg stworzył, powiadasz? - roześmiał się Puck. - A to figlarz! Nie sądziłem, że będziemy mieli z niego taki ubaw.

Kamerdyner uklonił się i wyszedł.

- Każda sytuacja ma swoje dobre strony - dodał Blackthorn, kiedy znów zostali sami. - Trzeba tylko umieć je odnaleźć. W przeciwnym razie trudno kochać życie. A ty, Regino? Kochasz życie? Bo ja tak. I uwielbiam czerpać z niego pełnymi garściami.

Poczuła w środku przyjemne ciepło.

- Tak, przy tobie, kocham życie coraz bardziej. Ale zacząłeś opowiadać mi o rodzinie...

- A tak... no więc Beau i Chelsea osiedli na stałe w Blackthorn. Beau jest w gruncie rzeczy domatorem. Lubi doglądać licznych włości ojca, co ten bardzo sobie chwali. To on w przyszłości przejmie tytuł, jako że urodził się pierwszy, a Chelsea doskonale sprawdzi się w roli markizy. Co do Jacka, cóż, trzyma się raczej na uboczu. Nie nazwałbym go szczególnie rodzinną osobą...

Najprawdopodobniej żywi do ojca wielką urazę i nie jest w stanie sobie z tym poradzić. Rzecz w tym, że nasz papa nigdy nie ożenił się z naszą matką, ożenił się za to... z siostrą naszej matki. Zamrugwała gwałtownie.

- Co proszę?

Opróżnił kieliszek i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju.

Jednak nie jest to dla niego łatwy temat, pomyślała niewesoło.

- Przywykliśmy do sytuacji, więc nie widzimy w niej niczego nadzwyczajnego. Gorzej, kiedy któremuś z nas przyjdzie tłumaczyć to wszystko osobie postronnej. Nasi rodzice się spotkali, a potem się w sobie zakochali, tak jak większość innych par, tyle że matka pragnęła wówczas zostać aktorką. Dopięła swego i jest nią zresztą do tej pory. Ojciec przez cały czas ich znajomości finansuje ją oraz całą jej trupę. Marzyła o spektaklach na deskach najlepszych londyńskich scen, ale zdołała jedynie zaangażować się na krótko w niewielkim teatryku w Bath. Dodam, że było to dwanaście lat temu. Mimo to jest uparta i nie ustaje w wysiłkach. Czasem myślę, że jej najlepsze występy mają miejsce poza sceną. Ale tylko czasem. Nie chcę stać się tak cyniczny jak Jack. Z cynizmem nikomu nie jest do twarzy.

- Jak rozumiem, wasi rodzice nie pobrali się z powodu zajęcia matki? Cóż, nie dziwię się, że markiz miał pewne opory przed małżeństwem z komediantką.

Roześmiał się w głos.

- Ależ skądże. Wcale nie o to poszło. Matka zwyczajnie dała mu kosza. Koniec końców, doszli jednak do porozumienia i zawarli układ. Przyrzekli sobie nawzajem dogonną miłość i wierność do grobowej deski, z tym że matka postawiła warunek, a mianowicie zamiast z nią ojciec miał się ożenić z jej siostrą, Abigail. Co też uczynił. Abigail była piękna jak z obrazka, ale, jak by to rzec, mocno niedomagała na umyśle. Była jak dziecko. Dziadek zamierzał się jej pozbyć, umieścić ją w przytułku czy jakimś innym okropnym miejscu i prawdopodobnie by to zrobił, gdyby nie plan naszych drogich rodziców. Mama tłumaczyła nam potem, że chciała ją chronić. Abby została żoną ojca, a ona mogła wyjechać w pogoni za marzeniami, spokojna o los siostry.

- Abigail nie miała nic przeciwko temu, że jej mąż miał kochankę? W dodatku jej własną siostrę?

- Abby nie wiedziała nawet, co znaczy słowo „kochanka”?

Jego oczy wyraźnie łagodniały, kiedy mówił o żonie ojca.

- Była jak anioł, słodka, niemądra i zupełnie niewinna. Nigdy nie była okazem zdrowia. Pamiętam, że kiedy brałem ją za rękę, jej dłonie były zawsze zimne, a koniuszki palców lekko sine. Mama twierdzi, że od dziecka miała słabe serce. W zeszłym roku pewnego dnia zasnęła i już się nie obudziła.

Miała ochotę go przytulić i pocieszyć, ale doszła do wniosku, że nie opowiada jej o Abby po to, żeby wzbudzić współczucie, lecz żeby wyjaśnić jej swoją sytuację rodzinną.

- To bardzo smutne, ale przecież wasza matka mogła wyjść za markiza i zabrać siostrę ze sobą. Trudno uwierzyć, że nie chciała zostać jego żoną. Skoro naprawdę go kochała, aktorstwo nie mogło być dla niej ważniejsze.

- Mówisz tak, bo jej nie znasz - odparł z krzywym uśmiechem. - Adelajda, bo tak ma na imię, nigdy nie jest zadowolona, kiedy przebywa pod jednym dachem z rodziną. Gdy wraca do domu, sprawia wrażenie na wpół martwej i nieustannie udaje, odgrywa przed nami kolejny spektakl. Ostatnio bywa w Blackthorn nader rzadko. Kiedy byliśmy mali, zostawała czasem na kilka miesięcy, ale prędzej czy później zawsze wyjeżdżała. Żaden z nas, ani ojciec, ani my, nie potrafiliśmy jej w pełni uszczęśliwić. Nie wystarczaliśmy jej, ani kiedyś, ani teraz. Czasami się zastanawiam...

- Nad czym? - spytała, gdy raptem umilkł.

- Zastanawiam się, czy jest zdolna kochać kogokolwiek oprócz samej siebie. Możliwe, że tak naprawdę nigdy nie żywiła wobec ojca żadnych cieplejszych uczuć. Potrzebowała zadurzonego dumia, który opłacałby podróże jej wędrownej trupy i zwyczajnie postanowiła wykorzystać jego naiwność. Kazała mu się ożenić z Abigail, żeby na zawsze go ze sobą związać i nie stracić stałego źródła pieniędzy. A ja i moi bracia byliśmy jedynie pomyłkami.

Tym razem nie wytrzymała. Podeszła do niego zdecydowanie i położyła mu ręce na ramionach. Doskonale rozumiała co czuł. Sama nie miała lepszych doświadczeń. Ojciec nigdy nie krył, że urodziła się z jednego powodu. Matka wprawdzie była do niej przywiązana, ale przede wszystkim się jej wstydziła, a raczej wstydziła się tego, że w żyłach jej córki płynie plebejska krew Alice Hackett.

- Och, Puck, tak mi przykro. Ucałował jej dłonie.

- Niepotrzebnie. Nigdy niczego mi nie brakowało. Mam oboje rodziców, dwóch braci, miałem też Abigail. Pobierałem nauki w najlepszych szkołach, niedawno zostałem właścicielem sporego, a co najważniejsze, nieobciążonego długami majątku ziemskiego oraz domu, w którym obecnie przebywamy. Mieszkałem w Paryżu i zjeździłem cały świat. Nie grożą mi bieda ani głód, a to czy jestem szczęśliwy, zależy wyłącznie ode

mnie, z pewnością nie od tego, w jaki sposób postrzega mnie tak zwane wytworne towarzystwo. Przysunęła się i cmoknęła go w usta.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty.

- Ja myślę. Jeden Puck w zupełności ci wystarczy. Co się zaś tyczy Black Jacka... Ja i Beau już dawno pogodziliśmy się z tym, że jesteśmy dziećmi z nieprawego łoża. Każdy na swój sposób... Jack niestety na swoje i nas wszystkich nieszczęście najwyraźniej nie potrafi uporać się z duchami przeszłości. W dodatku jest nieprzystępny i tajemniczy. Nie rozmawiał z rodzicami od lat. Nie przyjął od ojca ani pensa, a mimo to żyje w dostatku. Nie wiemy, co robi, i nie mamy pojęcia, gdzie mieszka. Wstyd powiedzieć, ale w ogóle niewiele o nim wiemy, on za to nie wiadomo jakim sposobem zdaje się wiedzieć o nas dosłownie wszystko.

- Cóż, wiemy przynajmniej, że w tej chwili przebywa w Londynie, prawda? Sam mówiłeś, że to on usiłował wyciągnąć jakieś informacje od Davy'ego.

- Racja. Wspomniałem o tym. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że w ubiegłym roku ja i Beau całkiem przypadkiem odkryliśmy, jak zarabia na życie nasz brat. Ni mniej, ni więcej jest tajnym agentem Jego Królewskiej Mości. Sam naturalnie za nic by się do tego nie przyznał, lecz traf chciał, że nakryliśmy go, że się tak wyrażę, niemal na gorącym uczynku. Bóg jeden wie, jakich okropności dopuścił się w imię służby ojczyzny. Dość powiedzieć, że gdybym wiedział, że to mnie teraz ściga, prawdopodobnie leżałbym struchlały ze strachu pod łóżkiem.

- Domyślam się, że nie ściga ciebie, lecz prawdopodobnie szuka Mirandy oraz innych zaginionych dziewcząt.

- I tu się mylisz, moja słodka. Jack poluje na szubrawców, którzy z kolei polują na młode kobiety, porywają je, a potem sprzedają za granicą niczym bydło. Zaginęło ich ponad dwa tuziny.

- Aż tyle? - Nie mieściło jej się to w głowie. Dlaczego w takim razie nie podniósł się raban? Oficjalnie nic się o tym nie mówi. Dlaczego gazety milczą?

- Ci łajdacy są przebiegłi. Wybierają kobiety z gminu, wielekroć takie, których nikt nie szuka albo zaczyna szukać dopiero po upływie kilku dni. Mam na myśli najemne po-

sługaczki, podrzędne aktoreczki, czasem ulicznice. Jack twierdzi, że mogli ich schwytać znacznie więcej, niż nam się wydaje. Zupełnie bezkarnie jak dotąd.

- Ostatnio zabrali jednak wnuczkę wicehrabiego. Skąd twój brat wiedział o Mirandzie?

- Nie wiedział, dopóki sam mu o niej nie powiedziałem. Pierwszą młodą damą, o której zniknięciu wiedział ktokolwiek, była panna Edna Featherstone, córka prominentnego londyńskiego wytwórcy win. Zrozpaczony ojciec zwierzył się ze swego nieszczęścia jednemu z ważniejszych klientów, ten z kolei przyszedł ze sprawą do Jacka. Tak się bowiem składa, że ów dżentelmen jest łącznikiem pomiędzy Jackiem i władzami. Brat naturalnie nie zdradził mi nazwiska tego człowieka, a ja zbyt cenię własną skórę, by na niego naciskać. Tak czy owak, Jack rozpoczął poszukiwania Featherstone'ówny. Dopiero wówczas odkrył, że zaginęły także inne dziewczęta.

- Panna Featherstone jest drobną blondynką o niebieskich oczach, jak sądzę?

- W rzeczy samej. Podobnie jak twoja kuzynka. Nigdy jej nie odnaleziono, ale Jack został wezwany do Londynu kilka dni przed naszym pierwszym spotkaniem na balu. Okazało się, że zaginęła chrześciana księcia Norfolk, a zarazem jedyna córka bliskiego przyjaciela Jego Królewskiej Mości. To tajemnica, którą oboje zabierzemy do grobu, panno Hackett. W przeciwnym razie oboje możemy przedwcześnie wylądować sześć stóp pod ziemią.

Reggie nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Tak jak Burnhamówna, rzeczona panna przebywa obecnie na wsi, złożona ciężką chorobą. Ma wrócić na salony dopiero po wyzdrowieniu. Niech Bóg ma ją w opiece. Niech Bóg ma je wszystkie w opiece.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Puck czekał w swoim gabinecie na Davy'ego, spoglądając na listę, którą przed chwilą własnoręcznie sporządził.

Regina udała się na górę, aby sprawdzić, jak się miewa matka, i wziąć kąpiel. On także potrzebował kąpeli, ale postanowił odłożyć ablucje na później.

Coś w tej sprawie nie dawało mu spokoju.

Jack nie wiedział, skąd. uprowadzono pannę Burnham. Nie miał też pojęcia o istnieniu młodego Trippa. Robin zataił przed bratem obie te wskazówki. Człowiek, który napadł na Davy'ego, pojawił się co najmniej kilka minut przed nim i Hackettówną. W dodatku po to, żeby „porozmawiać” z chłopakiem. Black Jack mógł ich rzecz jasna śledzić, ale wówczas dotarłby na miejsce po nich, a nie przed nimi. Poza tym pozostawał poza podejrzeniem. To z pewnością nie był on. A zatem, można skreślić go z listy.

Skreślił także Doris Ann oraz stangreta i lokaja Mentmore'ów.

Kto jeszcze wiedział, gdzie dokonano porwania?

Spojrzał ponownie na spis wtajemniczonych osób.

Regina, jako że była na balu. Lady Claire. Regina powiedziała jej o przyjęciu. Wicehrabia Ranscome. Małżonka bez wątpienia powtórzyła mu słowa siostrzenicy.

Reginald Hackett. On także był obecny na balu.

Pierwsze trzy imiona należało wyeliminować. Żadne z tych trojga nie słyszało wcześniej o Davym. Reggie dowiedziała się o nim zaledwie kilka godzin temu.

A zatem pozostawał jedynie Reginald Hackett. W tym miejscu Robin rozpoczął nową listę.

Hackett był jednym z gości maskarady.

Po odwiezieniu Reginy do domu wróciłem na przyjęcie i rozmawiałem z Trippem. Reginald mógł nas wówczas podglądać.

Hackett posłał policjantów na północ kraju. Po co?

Podkreślił trzykroć ostatnie pytanie, ale nim zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, w pokoju pojawił się Wadsworth.

- Sir? Melduję, że doprowadziliśmy gagatka do porządku. Na tyle, na ile się dało.

Davy prezentował się niewiele lepiej niż przed przymusowym szorowaniem, ale przynajmniej nie roztaczał wokół siebie nieznośnej woni. Wyglądał na wychudzonego i wygłodniałego. Prawdopodobnie był zabiedzony i głodny. I starszy, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. W istocie jego policzki pokrywał cień zarostu.

- A niech mnie... - odezwał się z zachwytem, rozejrzawszy się po pokoju. - Ależ tu cudnie, jak z obrazka!

- Cieszy mnie, że tak ci się podoba. Dziękuję, Wadsworth, możesz odejść.

- Jest pan pewien, sir? Ten ananas upycha po kieszeniach co popadnie, gdy mu się zdaje, że nikt nie patrzy. Tfu, złodziejskie nasienie. Jedna rzecz, której nie próbował zwędzić, to mydło. Nie wiedzieć czemu omijał je szerokim łukiem.

Blackthorn uśmiechnął się na widok zgorzonego oblicza kamerdynera.

- Myślisz, że powinniśmy przywiązać go do krzesła? Albo wycelować w niego pistolet?

Służący zarumienił się jak wiśnia.

- Jaśnie pan chce powiedzieć, że doskonale da sobie z nim radę, prawda?

- W rzeczy samej, mój drogi. Ale pozwalam ci na wszelki wypadek stanąć na warcie tuż za drzwiami. Gdybym nagle zaczął wrzeszczeć wniebogłosy, nie wahaj się wtargnąć do środka.

- Tak jest, sir - Majordomus odwrócił się i na odchodne wytargał Davy'ego za ucho. - Żebyś mnie sobie zapamiętał, nicponiu - rzekł i zniknął w korytarzu.

Chłopak rozmasował obolałe miejsce i wlepił wzrok w Pucka.

- Czy to ja co złego zrobiłem, że mnie wszyscy zara bić chcom? Tylko by szturchali i popychali, złośniki jedne.

- Zechce pan wybaczyć, panie Tripp, że niechcący nastąpiłem panu butem na twarz.

- Zycie mi pan uratował, ot co. Słowa złego na pana nie powiem. Ten, co to se psed chwilom posedł, to dopiero gadzina jest. I ci inni tsej jego kamraci. Utopić mnie próbowali, bestie jedne! Brr, com ja tam psesedł...

Robin chrząknął w mankiet, żeby się nie roześmiać.

- To się nazywa kąpiel, Davy.

- Jak zwał, tak zwał, panie, ale wiecej sie psytapiac nie dam! Jak Boga ojca kocham! Czemu ten drugi panicyk chcial mie ukatrupic? Nic mu psecie nie zawinilem...

- Usiadz, chlopcze. Mamy do pomowienia. - Blackthorn wskazal swemu goosciowi krzeslo naprzeciw siebie. - Ile masz lat?

Tripp wzruszyl ramionami.

- A bo to ja wiem? Najpierw kominy czyscilem, alem sie zrobil do tego za duzy i jak mialem piec czy sześć roków, to mie matula na dobre z komina wyciongla. Ona to by wiedziala, ile mam lat, alem jej od tamty pory nie widzial. Potem robilem tu i tam, az wylondowalem w tym domu, co to mie 'snie pan niedawno w nim znalazl. Tyle ze tera to juz tam raczej wrócic nie moge. W dodatku ten matol Tiny wiozl i mi zabral wszystkie miedziaki, co mi 'snie pan wtedy dal. I znów bida z nedzom mnie czeka, jak amen w pa-cierzu. 'Snie pan gadać ze mnom chce, ale jak mi sie co pokiełbasi, to mie pan pewno znowu utopic kaze, co nie?

- Bez obaw. Dziś na pewno nikt cie już nie będzie topił. Ale jeśli chcesz się u mnie najac, będziesz musiał wejść w bliższą znajomość z wodą i mydłem. Widzi pan, panie Tripp, tak się składa, że potrzebuję pańskiej pomocy. Pytam zatem, czy zechce mi pan pomóc.

- Jaki tam ze mie pan, 'snie panie... Davy jestem i tyle. I wcale nie nazywam sie Tripp. Tak mie wołajom, ale to tylko dlatego, zem sie kiedyś ciongle o własne kulasy przewracał, szczególnie jak mie kto popchnoł*. A co do pańskiej tej... no... pro... por-pro... podrapał się w głowę.

* Ang. trip znaczy między innymi potykać się (przyp. tłum.).

- Propozycji?

- No właśnie, porpozycji. To zależy co niby ma znaczyć ta „blissza znajomość”?

- Dziękujemy, Hanks.

Pokojówka wyczarowała skądś kolejną chusteczkę i podała ją pani Hackett.

- Tak, dziękuję, moja droga - wymamrotała lady Letycja, po czym otarła oczy i wydmuchała nos. - Wierzyć mi się nie chce, że przystałaś na tę niedorzeczną intrygę, Claire - oznajmiła nie po raz pierwszy, lecz bez mała dwudziesty pierwszy tego wieczora

ru. - Cóż, urodziłaś się jako córka prostego kapelusznika, więc pewnie nie należy wiele się po tobie spodziewać. Poza tym odchodzisz od zmysłów w związku z zaginięciem Mirandy. Jako matka doskonale to rozumiem, nie pojmuję jednak, jakim prawem wplątujesz w ten okropny skandal moje dziecko?!

- Mamo, proszę - powiedziała również nie po raz pierwszy Regina. - Mówiłam ci już, że zawiniłam tak samo jak Randy. Mogłam... powinnam była powiedzieć „nie” i zawrócić powóz. Nie zrobiłam tego, bo... bo byłam podekscytowana. Miałyśmy włożyć maski i tańczyć z nieznanymi dżentelmenami. Wydawało nam się to takie... podniecające... Ty sama nigdy nie poszłaś na bal maskowy, kiedy byłaś młoda... to znaczy podczas swojego pierwszego sezonu w Londynie?

Letty wyprostowała się na krześle jak struna.

- Ja?! Miałabym pójść na bal maskowy?! Przenigdy! Dobrze wiedziałam, co się wyprawia na takich pożałuj Boże przyjęciach. Opowiadała mi o nich moja ukochana świętej pamięci mama, słyszałam też różne inne historie niegodne uszu takiej młodej i niewinnej panienki jak ty. Moja córka na maskaradzie! Zgroza! Ciebie także mogli pojąć i wywieźć Bóg wie dokąd! Jesteś o wiele ładniejsza niż Miranda. Prawdę mówiąc, cały czas się zastanawiam, jak mogli wybrać ją, a nie ciebie? Chryste, co ja najlepszego mówię? - rozszlochała się na dobre i ukryła twarz w dłoniach.

Hackettówna spojrzała na ciotkę i ciężko westchnęła. Dysputa trwała już co najmniej od godziny. To jest od chwili, gdy Letycja obudziła się z pijackiego snu i podniosła larum. Na pierwszy ogień poszła maskarada, potem dostało się Puckowi, nikczemnemu łajdakowi i bękartowi, który najzwyczajniej w świecie je porwał! Jak zdziczały przydrożny rozbójnik uwięził trzy bezbronne niewiasty! W dodatku w samym środku Mayfair! To nie do przyjęcia!

- Dajmy jej może... kieliszek wina... - zaproponowała lady Burnham, odciągawszy siostrzenicę swego męża na stronę.

- Nie! Tylko nie to - zaprotestowała Reggie. - To znaczy, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Nie powinnyśmy zachęcać jej do... nadużywania trunków, prawda?

- Za chwilę wspomni o twoim ojcu - zauważyła rzeczowo Claire. - A kiedy uzmysłowi sobie, jak zareagowałby Reg, gdyby się o tym wszystkim dowiedział, będzie tak

przerażona, że nie uspokoi jej nawet całe morze wina. Choćbyśmy okradły dla niej wszystkie londyńskie piwniczki.

Panna Hackett była bliska łez.

- Niczego nie żałuję, ciociu. Musiałyśmy to zrobić. Nie miałyśmy innego wyboru. Jesteśmy tu, żeby znaleźć Mirandę. I znajdziemy ją. Obiecuję ci to. Puck, to znaczy pan Blackthorn, mówi, że już poczyniliśmy znaczne postępy w poszukiwaniach. Bądź cierpliwa, niebawem sprowadzimy twoją córkę do domu.

Lady Ranscome wstrzymała oddech i skinęła głową. Nie poddała się rozpaczynie prawdopodobnie tylko dzięki matczynej miłości.

- To moje jedyne dziecko. Bóg mi świadkiem, że nigdy się jej nie wyprę. Choćby spotkało ją najgorsze. Twój wuj już teraz prowadzi rozmowy w sprawie jej zamążpójścia. Chce ją wydać za pewnego dziedzica, który ma swoje włości nieopodal naszych. To zacny i zamożny młodzian bez tytułu. Ponoć jest tak naiwny, że nawet się nie zorientuje, iż sprzedano mu... wybrakowany towar. Tak w każdym razie twierdzi Seth. On... on.. wolałby, żeby Miranda była martwa, widzę to w jego oczach. Ale to przecież niemożliwe! Moja Randy żyje, prawda? Powiedz, że on żyje!

Regina objęła szlochającą krewną i podprowadziła ją do kanapy. Próbowwała dodać ciotce otuchy i pocieszała ją najlepiej, jak umiała.

Kiedy nadeszła pora kolacji, żadna z dam nie była w towarzyskim nastroju. Hackettówna musiała jednak rozmówić się z Puckiem.

Podczas kąpieli rozpamiętywała obfitujący w wydarzenia dzień, a właściwie rozmyślała o Robinie, o tym jak jej dotykał i jak ją całował. Na samo wspomnienie jego bliskości jej ciało budziło się do życia.

Nie wolno jej o tym myśleć, przekonywała samą siebie bez większego przekonania. Rozsądek podpowiadał jej, że musi się skupić na poszukiwaniach Mirandy, ale serce mówiło zupełnie co innego. Zostanie w jego domu wraz z matką i ciotką przez tydzień. Ocali kuzynkę, a potem wróci do rezydencji ojca i nigdy więcej go nie zobaczy.

Miała siedem dni na to, by poczuć się kobietą i poczuć smak zmysłowych przyjemności. Nie miała żadnego doświadczenia, ale była pewna, że mąż, którego wybierze dla niej zachłanny papa, nigdy nie zdoła dorównać Puckowi w sztuce kochania.

Tylko przy nim czuła się tak wolna, wyzwolona i ciekawa albo... gotowa, jak to określiła jej niemądra kuzynka.

Wciąż nie mogła i nie chciała wybić sobie z głowy oszalamiająco nieprzyzwoitych słów, które wyszeptał jej do ucha podczas pierwszego spotkania w ogrodzie. Wiedziała, że będzie je pamiętać do końca życia, choć być może nigdy więcej ich nie usłyszy.

Pytał ją, czy kocha życie. Tak, przy nim je kochała. I choćby miało to trwać tylko tydzień nie zamierzała z niczego rezygnować. I do diabła z konsekwencjami!

- Regino! Regino! Nie słyszysz, że mama cię woła?

- Już idę, ciociu!

Wyszła z wanny i ubrawszy się pośpiesznie, pobiegła do matki i usiadła u jej stóp.

- Już nie płaczesz, mamó?

Oczy Letycji błyszczały, lecz bynajmniej nie od łez. Pani Hackett nagle odmłodziła i sprawiała wrażenie zadowolonej.

- Twój ojciec o niczym nie wie i nigdy się nie dowie. I dobrze. Bodaj pierwszy raz od dwudziestu lat czuję, że mogę swobodnie zaczerpnąć tchu. Jestem wolna. Nareszcie oddycham. Nie mam powodu chować się po kątach, nasłuchiwać jego kroków ani znosić wulgarnych odzywek. Nie muszę oglądać szpetnej powierzchowności mego „drogiego” małżonka ani przyglądać się bezradnie jego moralnemu zepsuciu. Nigdy więcej nie chcę wysłuchiwać obelg i gróźb, że zamknie mnie w przytułku, jak tylko wyda cię za mąż. Mówisz, że płakałam? Zupełnie nie pojmuję dlaczego. Nie zmarnuję już ani chwili na niepotrzebne łzy. Życie jest zbyt krótkie, aby marnować je na próżne żale! Nie pozwolę, by mnie dłużej terroryzował.

- Mamó! - Regina nie wytrzymała i sama się rozplakała.

Podczas kolacji Puck bez reszty oczarował obie damy. Co do Reginy, nie musiał się wysilać, jako że ta pozostawała pod jego urokiem już od dawna.

Lady Letycja wprost promieniała. Nim zeszły na dół, poprosiła o kąpiel, a potem stroiła się przed lustrem blisko trzy kwadransy. Przebierała się co najmniej kilka razy, a na koniec, niezadowolona z własnych strojów, włożyła jedną z sukien córki.

Przy stole była wzorem uprzejmości. Wychwalała wystrój domu i gościnność gospodarza, a potem prowadziła z nim ożywioną konwersację, głównie o Paryżu. Kiedy zapytał, czy napije się wina, poprosiła o lemoniadę.

Regina i Claire nie dowierzały własnym oczom i uszom.

- Jest bardzo miły - szepnęła w pewnym momencie ciotka.

O tak, Robin Goodfellow Blackthorn był niezwykle życzliwy i uważający. Wyglądał jak zwykle nieskazitelnie, a od chwili, gdy wszystkie trzy pojawiły się w jadalni, roztoczył nad nimi czułą opiekę i zabawiał je dowcipną rozmową. Nawet lady Ranscome zdołała się kilka razy uśmiechnąć.

Na wstępie przeprosił Letycję i jej bratową, że tak późno wtajemniczył je w swoje plany, potem zapewnił zrozpaczoną wicehrabinę, że zrobi, co w jego mocy, aby sprowadzić jej córkę do domu całą i zdrową.

Claire uwierzyła mu bez chwili wahania. Wzruszona chwyciła go za rękę i uniosła ją do ust.

Zarumienił się wówczas jak sztubak, a panna Hackett na widok jego zmieszania zapagnęła go uścisnąć.

Nie czuła się zaniedbywana, choć jego uwaga ze zrozumiałych względów koncentrowała się na pozostałych paniach. Gdy na nią spoglądał, a robił to dość często, wiedziała, że jego uśmiech jest zarezerwowany wyłącznie dla niej.

Po posiłku Letycja oznajmiła, że wraz z lady Burnham pragną udać się wcześniej na spoczynek. Poprosiła, aby w związku z tym herbatę oraz łakocie podać im na górę do ich pokojów, a nie jak nakazywał obyczaj, do bawialni.

- Przyjdź do bawialni, jak tylko zdołasz się wyrwać - szepnął Puck, kiedy pochylił się nad jej dłonią, aby na jakiś czas ją pożegnać. - I weź ze sobą płaszcz. Będzie ci potrzebny.

Reggie zerknęła na matkę, lecz ta, zajęta rozmową z wicehrabiną, zupełnie nie zwracała na nich uwagi albo udawała, że nie zwraca na nich uwagi.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Być może. Wolałbym cię w to nie mieszać, ale niestety...

- Puck! Obiecałeś mi przecież. A jeśli to właśnie dziś ją odnajdziemy? Będzie mnie potrzebowała.

Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dał za wygraną i pozwolił jej odejść.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W czasach wczesnej młodości podczas jednej z dalekich podróży, które ojciec zafundował mu w ramach poszerzania horyzontów, Puck trafił na statek zmierzający do Jeruzalem.

Podczas postoju w małym porcie nad Morzem Śródziemnym wybrał się na zwiedzanie miasteczka i trafił na targ. Zajęty zakupami, w pewnym momencie zgubił drogę, a gdy w końcu bocznymi ścieżkami zmierzał z powrotem do doków, natrafił na zbiegowisko rozwrzeszczanych gapiów. Zaciekawiony, przecisnął się przez ciżbę, żeby sprawdzić, skąd to podekscytowanie. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Wolałby nigdy czegoś takiego nie oglądać. Po raz pierwszy w swoim młodym życiu poczuł, że w określonych okolicznościach prawdopodobnie byłby zdolny do mordu.

Na skleconym naprędcie prowizorycznym podeście jakiś tłusty brodaty potwór szczyrzył zęby do publiczności, ściskając w ogromnej dłoni piersi kompletnie nagiej jasnowłosej kobiety, która zawodziła, mamrocząc coś po niemiecku.

Zebrani wokół mężczyźni śmieli się i skandowali, potrząsając sakiewkami.

- Zostaw ją, łajdaku! - wrzasnął Blackthorn, lecz jakiś potężny typ szybko wybił mu z głowy interwencję. Chwycił go za ramiona i przytrzymał w miejscu.

- Nie wtrącaj się, szczeniaku! - rzekł łamaną angielszczyzną. - Nasz przyjaciel próbuje sprzedać wybrakowany towar i choć trochę na tym zarobić. Te nietknięte trafiają do najlepszych klientów, tej tutaj pozostał już tylko burdel. Szkoda, bo ładna sztuka, ale bez wianka jest warta tylko połowę ceny. Kupił ją Ahmed, a to znaczy, że biedaczka długo nie pożyje. W jego „Edenie” robią ponoć straszne rzeczy, na które żadnemu szanującemu się chrześcijaninowi nie godzi się patrzeć.

Robin stał, przyglądając się bezradnie, jak dziewczynę zabiera jej nowy „właściciel”. W jej miejsce na podium wepchnięto natychmiast kilku zakutych w łańcuchy czarnoskórych mężczyzn.

Po chwili rozległ się przeraźliwy krzyk, a po nim stek przekleństw.

Cały tłum, a wraz z nim Puck rzucił się do przodu. Dziewczyna, którą przed chwilą sprzedano, leżała na ziemi w kałuży krwi. Jakimś cudem udało jej się zabrać Ahmedowi nóż i wbić go sobie w brzuch.

Wstrząśnięty Blackthorn odkupił jej ciało i wyprawił jej godziwy pochówek na pobliskim cmentarzu.

Potem zaczął zadawać pytania. Nie mieściło mu się w głowie, że podli ludzie wciąż dopuszczają się podobnych praktyk. Naturalnie, słyszał wcześniej o niewolnictwie, ale wiedział też, że w Anglii ów haniebny proceder został zakazany i jest przestępstwem karanym wyrokiem śmierci. Każdy angielski kupiec i armator był doskonale poinformowany o tym, czym grozi kupczenie ludźmi.

Sądził naiwnie, że niewolnictwo to zjawisko, które kwitnie wyłącznie w Afryce, tymczasem okazało się, że można zbić na nim fortunę w praktycznie każdym zakątku świata. Dowiedział się także, że większe wzięcie mają Murzyni, jako że są bardziej wytrzymali niż biali i rzadziej padają z wycieńczenia. Podobno wykształcił się również rynek zbytu na dziewice. Im jaśniejszą miały cerę, tym więcej były warte.

Robin nie zapamiętał nazwy owego śródziemnomorskiego miasteczka, ale to, czego był tam świadkiem, pozostało w jego pamięci na zawsze.

Kiedy poznał Reginę, przykre wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Miał poczucie, że to los chciał, żeby się spotkali. Wtedy był kompletnie bezsilny, teraz miał szansę uratować choć jedno życie.

Jack powiedział mu, że dostał wyraźne rozkazy. Miał odnaleźć wszystkich tych, którzy są zamieszani w handel kobietami i wyeliminować ich ze społeczeństwa, stosując „wszelkie stosowne środki”. Z zachowaniem dyskrecji, ma się rozumieć. Wstydliva dla monarchii sprawa nie mogła ujrzeć światła dziennego.

Puck zamierzał dopomóc bratu, ale dopiero gdy kuzynka panny Hackett zostanie zwrócona rodzinie bez uszczerbku dla reputacji.

- Puck?

Otrząsnął się z zamyślenia i ujrzał w drzwiach Reginę. Zdjęła całą biżuterię, związała włosy w luźny węzeł na karku i włożyła skromną czarną suknię, która z całą pewnością nie należała do niej.

Próbowała zrobić wszystko, żeby nie rzucić się w oczy i była wyraźnie wystraszona, a mimo to wyglądała prześlicznie. I była taka dzielna, gotowa porwać się z motyką na słońce, byle tylko wyrwać kuzynkę ze szponów bezwzględnych oprawców. Z początku wpadła mu w oko ze względu na swoją nieprzeciętną urodę, ale ostatnio coraz częściej przyłapywał się na tym, że podoba mu się także z innych względów. Szczerze ją podziwiał. Nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety jak ona i prawdopodobnie już nigdy nie spotka.

Uklonił się nisko.

- Z kim mam przyjemność? - zapytał z zachwytem.

Uśmiechnęła się, a jemu właśnie o to chodziło.

- Ach, już wiem. Poznaję ten cudowny uśmiech. Panna Hackett, nieprawdaż? Cóż za miła niespodzianka.

- Ze wszystkiego stroisz sobie żarty - upomniała go bez przekonania. - To najlepsza sukienka Hanks. Płaszcz i buty też pożyczyłam od niej. Jeśli będziemy musieli biec, będzie mi w nich znacznie wygodniej niż w moich własnych trzewikach. Dokąd się wybieramy?

- Uprzedzam zawczasu, że kiedy dotrzemy na miejsce, nie wyściubisz nosa z powozu. Będzie nam towarzyszył pan Tripp. A jedziemy do Covent Garden na poszukiwanie osobnika o nazwisku La Reina, choć szczerze mówiąc, wątpię, aby w istocie tak się nazywał. To co, ruszamy w drogę.

Podawała mu ramię.

- La Reina? To po hiszpańsku „królowa” - powiedziała, zajmując miejsce w powozie. - Rzeczywiście, dość nietypowe nazwisko dla mężczyzny.

- Cóż, powiem tylko, że ów mężczyzna ma też dość nietypowe zajęcie... Według Davy'ego La Reina pracuje dla jednego z mężczyzn, którzy jak by to ująć... opiekują się... damami do towarzystwa.

- Ach, masz na myśli rajfura? - skróciła jego męki, przy okazji wprawiając go w osłupienie.

- Jestem wstrząśnięty, młoda damo. Nie powinnaś znać takich słów.

Spuściła wzrok.

- Ojciec ma w bibliotece *Klasyczny słownik języka wulgarnego* autorstwa pana Francesa Grose'a. Pomyślałam, że taka lektura może być pouczająca. I była.

- Przeczytałaś całość? Czy zorientowawszy się, co trzymasz w ręku, szybko odłożyłaś tom na półkę? Widzę, że sporo definicji zostało ci w głowie.

- Nie bywam w towarzystwie tak często jak Miranda. Mam sporo wolnego czasu.

- Ach tak... Idę o zakład, że nie brak ci też ochoty, aby zapoznawać się z zakazanymi dziełami.

- To przez babkę Hackett. Bądź uprzejmy zrzucić winę na nią i powiedz mi wreszcie coś więcej na temat owego La Reiny. Wiesz przecież, że niełatwo wprawić mnie w zakłopotanie. W każdym razie nie tak łatwo jak inne panny.

- Owszem, zauważyłem, ale mnie się czasem udaje - stwierdził z zadowoleniem. - Skoro nalegasz, powtórzę ci to, co usłyszałem do Davy'ego. Otóż rzeczony rajfur obsługuje rewir znajdujący się nieopodal budynku, w którym odbyła się feralna maskarada, pan La Reina zaś strzeże dziewcząt oferujących tam swoje usługi, w związku z licznymi zaginięciami, rzecz jasna. Dla niepoznaki patroluje okolicę w przebraniu kobiety, żeby nie odstraszać potencjalnej klienteli, jak mniemam. Ponoć nie jest szczególnie rostry, za to niezwykle biegły w posługiwaniu się sztyletem.

- Hm... bardzo zmyślnie... Ciekawe, czy La Reina prezentuje się znośnie w sukience.

- Sama ocenisz, kiedy go namierzemy. Tak czy owak, słyszałem, że w piątek wieczorem znalazło się kilku rozochoconych panów, którzy próbowali mu się narzucać, gdy przechadzał się w pojedynkę po ulicy.

- W piątek wieczorem? Wspaniale! To przecież tego samego dnia, w którym pojmano Mirandę. Myślisz, że pan La Reina będzie w stanie powiedzieć nam coś więcej o porywaczach?

- W istocie. Taki jest cel naszej dzisiejszej wycieczki.

Regina chwyciła go za ramię i spojrzała na niego, jakby podarował jej gwiazdkę z nieba.

- Możesz mnie teraz pocałować - rzekł z szerokim uśmiechem. - Pozwalam ci.

- Ależ pan dziś pewny siebie, panie Blackthorn. Pozwoli pan, że wstrzymam się z nagrodzeniem pańskich wysiłków, do chwili gdy rozmówimy się z panem La Reina. Chyba, że będzie pan mocno nalegał...

- Owszem, nalegam - odparł i porwał ją w ramiona.

Uśmiechała się, kiedy ich usta się zetknęły, wykorzystał więc sposobność, by pogłębić pocałunek. Nie opierała się. Gdy całował ją po raz pierwszy, myślał wyłącznie o jej ciele i własnych żądzach. Teraz całował kobietę, którą znał i darzył uczuciem. Teraz wiedział już, że jest nie tylko piękna, lecz także dzielna, bystra i dowcipna.

Do diabła z ambicjami jej ojca. Do diabła z wytwornym towarzystwem i hipokryzją tego zepsutego społeczeństwa. Regina należy do niego.

Są sobie przeznaczeni. To los ich ze sobą zetknął i dlatego nie pozwoli jej odejść. Zostanie jego żoną, choćby przyszło mu wojować o nią z całym światem.

- Wiesz, że za tobą szaleję? - szepnął jej do ucha.

- Pewnie, że wiem - odpowiedziała, przytulając policzek do jego policzka.

Niemal się roześmiał. Odsunął ją lekko i spojrzał jej w oczy.

- Słucham? Skąd niby to wiesz, zuchwała pannico?

Zaśmiała się w głos.

- Puck, dopiero co mnie całowałeś. Rzekłabym, że z niemałym zapalem. A jakiś czas temu pozwoliłeś sobie na inne... poufałości. Pozwoliłeś mi dosłownie wtargnąć w swoje życie z butami. Naraziłeś i wciąż narażasz się z mojego powodu na poważne niebezpieczeństwo. Przypuszczam, że wywróciłam ci świat do góry nogami, a ty nic sobie z tego nie robisz. Mój ojciec to człowiek bezwzględny i zdolny do najgorszej podłości. Możesz się znaleźć w poważnych tarapatach. Gdyby dotarły do niego wieści o tym, co teraz wyprawiamy, kazałby podać sobie twoją głowę na talerzu. Porwałeś przecież jego żonę! W związku z powyższym wolę myśleć, że szalejesz za mną, a nie że zwyczajnie postradałeś zmysły. Jeśli jestem w błędzie, nie informuj mnie o tym z łaski swojej. W

końcu jestem z tobą sama w ciemnym powozie, a nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z obłąkanym. Nie wiedziałabym, co z takim począć.

Tym razem nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Wybacz - powiedział po dobrej minucie, kiedy w końcu nieco ochłonął i przestał chichotać. - Już jestem poważny.

- Akurat. Nigdy nie jesteś poważny. Nawet wtedy, gdy ci się zdaje, że jesteś. W każdej sytuacji potrafisz odnaleźć dobre strony. Nawet w najgorszych razach nie tracisz poczucia humoru ani nadziei na szczęśliwe zakończenie. To jedna z twoich najbardziej ujmujących cech. To dzięki tobie jestem taka dzielna. Gdybyś nie był, jaki jesteś, jak nic trzęsłabym się teraz ze strachu. Czy mi się zdaje, czy to Davy pokrzykuje do nas z kozła?

Puck natychmiast wyjrzał przez okno.

- Panie Tripp! Czyżby znalazł pan tego, kogo szukamy?

- Tak, 'śnie panie. Widze go jak na dłoni. Cudnie wyglonda w tych różowych tiulach.

- Niech pan każe stangretowi zatrzymać powóz i zeskoczy na dół.

- Sie robi, 'śnie panie. Ejze tam! Panie Queen! No i gdzie pan tak leci? Mam tu jednego 'śnie pana, co to chce z panem porozmawiać. To zacny pan, nie trza przed nim uciekać. No, stójże, człowieku, jak do ciebie mówiem! Ech, piorun by to strzelił!

Robin wziął do ręki swoją śmiercionośną laskę i odwrócił się do Hackettówny.

- Nie waż się stąd ruszać, kobieto. Przyprawdżę La Reine'ę do ciebie.

Przygryzła wargę i skinęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Cmoknął ją w czoło i wypadłszy na ulicę, popędził za Davym, który ścigał już pana Queena.

Spowita w róż fałszywa kurtyzana biegła daleko przed nimi z podniesioną spódnicą, spod której wystawały owłosione łydki. W pewnym momencie skręciła nieoczekiwanie w boczną alejkę i zniknęła.

Davy usiłował zmienić gwałtownie kierunek, poślizgnął się i wylądował plecami w kałuży.

- Wstajemy, wstajemy, panie Tripp, nie pora zbijać baki - zawołał Blackthorn, przeskakując nad oszołomionym chłopakiem. Nie popełnił jego błędu i spokojnie pokonał ostry zakręt. Dopadł La Reine, gdy ten wdrapywał się na stary drewniany płot.

- Stój! - odezwał się, chwytając uciekiniera za spódnice. - Chcę tylko porozmawiać. Sowiec ci za to zapłacę. Chyba że znów spróbujesz kopnąć mnie w głowę, młoda damo.

- Nie jestem żadną da... Au! Zostaw mnie, ty...

Robin złapał go za nogę, a drugą ręką szarpnął ile sił gustowną różową sukienkę. Spróchniałe ogrodzenie rozleciało się w pył, a pan Queen zleciał w dół razem z roztrzaskanymi deskami.

Puck bynajmniej go nie puścił, więc obydwaj znaleźli się na trotuarze. Jeden na drugim.

La Reina był sporo mniejszy. Blackthorn bez kłopotu zrzucił go z siebie i przyduślił twarzą do ziemi.

- Nawet nie próbuj sięgać po nóż - ostrzegł, uspokajając oddech. - Nie pochwalam przemocy, ale zniszczyłeś mi odzienie, a bardzo tego nie lubię. Jeszcze raz mi się narazisz, a przestanę być taki miły.

- Nie... nie... nie mogę od-dychać...

- Doprawdy? A musisz? Jeśli zechcesz ze mną rozmawiać, oddech będzie ci potrzebny, jeśli nie, nie widzę powodu, byś miał w dalszym ciągu zabierać innym tlen.

La Reina vel pan Queen, czy jakkolwiek się nazywał, zaczął się szarpać i wierzgać niczym znarowiony koń. Wkrótce pojął jednak, że jego wysiłki pozostaną bezowocne.

- Co... co chcesz wiedzieć?

Robin poluzował uchwyt i skoczył na równe nogi. Odnalazłszy laskę, wymierzył jej ostrze w okolice gardła Queena.

- Sztylet, moja ty upadła gołąbeczko - poprosił słodko w chwili, gdy na horyzoncie pojawił się Davy. - Wyjmij go i odrzuć na bok. I nie martw się, mój pomocnik go dla ciebie przechowa. Tak, tak, panie Tripp, miałem na myśli pana.

Schwytany zrobił, co mu kazano.

- I po coś uciekał, człowieku? - odezwał się Davy, podnosząc z ziemi nóż. - Prosiłem, przecie, żebyś poczekał. 'Śnie pan pogadać tylko chce.

- À propos, panie Tripp. Mała wskazówka na przyszłość. Kiedy pragniemy porozmawiać z kimś, kto może nie zechcieć rozmawiać z nami, nie wrzeszczymy do delikwenta z daleka. Zamiast tego podchodzimy cichutko i jak najuprzejmiej klepiemy jegomościa po ramieniu, ewentualnie chwytamy mocno za wspomniane wcześniej ramię. Zapamięta pan?

Młodzieniec kiwnął z zapalem głową.

- Żeby deli-delinkwent nie nawiał? Jasne jak słońce, 'śnie panie. Zapamiętam.

- Znakomicie! Widzę, że pojętny z pana uczeń. Zechcą panowie ruszyć w drogę powrotną do powozu? Panienska przodem, bardzo proszę.

- Żadna ze mnie panienska! - nastroszył się La Reina. - Już ja ci porachuje kości, czekaj no tylko, niech cie dorwe, Tripp! Zarazo jedna! Własna matka cie nie rozpozna!

Blackthorn wciąż trzymał ostrze przy plecach Queena. Davy nie czuł się więc ani trochę zagrożony. Niewiele myśląc, skoczył przed La Reinę i odtańczył przed nim bliżej nieokreślony taniec. Głośno przy tym cmokał i wydymał całusnie usta.

- O, Jezusicku, umieram ze strachu! Słowo dajem! - wrzasnął na koniec, rechocząc jak opętany.

- Panie Tripp, właśnie postanowiłem zatrzymać pana u siebie na służbie. Zabiorę pana do swojej wiejskiej posiadłości w charakterze maskotki. - Puck znakomicie się bawił, choć jego nieskazitelne do niedawna ubranie nasiąknęło wodą z kałuży tudzież innymi ulicznymi cieciami, których pochodzenia wolał nie dociekać. - Może pan wziąć sobie mój kapelusz. O, widzi pan? Tam leży. Darowuję go panu w prezencie. Sam raczej nie będę go już nosił.

Zadowolony Davy pobiegł po rzezone nakrycie głowy i natychmiast je przymierzył. Gdyby nie odstające uszy, zapewne zupełnie zakryłoby mu twarz.

Niebawem cała trójka wróciła do powozu i czekającej w nim Reginy.

Niezwykle udana eskapada, pomyślał Robin na widok jej uśmiechu. A przecież noc jeszcze młoda...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Regina podkuliła nogi i umościwszy się na kanapie, poprawiła szlafrok, który zakrywał ją niemal od stóp do głów.

Miała nadzieję, że pan La Reina nie będzie zgorszony, widząc ją w nocnym stroju. Zresztą nie była pewna, czy Puck go ze sobą przyprowadzi.

Kiedy zegar wybił północ, po raz kolejny zadała sobie pytanie, co się właściwie wydarzyło. Jedno było pewne, sądząc po tym, w jakim stanie panowie wrócili do powozu, nocna wyprawa obfitowała w nieoczekiwane zwroty akcji.

Z różowej sukni Queena pozostały jedynie żalosne strzępy, Davy miał na głowie o trzy numery za duży kapelusz Blackthorna, który trzymał się na jego czaszce wyłącznie za sprawą odstających uszu, Puck zaś był przemoczony do suchej nitki, a jego szykowne spodnie doznały znacznego uszczerbku w co najmniej kilku miejscach.

W dodatku wszyscy trzej niemożliwie cuchnęli, w związku z tym wracali do domu na koźle. Wyglądali, jakby wytarzali się w rynsztoku, ale o dziwo, sprawiali wrażenie zadowolonych, z wyjątkiem może La Reiny, który raczej nie był zachwycony finałem wieczoru.

Znudzona długim czekaniem podeszła do biblioteczki i zaczęła przeglądać grzbiety książek. Jeden z tomów przykuł jej uwagę, ponieważ był wyjątkowo zniszczony, zapewne za sprawą częstego używania.

Zdjęła go ostrożnie z półki i otworzyła na stronie tytułowej.

Och, to *Eneida* Wergiliusza, znała ją bardzo dobrze, podobnie jak *Iliadę* i *Odyseję* Homera. To właśnie w *Eneidzie* opisana jest szczegółowo historia konia trojańskiego. Owa opowieść zawsze ją fascynowała. Do tej pory nie mogła zrozumieć, dlaczego Trojanie przyjęli podarunek od pokonanej armii Greków. Cóż, decyzję podjęli pijani zwycięstwem mężczyźni. Każda zdrowa na umyśle kobieta od razu zwietrzyłaby podstęp.

Kiedy odkładała poemat na miejsce, usłyszała kroki. Odwróciła się z uśmiechem przekonana, że zobaczy Pucka.

- Kim pan jest? - zapytała wystraszona, ujrawszy na progu zupełnie obcego człowieka.

Z całą pewnością nie był służącym. Służący nie kłaniają się z tak wyszukaną galanterią i nie noszą wytwornych, szytych na miarę ubrań. Nieznajomy miał ciemne włosy i ciemną karnację, jakby spędzał wiele czasu na słońcu. Poza tym był bodaj najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Jego olśniewająca uroda i oniesmielający sposób bycia sprawiły, że przeszły jej po plecach ciarki. I to przenikliwe spojrzenie... brr...

W dodatku wydawał się zupełnie jej nie dostrzegać. Wszedł do bawialni jak gdyby nigdy nic, chwycił karafkę i nalał sobie wina.

Już miała zacząć wrzeszczeć, kiedy raptem odwrócił się w jej stronę i uniósł kieliszek, jakby wznosił toast. Opróżniwszy jednym haustem jego zawartość, raczył się wreszcie odezwać.

- Mógłbym zapytać panią o to samo, panno Hackett. Na szczęście, uprzedzono mnie o pani bytności w domu, który ponoć w części należy do mnie. Tak przynajmniej słyszałem. Mój niepoprawny brat, jak mniemam, jest w tej chwili zajęty czym innym. Idę o zakład, że próbuje uczynić ze swojego życia jeszcze większy niż dotąd galimatias, o ile to w ogóle możliwe. Właściwie nie musi się wysilać, już teraz tkwi po uszy w kompletnym chaosie. Prawdopodobnie nie słyszał o tym, że porywaczy karze się w tym kraju stryczkiem. Pani rozumie, długo przebywał we Francji... To pewnie dlatego nie obawiał się uprowadzić pani oraz dwóch innych kobiet z pani rodziny.

Nie spodobał jej się sposób, w jaki mówił o Pucku, ale postanowiła to wspaniało-myślnie przemilczeć. Uznała, że tak to już jest pomiędzy rodzeństwem. Tym starszym wydaje się, że ci młodszy nigdy nie dorastają.

- Spieszę poinformować, panie Blackthorn, że nie zostałyśmy porwane. Jesteśmy tu gośćmi. Mam przyjemność z panem Johnem Blackthornem, prawda? Alias Black Jackiem? Nie dziwota, że tak pana nazywają. Z tak posepnym usposobieniem... Przypuszczam, że nie miałby pan nic przeciwko temu, by nazywano pana Jackiem Ponurakiem. Z tego, co widzę, robi pan, co w jego mocy, aby zasłużyć na taki przydomek.

Szczerzy uśmiech zmieniał jego nachmurzoną twarz nie do poznania. Dzięki niemu wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

- Trafiła pani w samo sedno, panno Hackett. A mówiąc poważnie, cała ta sprawa wydaje mi się dość zabawna, ale zapewniam, że mam ku temu powody. Widzi pani, to nie jest pierwszy raz, kiedy jeden z moich drogich braciszków przetrzymuje w tym domu młodą damę. Puck prawdopodobnie wpadł na ów pomysł właśnie dzięki Beau. Tak czy inaczej, zachowałem się niewybaczalnie, za co pragnę panią przeprosić. Proszę usiąść i powiedzieć mi, czy Robin jest w domu.

Reggie zajęła jedno z krzeseł po czym zaczęła marudzić przy poprawianiu szlafroka. Głównie po to, żeby dać sobie czas na sformułowanie odpowiedzi.

- Nie wiem, możliwe, że wyszedł. Mam mu przekazać, że pan był i że chciałby się pan z nim zobaczyć?

- Czyżby subtelnie dawała mi pani do zrozumienia, że powinienem już panią opuścić? - Jack usiadł naprzeciw niej i założył nogę na nogę. - Pozwoli pani, że jednak zostanę. Zaczekamy na niego razem.

- Jak pan sobie życzy, panie Blackthorn - odparła układnie, choć dobry obyczaj nakazywał, aby jak najszybciej pożegnała się i wyszła z pokoju. Musiała jednak zobaczyć się z Puckiem. - Uprzedzam jednak, że nie zamierzam prowadzić z panem uprzejmej rozmowy o błahostkach. Szkoda na to czasu. Przejdę od razu do rzeczy. Poczynił pan jakieś postępy w śledztwie? Czy też przyszedł pan tu po to, żeby wyciągnąć jakieś informacje od Robina?

- Winszuję, panno Hackett, opanowała pani sztukę wygłaszania uszczypliwości do mistrzostwa. Co do pani pytania, być może poczyniłbym większe postępy, gdyby mój szanowny brat miał do mnie odrobinę więcej zaufania i podzielił się ze mną swoją wiedzą. Na przykład na temat miejsca, w którym odbyła się maskarada. Ta, podczas której zniknęła pani kuzynka.

- Nie powiedział panu? - spytała, udając zdziwienie. - Chyba istotnie panu nie ufa.

- Ależ ufa, na tyle, na ile ja ufam jemu. Jeden z moich najlepszych ludzi spędził cały wczorajszy i dzisiejszy dzień na śledzeniu Robina. Pani rozumie, nie chciałem, żeby młodszy braciszek wpakował się w jakieś nowe tarapaty. I czego się dowiaduję? Otóż braciszek zaczął uprawiać zupełnie nową dyscyplinę sportu, bieganie za nieszczęsnymi

niewiastami w podejrzanej okolicy. Wyznam, że wielce mnie to zaintrygowało. Ale pani zapewne nic o tym nie wie, nieprawdaż?

Z trudem powstrzymała uśmiech.

- Jedyne, co mi na ten temat wiadomo, panie Blackthorn, to to że pański najlepszy człowiek powinien sprawić sobie okulary.

- Ma pani rację. To nie jest mój najlepszy człowiek. Puck pomachał mu z kozła, a ten osioł sam mi się do tego przyznał.

- Puck go zobaczył i mu pomachał?

- Właściwie to nie pomachał. Posłał mu buziaka. Mój brat uwielbia dramatyczne gesty.

- A pan doskonale o tym wie, bo także ma pan do takich gestów skłonności. Zgadłam?

Jego uśmiech zaczynał wyprowadzać ją z równowagi, prawdopodobnie dlatego, że uśmiechał się niemal tak samo jak Robin. Był dziwny, ale zaczynała go lubić.

- Proponuję, abyśmy zostali przyjaciółmi, Regino. Mój brat będzie zadowolony, a i sprawa pani kuzynki może na tym tylko zyskać. Nie mamy zbyt wiele czasu. Odkąd rozmawiałem po raz ostatni z Puckiem, zaginęły kolejne dwie młode kobiety. Ktoś najwyraźniej bardzo się spieszy, żeby załadować dziewczętami cały statek, jakby wyznaczono mu konkretny termin wypłynięcia z portu. Jeśli się spóźnimy, pani krewna będzie stracona na wieki. Nie odzyskamy jej, jeżeli opuści kraj.

Wystraszyła się nie na żarty.

- Wie pan, kiedy upływa ów termin? I ile jeszcze zamierzają porwać osób? Nie, niech pan nie odpowiada. Żaden cywilizowany człowiek nie może wiedzieć ani rozumieć tego, czym kierują się ludzie tak zepsuci, że gotowi są sprzedawać innych ludzi.

- Ależ, Regino, to właśnie jest kluczem do rozwiązania tej zagadki - stwierdził z przekonaniem Jack. - Musimy zrozumieć tych szubrawców, a nawet niejako wejść w ich skórę. To jedyny sposób, aby ich odnaleźć. I położyć kres haniebnego działania, na której zbijają fortuny. Szukamy kogoś, kto jest całkowicie pozbawiony sumienia i jakichkolwiek skrupułów, kogoś, dla kogo liczą się wyłącznie pieniądze, a inni ludzie są coś

warci tylko tyle, ile da się na nich zarobić. - Uśmiechnął się łagodnie. - Pewnie nie zna pani nikogo takiego?

- Nie - odparła przez ściśnięte gardło. - Nie znam... nikogo takiego... - Ku swej niewysłowionej uldze usłyszała na korytarzu kroki.

Po chwili do pokoju wkroczył Puck. Poprawiał starannie mankiety i udawał, że nie ma pojęcia o obecności brata. Wyglądało na to, że panowie od dawna prowadzą ze sobą tę swoistą grę. Obydwaj znali jej reguły i obydwaj doskonale się bawili.

- Jack, jak to miło, że postanowiłeś złożyć nam nieoczekiwaną wizytę. To nic, że przychodzisz o tak niestosownej porze. Regino, wyglądasz prześlicznie. Doprawdy, uroczy dezabil. A przy tym niezwykle skromny. Dziwię się, że się nie wystraszyłaś i nie uciekłaś. Nie chcę cię martwić, Black Jack, ale najwyraźniej tracisz formę. Z tego, co słyszałem, kobiety i dzieci zazwyczaj pierzchają na sam twój widok. Że nie wspomnę o przeszywającym do szpiku kości spojrzeniu i tym podobnych...

- Zuchwały szczeniak - odparł dobrodusznie Jack, po czym natychmiast zmienił ton. - Czego się dowiedziałeś od La Reiny?

Młodszy Blackthorn uniósł brew i zerknął wyczekująco na Reginę.

- Nie patrz na mnie. To nie ja mu powiedziałam. Kazał cię śledzić.

- Ach, racja. Dickie Carstairs. Depcze mi po piętach od kilku dni. Uczepił się mnie niczym rzep psiego ogona. Gdyby był nieco młodszy, kto wie, czybym go nie usynowił. Ale że zdołał odkryć nazwisko młodej damy, którą ścigałem? To ci dopiero nowina. Słowo daję, nie spodziewałem się. Wydawało mi się, że nasz Dickie nie potrafi nawet odnaleźć drogi do własnego domu.

Panna Hackett zakryła usta dłonią, żeby ukryć uśmiech. W ogóle nie powinno jej tu być. Pora była więcej niż niestosowna, a ona miała na sobie więcej niż niestosowny strój. W dodatku znakomicie się bawiła, słuchając słownych potyczek pomiędzy braćmi, którzy bardzo się od siebie różnili, a mimo to byli sobie niezwykle oddani. Pomyślała o swojej biednej kuzynce i od razu spoważniała.

- Jack powiedział mi właśnie, że zaginęła kolejna dwójka dziewcząt - oznajmiła, aby sprowadzić rozmowę na właściwe tory. - Skarżył się też, że nie wspomniałeś mu o

maskaradzie. Może zechciałbyś streścić nam przebieg swojej rozmowy z La Reina? Dowiedziałeś się czegoś?

Puck spojrział na brata.

- Dwie kolejne kobiety? Ile to już będzie razem?

- Ponad dwa tuziny, wliczając twoją kuzynkę, Regino. Wydawać by się mogło, że taka liczba w zupełności wystarczy, aby zapełnić ładownię statku, szkopał w tym, że większość uprowadzonych to ulicznice, a te jak wiadomo są warte znacznie mniej niż... Pani wybaczy, panno Hackett, usiłuję powiedzieć, dość zresztą nieudolnie, że gdybym był ojcem drobnej jasnowłosej debiutantki, pilnowałbym jej teraz jak oka w głowie.

- Władze nadal nie zamierzają ujawnić faktów i ostrzec obywateli? Próbowalesz ich przekonać, a ci durnie nadal upierają się przy swoim?

- Owszem. Z oczywistych powodów. Dla monarchii to niezwykle delikatna sprawa. Wielce kłopotliwa i „niefortunna”. Jak sądzisz, dlaczego kazali się tym zająć właśnie mnie? Osobie, która czasem wykonuje za nich czarną robotę i która oficjalnie nie istnieje? Idzie o to, aby ukrócić ów proceder, wyeliminować sprawców, a potem jak najszybciej o wszystkich zapomnieć. Pozamiatać i odetchnąć z ulgą. Byłbym ci wdzięczny, bracie, gdybyś okazał mi odrobinę więcej wsparcia. Zależy mi na tym, żeby doprowadzić rzecz do końca. Zdradzisz nam wreszcie, co ci powiedziała panienka, za którą tak ofiarnie ganiałeś po ulicach?

Robin nalał sobie wina i podszedł do kominka.

- La Reina, a raczej pan Queen...

- Zaraz - przerwał mu Jack. - Zmysł obserwacji Dickiego pozostawia wiele do życzenia, ale nie przypuszczałem, że ten osioł jest aż tak ślepy. Chcesz powiedzieć, że owa młoda dama to w rzeczywistości mężczyzna?

- Nie inaczej. Mężczyzna, tyle że w damskich fataląszkach. Pewien rajfur zatrudnia go do opieki nad swoimi upadłymi aniołami. Nie tylko my wiemy, co się dzieje w mieście i nie tylko my polujemy na porywaczy. Nie muszę chyba tłumaczyć nic więcej? Dodam jedynie, że nasz dzielny obrońca ulicznic o dziwo sam okazał się całkiem ponętą kobietą. Na tyle ponętą, że wzięto go za filigranową blondynkę i pojmano. W piątek w nocy, czyli w dniu maskarady. Napadli prawdopodobnie ci sami sprawcy, którzy upro-

wadzili Mirandę. Rzecz miała bowiem miejsce mnie więcej w tym samym czasie i w tej samej okolicy. Nie wydaje mi się, aby mógł to być zwyczajny zbieg okoliczności.

- Słusznie - zgodził się starszy Blackthorn. - Co dalej?

Robin spojrział na Reginę, która kiwnęła zachęcająco głową.

- Proszę, opowiedz nam wszystko ze szczegółami.

- Otóż Queen został zaatakowany od tyłu i ogłuszony jakimś ciężkim przedmiotem, przypuszczalnie kamieniem. Nie stracił przytomności tylko dzięki grubej peruce. Potem wrzucono go do zniszczonego powozu. Okna były zabite i panowały dantejskie ciemności. Niczego nie widział, ale jest pewien, że był tam ktoś jeszcze. Nieprzytomna kobieta, na której wylądował. Wyczuł zapach laudanum, więc pewnie ją odurzono. Nie potrafili by powiedzieć, czy to była Miranda, nawet gdybyśmy pokazali mu jej podobiznę. Nasz

La Reina postanowił niczego nie robić i zaczekać na okazję do ucieczki. Kiedy pojazd zatrzymał się w porcie, powitał porywaczy wyjątkowo paskudnym nożem, który zawsze nosi przy sobie. Potem wyskoczył na zewnątrz i uciekł. Jak to sam obrazowo ujął, cytuję: „Podwinoł kieckie i pogalopował ile bozia sił dała w kulasach”. Nie pamięta niestety nazwy ulicy, ale twierdzi, że jazda trwała nie dłużej niż kwadrans. Pamięta za to silny zapach tytoniu, który unosił się w powietrzu, zapewne z pobliskiego składu. Jedno i drugie oznacza, że wywieziono go najprawdopodobniej do londyńskich doków.

- Gdzie teraz jest?

- Razem z naszym drogim Dickiem. Niebawem przyjdzie do siebie. Możesz oczywiście zmiażdżyć mu kciuki, ale jestem przekonany, że i bez tego wyśpiewał nam wszystko, co wiedział.

Puck odwrócił się do Reginy i spojrział na nią ze współczuciem.

- Wiem, że to, co usłyszałaś, było straszne, ale poczyniliśmy postępy.

- Tak, ale myślę o tym, jak bardzo Randy musiała być przerażona. Tańczyła na balu, a potem nagle padła ofiarą niegodziwców, którzy potraktowali ją jak worek mąki i uprowadzili Bóg wie gdzie. A ten Queen? Czemu jej nie pomógł? Zostawił ją na ich łasce...

- Uwierz mi, że bardzo tego żałuje. I będzie żałował jeszcze co najmniej przez kilka dni, jak sądzę.

- No proszę, a do niedawna krytykowałeś moje metody - wtrącił Jack. - Dobra robota, braciszku. Jestem z ciebie dumny. Ale czeka nas trudne zadanie. Przeszukanie doków może potrwać miesiąc. Nawet gdybyśmy dysponowali dużą liczbą ludzi. To ogromny obszar.

- Prawda, ale przynajmniej wiemy, gdzie szukać. Byłoby znacznie gorzej, gdybyśmy musieli przeczesać każdy port na Tamizie.

- Zaangażujemy w sprawę policję z Bow Street. Każemy im obserwować doki i donosić nam o wszelkich nietypowych zdarzeniach. Ale obawiam się, że to na nic. Porowacze mogą mieć tam tylko niewielką łódź. Właściwy statek mogli zacumować gdziekolwiek, nawet na środku rzeki. Powinniśmy podejść do sprawy z innej strony...

Regina popatrzyła na braci, zastanawiając się, czy nadal coś przed sobą ukrywają. Uznała, że to całkiem możliwe.

- Co powiecie na konia trojańskiego? - wypaliła ni stąd, ni zowąd.

Obaj popatrzyli na nią z pobłażliwymi uśmiechami. Puck wyglądał na szczerze ubawionego.

- Mamy ogłosić klęskę i wysłać handlarzom niewolników drewnianego konia? Z dopiskiem: „wygraliście, ponieśliśmy porażkę, aby tego dowieść, darujemy wam tego oto ślicznego konika”? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Bój się Boga, bracie - upomniał go Jack. - I to ma być to twoje słynne poczucie humoru? Dziw, że jeszcze cię nikt nie ukatrupił. Panna Hackett chętnie sprząłaby cię na kwaśne jabłko, jak widzę. Wybacz mu, Regino. Odgrywa rolę błazna od tak dawna, że czasem zapomina o tym, że ma głowę na karku i że wypadaloby od czasu do czasu jej użyć. Nie mówiła pani dosłownie, prawda?

- Oczywiście, że nie, a Puck doskonale o tym wie.

- Naturalnie, że wiem, lecz odpowiedź i tak brzmi nie.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. To wykluczone. Jack, zdajesz sobie chyba sprawę z tego, co ona ma na myśli.

- Owszem. Po prostu wyraziła się odrobinę nieprecyzyjnie. Miała na myśli konia maskującego, a nie trojańskiego.

- Jak dla mnie oboje możecie go sobie nazwać nawet kucykiem wabikiem! Niewiele mnie interesuje. Nigdy na coś takiego nie przystanę. Rozum wam odjęło, słowo daję!

- Puck, nie irytuj się - powiedziała spokojnie Reggie. - Pomyśl tylko, a sam uznasz, że to najlepsze rozwiązanie. Macie rację, doki są ogromne. Nigdy nie odnajdziemy tam Mirandy ani reszty dziewcząt. Co innego, gdybyśmy zrobili porywaczom mały prezent...

- Nie będziesz niczym prezentem, Regino. Nie zgadzam się i basta. Zastanów się, co mówisz. To niedorzeczne. Prosisz, żebyśmy wystawili cię na ulicę i poczekali aż te kanalie cię porwą? Potem pewnie mielibyśmy was śledzić do ich kryjówki. A kiedy bandyci się spiją albo pójdą spać, ty dzielnie zabierzesz im klucze i spokojnie otworzysz nam drzwi. Mam rację?

- Tak, o to mniej więcej mi chodziło. - W jego ustach plan rzeczywiście brzmiał trochę absurdalnie, ale była pewna, że jeśli dopracują pewne szczegóły, mają szansę na powodzenie.

- Jeśli ci to umknęło, przypominam, że nie jesteś blondynką - wytknął Robin, ale miała na to gotową odpowiedź.

- La Reina też nie jest. Nie jest nawet kobietą, a mimo to dali się nabrać. Wystarczy, że znajdziesz mi lepszą perukę.

Starszy Blackthorn odwrócił się i podszedł do stolika z alkoholem. Pewnie chciał im dać trochę swobody. Albo zanadto rozbawiła go frustracja brata.

- Jesteś za wysoka - wyliczał Robin.

- No tak, ale Jack mówi, że handlarze są zdesperowani. Zaczyna im się spieszyć, więc przestali przebierać. Jeśli wypłyną, zanim ich dopadniemy, Miranda będzie stracona.

Puck posłał bratu mordercze spojrzenie, lecz ten wzruszył tylko ramionami, a potem się uśmiechnął.

- Moim zdaniem warto rozważyć tę propozycję - oznajmił spokojnie. - Pomysł Reginy wydaje się całkiem do rzeczy.

Młodszy Blackthorn sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę udusić go gołymi rękoma.

- Och, uspokójże się, człowieku, i zejź na ziemię. Nie mówię przecież o pannie Hackett. Boże uchwaj. Nie ona będzie przynętą. Znajdziemy kogoś innego. Dobrze pamiętam, że pan Queen pozostaje chwilowo nieosiągalny?

- Niestety. Na razie jest, ujmijmy to, niedysponowany. Troszeczkę się, biedaczysko, poturbował. Chyba złamał kilka żeber. Zupełnie nie wiem, w jaki sposób. Pewnie się przewrócił... Upadł tak niefortunnie, że ma w dodatku podbite oczy.

- Nic mu nie dolegało, kiedy go ostatni raz widziałam - powiedziała Reggie. - Przyznaj się, pobiłeś go. I bardzo dobrze. Sama chętnie porachowałabym mu kości. Jak on mógł zostawić tak Mirandę? Był uzbrojony! Mógł jej pomóc!

- Jest pewna kobieta... - wtrącił Jack - Znamy się od lat. Myślę, że za odpowiednią cenę, zgodziłaby się zaryzykować...

- Nie. To zbyt niebezpieczne. To ja powinnam nadstawić głowę. Przyczyniłam się do tego, co spotkało Randy. Gdybym nie uległa ciekawości i nie zgodziła się jechać na tę okropną maskaradę, nic złego by się nie stało. Puck, proszę, zgódź się. Cały czas będziesz blisko mnie. Może nic z tego nie będzie, ale nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

Jack poklepał brata po ramieniu.

- Pożegnam was. Wrócę jutro o dziesiątej i przedyskutujemy kwestię jeszcze raz. W międzyczasie udam się do doków. Może nam się poszczęści i koń pozostanie w stajni... Regino... - uklonił się z galanterią. - To była dla mnie prawdziwa przyjemność. Dobranoc.

- Dobranoc, Jack - odparła, żałując, że wychodzi. Czowała, że Puck jest bardzo rozsierdzony. W końcu odwróciła się, aby stawić mu czoło. - Niewiele nam powiedział, za to my powiedzieliśmy mu wszystko.

- Cóż, wiemy przynajmniej, że zagięły jeszcze dwie kobiety.

- Czemu nie wspomniałeś mi wcześniej o maskaradzie?

- Sam nie wiem. Pewnie z przyzwyczajenia. A może dlatego, że Jack także nie lubi odsłaniać kart. Ale dobrze, że przyszedł. Dzięki jego wizycie pozbędę się wreszcie Dickiego Carstairsa. Ten człowiek jest subtelny jak stado słoni. - Uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Nie miałem czasu skomplementować twojej muślinowej zbroi. Wyglądasz w

niej przecudnie. Jak zakonnica i kusicielka zarazem. Chętnie pozbyłbym się tych guziczków.

- Nie próbuj zmienić tematu. Nie uda ci się odwrócić mojej uwagi. Nadal uważam, że to dobry pomysł. I wiem, że nie pozwoliłbyś, żeby stało mi się coś złego.

- Twoja ślepa wiara we mnie jest wzruszająca, ale zrozum, Regino, nie jestem wszechmocny. Pewnych rzeczy nie da się przewidzieć. Pamiętasz, co mówił La Reina? Nie mógłbym stać z boku i przyglądać się, jak ktoś cię ogłusza, rzuca tobą niczym workiem ziemniaków, a na koniec odurza cię laudanum.

- Tak, oczywiście, masz rację. Nie przemyślałam tego dokładnie, ale Jack uważa, że warto spróbować.

- Jack uwielbia, gdy inni tracą rezon, a jeszcze lepiej, gdy grunt usuwa im się spod nóg. To go bawi. Jeśli przyjechał tu dzisiaj, żeby sprawdzić, dlaczego znalazłaś się w naszym domu, to dostał jasną odpowiedź. I jest z niej bardzo zadowolony. Przekonał się na własne oczy, że owinęłaś mnie sobie wokół palca. Nie na tyle jednak, abym pozwolił ci się porwać na to szaleństwo.

- Może to i dobrze. Przyznaję, że im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się to przerażające. Ale... nie mogę przestać myśleć o Mirandzie i o tym, co teraz przeżywa. Pewnie jej się wydaje, że ją opuściliśmy albo że spisaliśmy ją na straty. O mój Boże, to takie straszne... - Zwiesiła głowę. - Muszę coś zrobić... Nie mogę tylko siedzieć beczynnie w powozie i przyglądać się, jak ganiasz po ulicy jakichś dziwnych typów... Musimy jej pomóc...

- Chodź do mnie, moja słodka.

Puck otworzył przed nią ramiona i mocno ją przytulił. Poczowała się, jakby wróciła do domu.

- Znajdziemy ją. Całą i zdrową. Dopóki przetrzymują ją w Londynie, nic jej nie zrobią. To przebiegli i chciwi ludzie. Straciliby sporo pieniędzy, gdyby ktoś... wyrządził jej krzywdę.

- Jesteś tego pewien, czy tylko próbujesz mnie pocieszyć?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Jestem pewien - odparł z przekonaniem.

- Ale skąd wiesz?

- Kiedy za młodu podróżowałem po świecie, dowiedziałem się tego i owego o handlu ludźmi. Dziewice mają największe wzięcie i można za nie uzyskać najwyższą cenę. Brzmi to okropnie, ale takie są fakty. Jeśli odzyskamy Mirandę, za jakiś czas, kiedy już dojdzie do siebie, będzie mogła wrócić do towarzystwa jak gdyby nigdy nic. Chodźmy już. Powinniśmy się przespać. Przed nami kolejny długi dzień.

Skinęła głową, unikając jego wzroku.

- Nie chcę zostać sama - powiedziała w końcu. Nie potrafiła ukrywać dłużej prawdziwych uczuć. - Kiedy jestem sama, ciągle rozmyślam o najgorszym, a czas wlecze się w nieskończoność.

Ścisnął ją mocniej za rękę.

- Ja też nie chciałbym się z tobą rozstawać.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić z siebie słowa.

- Wybacz, nie powinienem był tego mówić. Jesteś podenerwowana, wytrącona z równowagi i zdesperowana. Masz wszelkie powody, by się zamartwiać. W takich razach trudno zachować jasność umysłu i kierować się zdrowym rozsądkiem. To wyjątkowe okoliczności oraz silne emocje każą ci sądzić, że jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. W rzeczywistości jestem prawdopodobnie ostatnią osobą, którą powinnaś brać pod uwagę. Po prostu znalazłem się pod ręką i...

- Mam rozumieć, że jestem tym samym dla ciebie? Że znalazłam się pod ręką i że tak naprawdę nic do mnie nie czujesz?

- Nie - rzekł, nie odrywając od niej oczu. - Skłamałbym, gdybym tak powiedział, choć niewątpliwie powinienem to zrobić.

Zaparło jej dech w piersiach. Był taki kochany. I uczciwy. Szkoda, że inni ludzie nie mają o nim lepszego zdania. Nie znają go i nie wiedzą, jaki jest.

- Nie chcę dziś zostać sama, Puck - powtórzyła z powagą. - I wcale nie chodzi o to, że jesteś pod ręką. Dobrze o tym wiesz. Powiedz, że to wiesz.

- Nic z tego nie będzie, Regino. Nie zrujnuję ci życia i nie przekreślę całej twojej przyszłości.

- Czy nie mam prawa decydować o nich sama? Porozmawiajmy jeszcze chociaż chwilę. I tak prędko nie zasnę. Jeśli potem do czegoś między nami dojdzie, niech tak będzie. Nie musimy tego roztrząsać.

- Musimy. I tak wykorzystałem sytuację i za bardzo się do ciebie zbliżyłem. Jesteś teraz taka bezbronna, mam obowiązek cię chronić, a nie...

Regina poczuła, że narasta w niej gniew.

- Naturalnie, panie Blackthorn - posłała mu rozsierdzone spojrzenie. - Honor i obowiązek nade wszystko. Panna Hackett to taka głupia gęś. Trzeba chronić ją przed samą sobą, bo gotowa popełnić kolejne horrendalne głupstwo.

Uśmiechnął się szeroko i pociągnął ją w stronę schodów.

- Nigdy nie lubiłem wypełniać obowiązków. Obowiązki są nudne... Głupstwa to zupełnie co innego...

Przemierzyli razem korytarz i weszli do sypialni Hackettówny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

To, co mu chodzi po głowie, to prawdziwa zbrodnia. Będzie się za to smażył w piekle.

Regina była taka młoda, krucha i niewinna. Dopiero odkrywała, co znaczy być kobietą. Jej kuzynkę uprowadzono w haniebnym celu, a słaba i zmienna w nastrojach matka nie mogła dać córce pociechy i wsparcia.

W dodatku panna Hackett była gościem w jego domu, w domu odrzuconego przez towarzystwo bękarta. Nie mieli przed sobą żadnej przyszłości. Poza szczerym uczuciem niczego nie mógł jej ofiarować. Jeśli się z nią zwiąże, ściągnie na nią ciągle upokorzenia oraz gniew nieobliczalnego ojca.

Kiedy odejdzie, by zostać hrabiną, jak sobie tego życzył jej papa, zostawi po sobie pustkę, której nikt nie zdoła wypełnić. Oddał jej serce i był na zawsze stracony dla innych kobiet.

Jego matka byłaby zachwycona. Uwielbiała szekspirowskie tragedie. Do tej pory grywała czasem Julię, choć publika naśmiewała się po cichu z jej zaawansowanego wieku. Uśmiechnął się i natychmiast spoważniał, a przynajmniej próbował spoważnieć. Zawsze coś go bawiło. W każdej sytuacji. Taki się już urodził. Istne przekleństwo albo dar od losu. Zależy jak na to spojrzeć.

Przyglądał się Reginie, gdy zapalała świece. Kotary nie były zasunięte, więc do pokoju wpadało światło księżyca. Zawsze sypia przy odsłoniętych oknach? - zastanawiał się. Może lubi, kiedy budzi ją słońce? Tak mało o niej wiedział...

Przy kolacji nie tknęła buraków. Wiedział więc, że za nimi nie przepada.

Nie przepadała też za ojcem. Albo się go bała. A może jedno i drugie? Tak czy owak, wyczuwał jej niechęć, zawsze, gdy o nim mówiła.

Mogliby uciec razem do Paryża albo do Ameryki. Pieniądzy miał pod dostatkiem. Niczego by jej nie zabrakło. Gdyby nalegała, zabraliby też jej matkę, pokojówkę, pieska albo kanarka czy inne zwierzątko. Gotów był zrobić wszystko, żeby ją mieć.

A prawie nic o niej nie wiedział.

Miłość to bez wątpienia rodzaj szaleństwa. Nie może być inaczej. Potrafi się zjawić w ułamku sekundy i w ciągu kilku dni wywrócić życie do góry nogami.

Regina podeszła do kominka i opadła na dywan. Płomienie odbijały się w jej włosach i rozświetlały jej idealne rysy i nieskazitelną skórę.

Kiedy odwróciła się i spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem, w jej oczach pojawiły się zakłopotanie i obawa, i smutek.

- Moglibyśmy skorzystać z krzeseł - powiedział, siadając obok niej. - Ale masz rację, tak jest o wiele lepiej. Niesforne dzieci też zbierają się przy kominku, kiedy nie mogą spać. Powiedz mi, co to takiego. Owa rzecz, która spędza ci sen z powiek.

- Chodzi o coś, co powiedział twój brat. Zanim się pojawiłeś. - Spuściła wzrok i splotła nerwowo palce. - On... Jack... mówi, że ten, którego szukamy, to człowiek bez serca i bez skrupułów. Ktoś, dla kogo inni znaczą tylko tyle, ile da się na nich zarobić... Ktoś, kto nie dba o nic poza własnym zyskiem.

- Sam bym tego lepiej nie ujął. Ci ludzie to wyjątkowe kanalie...

- Kanalie, które dysponują własnymi statkami... - Gdy ponownie uniosła twarz, po jej policzkach spływały łzy.

Robin był wstrząśnięty. Doszedł do tych samych wniosków, ale nie sądził, że i jej coś takiego przyjdzie do głowy.

- Myślisz, że stoi za tym twój ojciec?

- Tak. W chwili gdy usłyszałam słowa Jacka, stanęła mi przed oczami jego twarz. Opis pasuje do niego w stu procentach.

- To, że jest właścicielem kilku statków, nie znaczy jeszcze, że prowadzi podejrzaną działalność...

- Ma współnika. Pana Benjamina Harleya. Prowadzą razem interesy. - W jej głosie pojawiła się iskierka nadziei. - Może to tamten... Spotkałam go tylko raz, kiedy papa zabrał mnie do portu, żeby pokazać mi swój wielki nowy żaglowiec. Był z niego bardzo dumny.

- I jak znajdujesz owego pana Harleya?

Skuliła się i zmarkotniała.

- Trudno powiedzieć, ale z pewnością jest znacznie lepiej wykształcony niż ojciec. To on rozmawia z... klientelą i prowadzi księgi rachunkowe. Nikt poza nimi dwoma nie ma do nich wglądu. Tylko ojciec i Harley wiedzą, co jest w załadunku i dokąd płynie towar. Papa mówi, że to ze względów bezpieczeństwa. Ponoć nikomu nie ufa i obawia się piratów.

- Czegoś się obawia, ale czy aby na pewno piratów? - zastanawiał się na głos Puck.

- Czy ten statek, który ci pokazał, kotwiczył w dokach?

Przygryzła wargę.

- Chyba tak. Nie pamiętam dokładnie. To było kilka lat temu...

Ujął jej drżące dłonie w swoje.

- To nie musi być on. Owszem, pragnie wydać cię dobrze za męża, może nawet jest okrutny i podły, ale to jeszcze nie znaczy, że uwikłał się w handel ludźmi.

- Wiem. Chciałabym, żeby się okazało, że to jednak nie on. W końcu to mój ojciec. Poza tym jedną z ofiar bandy padła Miranda. Nie przystałby przecież na to, aby sprzedano jego powinowatą. Z drugiej strony...

- Z drugiej strony... co?

- Posłał policję na północ, pamiętasz? Najpierw był przekonany, że Mirandę pojmano. Powiedział nawet, że pewnie zostanie sprzedana... Bardzo obrazowo opisał mi, co się z nią stanie, a potem nagle zaczął twierdzić, że sama uciekła, i kazał wujowi szukać jej na Gretna Green. Po co to zrobił? Podobno chciał oszczędzić zgryzoty jej rodzicom, ale w jego ustach nie zabrzmiało to wiarygodnie...

Zmarszczył brwi.

- Gdyby twój ojciec istotnie był zamieszany w handel kobietami, kazałby współnikom uwolnić pannę Burnham, jak tylko zdał sobie sprawę, że trafiła w ich ręce. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek chciał świadomie skazać na taki los bratanicę własnej żony.

Dotknęła ręką czoła.

- Nie wiesz wszystkiego. To już drugi sezon Randy w Londynie i zanosilo się na to, że będzie potrzebowała trzeciego. Nie znalazła wielu konkurentów, ponieważ nie ma ani pensa posagu. Wszelkie wydatki związane z jej bywaniem w towarzystwie opłaca

naturalnie papa. Miejską rezydencję Burnhamów, konie, suknie Mirandy i tym podobne. Także karciane długi wuja i jego durnego synalka Justina. Nieraz powtarzał, że najchętniej posłałby ich do diabła i że zrobi to, jak tylko wyda mnie za męża i zdobędzie wreszcie upragniony tytuł. Zostawi ich bez środków do życia, tak w każdym razie mówi... Nie będą mu już do niczego potrzebni, nawet mama stanie się bezużyteczna... Wyznała mi dzisiaj, że ciągle jej grozi... Chce ją posłać do domu wariatów, kiedy wyjdę za męża.

Robinowi skończyły się argumenty. Coraz więcej przemawiało za tym, by go podejrzewać.

Trzeba być ostatnim plugawcem, żeby traktować w ten sposób własną rodzinę.

- Czy pan Hackett ma skład w dokach?

- Tak. Pamiętam nawet szyld. „Hackett & Harley Company” ze znakiem Hs.

- Poczujesz się lepiej, jeśli pojedę tam jutro i rozejrzę się wokół budynku?

- Na pewno, ale pod warunkiem że pojedę z tobą. Teraz czuję się jak wyrodna córka.

Westchnął ciężko.

- Wykluczone. Nigdzie nie pojedziesz. Przebywasz z wizytą u dziadka na wsi. Co będzie, jeśli ktoś cię rozpozna? Pomyślałeś o tym?

- Dziś mnie ze sobą zabrałeś - zauważyła rzeczowo.

- Zabrałem cię, bo było ciemno i nie wychodziłaś z powozu.

- Ty też możesz zostać rozpoznany. Ojciec wie, kim jesteś. Jeżeli cię zobaczy, znacznie się zastanawiać, co robisz w porcie.

- Nie zobaczy mnie, a nawet jeśli, z pewnością mnie nie pozna - rzekł bez zastanowienia i natychmiast tego pożałował.

- Ach, tak? Jak to? A, już wiem. Wspominałeś coś o nowych kostiumach, o które miał zadbać twój lokaj. Dla nas dwojga, o ile mnie pamięć nie myli. Dla mnie także, prawda? Tak, widzę to w twoich oczach. Nie wyprzesz się.

- To przez ten ogień z kominka. Z gorąca chwilowo zmaćło mi rozum i wydłużyło język. Tak, Gaston istotnie wyczarował dla ciebie kilka kostiumów.

- Więc pozwolisz mi ze sobą jechać? - Pochyliła się i dotknęła jego kolana. - Powiedz, że się zgadzasz. No, powiedz, tak, zabiorę cię ze sobą.

Ujął jej dłoń i uniósł ją do ust.

- Wiem, co czujesz, Regino. Gdyby ktoś porwał jednego z moich braci, zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby go uratować i sprowadzić bezpiecznie do domu. Nawet gdyby ktoś mi tego kategorycznie zabronił, znalazłbym jakiś sposób. Ale, do licha, ja jestem mężczyzną, a ty jesteś...

- Jaka? Bezbronna? Do niczego? A może niepotrzebnie wchodziłabym ci w drogę?

- To ostatnie na pewno - odrzekł z uśmiechem.

Zrzędała jej mina.

- Przynajmniej jesteś szczery. Nie umiem strzelać ani fechtować. Nigdy nawet nikogo nie uderzyłam. Ale musi być coś, do czego mogłabym ci się przydać.

- Nie śmiałem się z ciebie, moja słodka. Przypomniałem sobie, jak Chelsea próbowała kiedyś pomóc Beau. Dopiero teraz pojąłem, dlaczego był temu przeciwny i tak bardzo obstawał przy swoim. A gdy w końcu ustąpił i tak przez cały czas chodził jak struty. Mimo że jego ukochana całkiem nieźle wywiązała się ze swego zadania.

- Kazaliście jej strzelać, fechtować albo bić się na pięści?

- Nie, nie musiała robić żadnej z tych rzeczy, choć prawdę mówiąc, Beau był do tego stopnia zamroczony wdziękami swojej pani, że spełniał każdą jej zachciankę. Jestem pewien, że gdyby go o to poprosiła, wbrew zdrowemu rozsądkowi zgodziłby się dać jej do ręki broń. Ale to jeszcze nie znaczy, że jestem tak samo uległy jak on... A niech to, zapędziłaś mnie w kozi róg...

- Naprawdę? - zapytała z miną niewiniątka.

Nie udało jej się go oszukać. Jej oczy błyszczały z zadowolenia.

- Jak mogłem dać się tak podejść? Jeśli zabiorę cię ze sobą, zgodzisz się słuchać mnie bez zastrzeżeń i bez zadawania zbędnych pytań?

Kiwnęła posłusznie głową.

- I będziesz robiła, co ci każę?

- Tak, obiecuję.

- Czy teraz będziesz mogła już zasnąć?

Radość na jej twarzy w jednej chwili zgasła.

W jej źrenicach pojawiły się ból, zmieszanie i... tak, widział to wyraźnie, niezaspokojone pragnienie.

Pogłaskał ją po policzku.

- Tak, moja słodka, czuję dokładnie to samo, co ty. Smutek i głęboką pustkę, którą trzeba zapełnić. Ale może czujemy tak pod wpływem chwili. Może to nic więcej. Znamy się zaledwie od kilku dni i mało o sobie wiemy, poza tym, że razem możemy doświadczyć prawdziwej magii.

- To źle, że jej pragniemy, prawda? - powiedziała szeptem.

- O tak - odparł, przysuwając się bliżej. - Bardzo źle...

Przyciągnął ją do siebie i musnął wargami jej usta. Potem ułożył ją na dywanie i zaczął rozpinać po kolei guziki jej szlafroka. Kiedy się z nimi uporał, zsunął jej koszulę i uwolnił piersi.

Wiedział, że musi pozostawić ją nietkniętą. Miała przecież zostać żoną innego. Gdyby odebrał jej teraz dziewictwo, nie umiałby spojrzeć sobie w oczy. Ale mógł dać jej przyjemność w inny sposób...

Była taka piękna... doskonała w każdym calu. I z takim entuzjazmem reagowała na jego pieścizny.

Nie przestając jej całować, posadził ją sobie na kolanach i przesunął dłonią po płaskim brzuchu. Nie rozebrał jej do końca, ale wystarczyło, że podciągnął cienką tkaninę koszuli, by móc jej swobodnie dotykać.

Pragnął jej rozpaczliwie, ale nie było mu pisane ją mieć.

Przyłgnęła do niego, gdy ustami i językiem pieścił jej stwardniałe sutki, ale kiedy jego dłoń sięgnęła między uda, gwałtownie go odepchnęła, po czym odsunęła się i poprawiła odzienie.

Nie miał pojęcia, o co idzie, ale przynajmniej zorientował się, że jest wściekła.

- Regino? Co się stało?

- Co się stało?! - powtórzyła drżącym głosem. - Jeszcze pytasz? Myślisz, że jestem kompletną idiotką? Nie, nie odpowiadaj. Wcale nie sądzisz, że jestem idiotką, uważasz po prostu, że myślę wyłącznie o sobie. Postanowiłeś się poświęcić? Zostać męczennikiem? To właśnie chciałeś zrobić? Dać mi to, czego się tak usilnie domagam, i zapo-

mnieć o własnych pragnieniach? Pozwoliłbyś sobie na więcej, ale nie, musisz przecież mnie chronić. - Otarła mokre od łez powieki. - Wiesz, jak się przez to czuję?

Wydawało mu się, że jeszcze przed chwilą czuła się całkiem dobrze, nawet bardzo dobrze... Na szczęście, nie powiedział tego na głos. Wprawdzie mężczyźni słyną z tego, że kiedy pragną być pomocni lub dowcipni, mówią od rzeczy, w dodatku w najbardziej niestosownych momentach, ale najwyraźniej opatrność nad nim czuwała i kazała mu w porę ugryźć się w język.

Zresztą nie musiał nic mówić, bo Regina, zwyczajem kobiet, sama odpowiedziała sobie na pytanie.

- Czuję się podła, bezwartościowa i samolubna. To chciałeś osiągnąć, Puck?

- Mój Boże, nie. - Podniósł się i pomógł jej wstać. - Jestem idiotą. Wybacz mi, Regino. Pójdę już.

Przewróciła oczami.

- Żałuję, że babka Hackett odeszła już z tego świata. Gdyby wciąż z nami była, poszłabym do niej po radę. Nie sądziłam, że tak trudno mi będzie utracić dziewictwo. Wszyscy mężczyźni są tacy głupi czy tylko ty? Dałeś mi jasno do zrozumienia, że mnie pragniesz. A może się mylę? Może to był tylko flirt? Byłeś rycerski i mówiłeś to, co chciałam usłyszeć?

Robin sam chętnie zwróciłby się do babki Hackett, bo zupełnie się już pogubił i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Miał za to przeczucie, że cokolwiek powie, jej i tak się to nie spodoba.

- Regino...

- „Chodź ze mną, nieznajoma kusicielko, a przeżyjemy noc pełną rozkoszy. Zdejmemy maski, a wraz z nimi wyzbędziemy się wszelkich zahamowań. Jeszcze mnie nie znasz, ale ja poznam niebawem twój smak i każdy skrawek twojego przepysznego ciała, wszystkie twoje kobiece sekrety... Zabiorę cię do miejsc, w których jeszcze nie byłaś. Będę cię dotykał, tak jak nikt przedtem cię nie dotykał...”.

- Boże... - przerwał jej zaskoczony. - Po francusku brzmiało to znacznie romantyczniej, prawda? Zapamiętałaś te bzdury?

- Bzdury? - Znów spróbowała mu się wyrwać, lecz tym razem ją przytrzymał.

- Tak, do licha, kiczowate bzdury. Myślałem, że mówię je do kogoś, kim nie jesteś, do kobiety lekkich obyczajów, a nie do... dziewicy.

Zamarła.

- Ach, tak? Co w takim razie mówisz zwykle dziewicom?

Chryste, pomyślał. Ta dziewczyna doprowadzi mnie kiedyś do skrajnego wytrzymałości. Oszaleję przez nią.

- Nie wiem. Nic nie mówię - poprawił się. - Nigdy nie byłem z dziewicą. Dlatego jestem taki przerażony. No i proszę, wykrztusiłem to. Teraz jesteś zadowolona?

Zamrugła, przygryzła wargę, a potem się uśmiechnęła.

- To znaczy, że proszę - a proszę, nie miej co do tego żadnych wątpliwości - żebyś zdeprawował swoją pierwszą dziewicę... Hm... a zatem i dla ciebie będzie to całkiem nowe doświadczenie...

Rozejrzał się dookoła.

- Co robisz?

- Próbuję odnaleźć swoją godność. Powinna tu gdzieś być.

- Och, Puck. - Objęła go za szyję i rozwiązała wstążkę, i wplotła mu palce we włosy. - Myślę, że poszła na spacer razem z moją dumą.

Roześmiał się, wziął ją na rękę i zaniósł do łóżka.

- Znakomicie. Mamy trochę czasu, zanim wrócą.

Tym razem się nie wahał, a jego dłonie były pewne. Zapomniał o wątpliwościach, a także „dobrych intencjach” i rozebrał ją do naga.

Dotykali się, wzdychali, poznawali nawzajem swoje ciała.

Jej pocałunki rozpałały jego zmysły. Jej dłonie z każdą chwilą stawały się coraz śmielsze.

Była taka piękna i taka namiętna... Odpowiadała na każdą jego pieszczotę, przyjmowała wszystko, co jej dawał, i nie pozostawała mu dłużna.

To było jak długa podróż w nieznane. Oboje się uczyli. On także. Wydawało mu się, że o kobietach i o tych sprawach wie już wszystko, że nie doświadczy już niczego zaskakującego, ale pomylił się. Z Reginą było inaczej, nie chodziło o zwykłą cielesną przyjemność.

Nigdy dotąd nie przeżywał niczego tak intensywnie. Dawanie przyjemności zawsze było dla niego ważne, ale nie tak jak teraz. Teraz każdy dotyk znaczył tak wiele. Jego serce rosło w piersi za każdym razem, gdy słyszał jej westchnienie i rozpadło się na tysiąc kawałków, kiedy w końcu musiał sprawić jej ból.

- Wybacz, moja słodka - szepnął jej do ucha, gdy na moment znieruchomiała i wstrzymała oddech. - Teraz będzie znacznie lepiej. Zobaczysz.

- Tak, wiem. Pokaż mi. Czuję się taka... taka... Och, Puck...

Nie spieszył się, żeby jej nie wystraszyć. Była pojętną uczennicą. Szybko zrozumiała, w czym rzecz, i dostosowała się do jego rytmu. Zapomniała o wstydzie i oddała się nowym zmysłowemu doznaniom. Tak jak obiecał, odkryli razem magię.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Panna Hackett uniosła głowę i spojrzała w lustro.

- Nic? - zapytała ze zdziwieniem, spoglądając na odbicie służącej.

Hanks wpięła jej w kok kolejną spinkę. Na toaletce obok leżała czarna peruka.

- Ani kropelki, panienko. Odkąd tu przyjechałyśmy pani nie wzięła do ust żadnego alkoholu. A ręce trzęsą jej się tylko, kiedy wspomina o powrocie do domu.

- Powinnam zajrzeć do niej przed wyjściem, ale jak niby miałabym wytłumaczyć jej ten gorset?

- Pani teraz drzemie. Lepiej jej nie przeszkadzać. Za to biedna wicehrabina... Pewnie nie zmrużyła oka od kilku dni.

- Powiedziałam jej rano, że poczyniliśmy pewien postęp. Mam nadzieję, że nie skłamałam. Wciąż powtarza, jaka jest nam wdzięczna, a przecież w gruncie rzeczy niczego jeszcze nie zrobiliśmy.

- Miałam nic panience nie mówić, ale co mi tam. Pan Blackthorn też rozmawiał z nią przed śniadaniem. Obiecał jej, że panna Miranda się odnajdzie i to już całkiem niedługo.

Regina obróciła się gwałtownie na krześle, wyrywając sobie kilka włosów, które pokojówka wciąż misternie upinała.

- Co takiego?! Jak on mógł to zrobić?

Hanks była osobą niezwykle praktyczną, w dodatku praktycznie pozbawioną wyobraźni.

- Jak to jak, panienko? Normalnie. Otworzył usta i powiedział, co miał do powiedzenia. A jaka pani Burnham była zadowolona! Powiadam panience, ucieszyła się, jakby gwiazdkę z nieba jej podarował. Już dawno jej takiej nie widziałam.

- Gwiazdkę z nieba - mruknęła poirytowana Reggie. - Też coś... Niepotrzebnie rozbudził jej nadzieje, ot, co.

Służąca wzruszyła ramionami.

- Lepiej karmić się nadzieją niż na okrągło lamentować. Przecież nie wiemy, co się naprawdę stało. Dopóki nie poznamy prawdy, trzeba wierzyć, że wszystko się dobrze

skończy. Tak czy inaczej, lady Ranscome zamiast grzebać widelcem po talerzu, zjadła dziś pierwszy suty posiłek, to chyba dobrze, prawda?

- Prawda - zgodziła się Hackettówna. - Ile jeszcze szpilek zamierzasz wbić mi w głowę? Wpięłaś ich chyba już ze sto.

- Myślę, że tyle wystarczy - odparła Hanks, sięgając po perukę. - Włóżmy teraz to paskudztwo...

Kilka minut później zakończyły przygotowania. Regina występowała dziś jako zrozpaczona żalobnica, więc od stóp do głów spowita była w głęboką czerń. Miała na sobie obszerną suknię z minionej epoki, długie rękawiczki bez palców oraz sznurowane buty sięgające kolan. Te ostatnie nie tylko nadgryzione zębem czasu, lecz także dwa numery za duże. Jej twarz zasłaniała gruba woalka. W jednej dłoni trzymała torebkę ozdobioną bukietem czarnych róż, a w drugiej dużą parasolkę z drewnianą rączką.

- Sama bym się nie rozpoznała - stwierdziła, zerkając ostatni raz na swoje odbicie. - Szkoda tylko, że okropnie cuchnę kamforą.

Pokojówka zmarszczyła nos i wzięła pannę Hackett za rękę.

- Owszem, nie da się ukryć. Jeszcze jeden drobiazg, panienko. Przysłał go pan Blackthorn. - Z tymi słowy wsunęła jej na palec ciężki złoty pierścionek z ogromnym szmaragdem.

Reggie przyjrzała mu się z podziwem, lecz nagle zmarszczyła czoło.

- Dlaczego każe mi go włożyć? Bardzo rzuca się w oczy. Ktoś go może zapamiętać.

- A bo ja wiem? - odpowiedziała Hanks, otwierając drzwi na korytarz. - Lepiej niech panienska zapyta pana Pucka. Już na panienkę czeka.

Hackettówna podeszła bliżej i nachyliła się do jej ucha. - Spodobał ci się, co? Pan Puck? Służąca zarumieniła się po czubek nosa.

- A jakże miał mi się nie spodobać? Nie jestem aż taka stara, żeby nie zauważyć obok siebie mężczyzny jak z obrazka. I kiedy mu usługuję, zawsze mówi: „Dziękuję, Hanks”. Pamięta, jak mam na imię.

- Tak, to bardzo miłe. I jest ładny jak z obrazka? - Reggie z trudem powstrzymała uśmiech.

- Pewno, że ładny. Chociaż dzisiaj to może akurat nie taki znowu najładniejszy...
Ciekawe... Zaintrygowana Regina pobiegła na dół i weszła do bawialni.

Robin stał zwrócony do niej tyłem, przyglądając się czemuś, co trzymał w ręce. On też był ubrany na czarno. Jego odzienie było równie wysłużone jak jej własne i pachniało kamforą. Na lewym ramieniu nosił żałobną opaskę.

- Jesteś pewien, że mamy być parą żałobników? Wyglądamy raczej jak trupy tuż przed pochówkiem. O mój Boże! Co to jest?!

Niemal odjęło jej mowę, kiedy się odwrócił i zobaczyła go w pełnej krasie.

- Masz na myśli to? - odezwał się, wskazując na coś, co przyczepiono mu na środku nosa. - Nieładne? Sądziłem, że zadaje mi sztyku.

Skrzywiła się i przyjrzała mu się z bliska. Jego jasne włosy przybrały nieokreśloną szarawą barwę, a cera stała się o dwa tony ciemniejsza. Jedno i drugie za sprawą pudru. Ale najgorsze było to coś na nosie.

- Puck, to okropna czarna brodawka! Jest naprawdę szpetna.

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Ciesz się, że nie przypadła w udziale tobie. Zdobyłem się na poświęcenie i dałem ci zamiast niej pierścioneł. Nie zgub go, jest wart co najmniej dziesięć szylingów.

- Nie jest prawdziwy?

- Ależ jest. To najprawdziwszy i najdroższy szklany klejnot, jaki udało mi się znaleźć. A co najważniejsze, od razu rzuca się w oczy.

- Jak to znamię na twoim nosie?

- W rzeczy samej. Jeśli ktoś poprosi ludzi, żeby nas opisali, powiedzą, że widzieli parę pogrążonych w bólu żałobników. Kobieta miała na palcu wielki szmaragd, a mężczyzna brodawkę na twarzy. Zapamiętają też trumnę.

- Trumnę? A kto w niej będzie?

- Zapewne my, jeśli nie rozegramy naszych kart po mistrzowsku. Gotowa? Jesteś prześliczna w tej peruce. Do twarzy ci w czerni. Do twarzy ci we wszystkim. Bez niczego też. Pocałowałbym cię, ale boję się, że odpadnie mi mój znak szczególny.

Pokręciła głową. Na pierwszy rzut oka widać było, że Puck znakomicie się bawi.

- Przyznam, że troszkę się denerwowałam przed tym spotkaniem. Pierwszym po... wczorajszej nocy, ale niepotrzebnie się obawiałam. Potrafisz sprawić, że wszyscy dookoła ciebie cieszą się życiem i są zadowoleni. Opowiesz mi, co mamy robić? Wolałabym jednak nie skończyć jako trup.

- Dowiesz się po drodze. - Włożył do kieszeni wiadomość, którą czytał, kiedy weszła, i wziął Reginę za rękę. - Karawan czeka na tyłach budynku.

- Jesteś bardzo skrupulatny, Puck. Nie uznajesz półśrodków.

Obrzucił ją pożądliwym spojrzeniem, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Zgadza się, droga pani. Nie uznaję półśrodków. W żadnej dziedzinie.

- Łajdak - mruknęła, czując, że się rumieni.

Kiedy przechodzili przez dom, służba miała prawdziwe używanie. Niektórzy tylko wybałuszali oczy, ale większość otwarcie chichotała. Kucharka na ich widok rozdziawiła buzię i z hukiem upuściła chochlę.

Jakiś czas później siedzieli na kozle obok kogoś, kto przypominał mgliście Gastona. Z tą różnicą, że Gaston nie miał pokaźnego brzucha ani ryżej czupryny.

Hackettówna odwróciła głowę i zajrzała do wnętrza powozu.

- Puck, to naprawdę trumna! Czy jest w niej prawdziwy trup?

- A jakże. Nasz kuzyn, Yorick.

- „Biedny Yoricku! Znałem go dobrze” - zacytowała bez namysłu.

- Pomyliło ci się, kotuś - poprawił Puck. - Niedokładnie tak to powiedział nasz drogi przyjaciel Hamlet. W jego słynnym monologu nie pojawia się słowo „dobrze”. Ale nie martw się, to częsta pomyłka. „Biedny Yoricku! Znałem go, mój Horacy; był to człowiek niewyczerpany w żartach, niezrównanej fantazji, mało tysiąc razy piastował mię na rękę, a teraz - jakże mię jego widok odraża i aż w gardle ściska! Tu wisały owe wargi, które nie wiem jak często całowałem. Gdzież są teraz twoje drwinki, twoje wyskoki, twoje śpiewki, twoje koncepty, przy których cały stół trząsł się od śmiechu? Nicze z nich nie pozostało na wyszydzenie swych własnych, tak teraz wyszczerzonych zębów? Idźże teraz do gotowalni modnej damy i powiedz jej, że chociażby się na cał grubo malowała, przecież się takiej fizjognomii doczeka”*. I tak dalej. Za sprawą matki mam głowę pełną Szekspira i nijak pozbyć się go nie mogę...

Przewróciła oczami.

- Żalosne przechwałki - skwitowała z uśmiechem. - Po co ciągniemy ze sobą nie-
szczęsnego Yoricka?

- Och, to proste. Chcemy zapakować go do skrzyni i wywieźć na statku do Min-
ster-In-Sheppey. W celach pochówku, rzecz jasna.

- Minster-In-Sheppey? Brzmi uroczo.

- Tak myślisz? Zależało mi tylko na tym, żeby brzmiało intrygująco. Leży na wy-
spie Sheppey. Ponoć w miasteczku znajduje się jeden z najstarszych kościołów w Anglii.
I zbudowany ponad tysiąc lat temu żeński klasztor.

Spojrzała na niego z otwartymi ustami.

- Czemu po prostu nie wybrałeś nazwy na chybił trafił?

- Na wszelki wypadek. Jeśli już kłamać, to wiarygodnie. Trzeba być przygotowa-
nym na każdą ewentualność. Czemu tak mi się przyglądasz? Myślisz, że jestem dziwa-
kiem?

- Skądże. Myślę, że jesteś niezwykle zmyślny i przebiegły. Zastanawiam się tylko,
dlaczego akurat dzisiaj postanowiłeś być taki szczwany?

Gaston nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Usłyszałem w twoim chichocie złowieszczą nutę, mój drogi. Zechcesz mi obja-
śnić, skąd się wzięła?

- *Non*, m'sieur. Raczej nie. Wolę trzymać język za zębami niż w rękę. *Oui*?

Reggie popatrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Wydaje się wam, że jesteście niezwykle zabawni, zgadłam?

- A widzisz, Gaston, nie mówiłem ci, że panna Hackett jest wyjątkowa?

- Owszem, m'sieur. Mówił pan, i to wielokrotnie.

- Doprawdy? Mówiłeś, że jestem wyjątkowa? - ucieszyła się jak dziecko.

- Nie inaczej. Wspominałem także o tym, że jesteś bystra, posłuszna i lojalna. I ta-
ka właśnie będziesz podczas naszego małego rekonesansu w dokach, nieprawdaż?

- Naturalnie, niczym wierny piesek - mruknęła pod nosem, nieco mniej uradowana
niż przed chwilą. - Dziękuję za komplement.

- Drobiazg, panno Claridge. Gdyby ktoś pytał, nazywasz się Marianna Claridge. Prawdopodobnie nie będziesz musiała z nikim rozmawiać, ale lepiej dmuchać na zimne. A co się tyczy posłuszeństwa, kiedy pójdę się rozejrzeć i załatwić pogrzeb naszemu Yorickowi, zostaniesz z Gastonem. Zakryjesz twarz chusteczką i będziesz miała oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dookoła dzieje. Powiesz mi potem, czy zauważyłaś coś niezwykłego, dobrze?

- Tak, myślę, że to arcytrudne zadanie nie przerasta moich możliwości - odparła uszczypliwie. - Ale szczerze wątpię, by któryś z kapitanów mego ojca zechciał przyjąć na pokład trumnę z ciałem i zrobić postój w Minster-In-Sheppey, żeby ją tam dostarczyć.

- Uważasz, że nie zdołam żadnego z nich przekonać? - zdumiał się Robin. - Czuję się dotknięty. Do żywego.

Ten jego uśmiech zaczynał wyprowadzać ją z równowagi.

- Pewnie popadłem w niełaskę przez tę szpetną brodawkę. Czyżbym wydawał ci się z nią nazbyt odpychający?

- Na litość boską, Puck. Bądź choć przez chwilę poważny. Wiem, że próbujesz mnie w ten sposób uspokoić, ale nie będę spokojna dopóki nie odnajdziemy Mirandy. Proszę cię, powiedz mi wreszcie, co zamierzasz zrobić?

Ścisnął ją za rękę.

- Dobrze. Otóż zamierzam dokładnie się rozejrzeć. Mam nadzieję, że zdołam wejść do budynku, kto wie, może nawet zostanę zaproszony do biura? Spróbuję też ukraść klucze, żebym mógł wrócić, kiedy nikogo nie będzie, i obejrzeć wszystko jeszcze raz. Gaston? Jak ci się zdaje, podołam zadaniu? Pytam, czy osiągnąłem wystarczającą biegłość w twoim rzemiośle.

- Nie taką jak ja, m'sieur, ale nie jest najgorzej. Może jeszcze będą z pana ludzie.

- Czy mnie uszy nie mylą? - Regina była wyraźnie skonsternowana. - Znalazłam się w towarzystwie złodziei?

- Tak jakby. Ale nie obawiaj się, jeden z nas został sprowadzony na dobrą drogę, a drugi jest zaledwie początkującym, acz niewątpliwie pojętym adeptem.

Rozmowa urwała się, kiedy wjechali do doków.

Londyński port handlowy był ogromny i cumowało w nim mnóstwo statków. Ciągnęły się co najmniej na milę w głąb rzeki.

- Nie uda nam się... - szepnęła załamana Reggie. - Nigdy ich nie znajdziemy. To jak szukanie igły w stogu siana...

- Bądź dobrej myśli - uspokoił ją Blackthorn - Najważniejsze to zrobić pierwszy krok - dodał, wskazując dłonią duży murowany budynek z szyldem „Hs”. - Widzisz?

Wciągnęła głośno powietrze.

- Tak, widzę.

Puck naciągnął na czoło kapelusz i ruszył przed siebie ulicą. Po chwili rozejrzał się dyskretnie na boki, żeby sprawdzić, czy członkowie jego małej armii czuwają na swoich pozycjach gotowi do akcji.

„Armia” składała się w głównej mierze z ludzi niejakiego George'a Portera - krzepkiego chlebobdawcy pana La Reiny.

Porter stracił na rzecz handlarzy kobietami kilkoro swoich najlepszych dziewcząt. Panie przynosiły spore zyski, ich opiekun był więc mocno rozsierdzony. Kiedy po długich namowach Queen dał się wreszcie przekonać i przyprowadził do niego Blackthorna, przedsiębiorczy rajfur wykazał ogromny zapał do współpracy i zaoferował pomoc całej swojej załogi. Z wyjątkiem La Reiny, który nie zakończył jeszcze rekonwalescencji.

Wraz z George'em na miejsce przybyli czterej jego pomocnicy. Robili, co w ich mocy, żeby nie rzucać się w oczy, ale wyraz zaciętości na ich twarzach mówił sam za siebie. Nieopodal zabudowań „Hackett & Harley Company” kręciło się także kilka upadłych aniołów. Damy wyglądały co prawda raczej nieszkodliwie, ale były to jedynie pozory. W rzeczywistości, aby odbić koleżanki po fachu, gotowe były do krwawego mordu.

Zjawili się również kapelusznicy. Pradziadek Mirandy dobiegał dziewięćdziesiątki i był głuchy jak pień. Podczas wizyty w jego domu przy Piccadilly, Puck musiał wrzeszczyć mu do ucha przez specjalną trąbkę. Ale kiedy staruszek wreszcie usłyszał, co trzeba, okazało się, że jego umysł wciąż działa bez zarzutu.

U wlotu pobliskiej alejki tkwił na warcie Dickie Carstairs. Przebrany za marynarza. Miał na sobie koszulę w biało-czerwone pasy oraz słomkowy kapelusz. Wyglądał przekomicznie. Doprawdy, Jack ma dość osobliwe poczucie humoru...

Ten ostatni naturalnie ukrywał się gdzieś w pobliżu.

Robin czuł się o wiele spokojniejszy, wiedząc, że jeśli coś pójdzie nie tak, brat natychmiast się ujawni i wybawi go z opresji.

Niebawem zapukał do drzwi składu.

- Pan daruje, sir - zaczął nerwowo, gdy mu otworzono. - Zdaje się, w czymś przeszkodziłem? Mam przyjemność z panem Silasem Lamottem, prawda? Nazywam się Aloysius Claridge. Popytałem ludzi, którzy się tu kręcą, i powiedziano mi, że powinienem zwrócić się z moją sprawą właśnie do pana... Widzi pan, rzecz jest niezwykle delikatnej natury, że tak powiem...

Lamott popatrzył na żalobny strój rozmówcy. Potem wyjrzał na ulicę i łypnął na stojący za plecami Pucka karawan.

- Ma pan tam trupa czy przyjechał pan, żeby sobie jakiegoś znaleźć?

- Zabawny żart, panie Lamott. Obawiam się, że to pierwsze, niestety. Idzie o to, że mam zwłoki, których chciałbym się... pozbyć. - Blackthorn odwrócił się i pomachał do Reginy, która z kolei pomachała jemu. - Nie przy mojej siostrze, za pozwoleniem.

Silas wzruszył ramionami i wpuścił go do środka. Wnętrze budynku przypominało monstrualnych rozmiarów grobowiec, wysoki na co najmniej pięć pięter i wyładowany po brzegi stosami skrzyń, paczek i innych pakunków o dziwacznych kształtach. Jedyne okna znajdowały się tuż pod sufitem.

Poza miejscem do składowania towarów było też kilka wydzielonych boksów z osobnym wejściem. W jednym z takich boksów mieściło się biuro, do którego prowadził go teraz Lamott. Po lewej stronie Robin zauważył długie schody wiodące do dużego pomieszczenia zawieszzonego kilkadziesiąt stóp nad podłogą.

- O mój Boże, a cóż to takiego? - Puck stanął jak wryty i popatrzył w górę. - Dom wiszący w powietrzu? Niesamowite... Przepraszam, jeśli musiał pan z mojego powodu pokonać tyle schodków!

Silas okazał się niezwykle rozmowny. Większość ludzi lubi mówić, zwłaszcza o sobie i o własnej niedoli. Wystarczy wykazać zainteresowanie i zadawać im odpowiednie pytania.

- Żaden kłopot, panie Claridge. Nie musiałem schodzić. Moje królestwo jest tutaj. - Z tymi słowy wsunął w zamek ten sam klucz, którym otworzył drzwi wejściowe. - A to na górze to żaden dom. Urzędują tam właściciele. Są jak nadzorcy, albo raczej poganiacze. Stają co i raz przy szybie i przyglądają nam się z góry jak sępy. Sprawdzają, czy się „przypadkiem nie objamy albo czy czegoś nie kradniemy”. Podobno trzymają tam wszystkie pieniądze, ale tak po prawdzie to nie wiem, bo nigdy tam nie byłem. Nikt nie był. Zabronili nam wstępu, poza tym prawdziwa robota jest na dole.

Blackthorn wszedł do ciasnego biura i sprawdził, gdzie Lamott odkłada klucze. Położył je na biurku na stercie jakichś dokumentów. Znakomicie, pomyślał Robin. To mi ułatwi zadanie. Nie mógł jednak podwędzić całego pęka. Silas od razu by się zorientował. Potrzebował tylko jednego dużego czarnego klucza... Hm... trudna sprawa, ale dla utalentowanego ucznia mistrza Gastona nie ma rzeczy niemożliwych...

Wyciągnął rękę i ujął w dłoń stojącą obok kluczy drewnianą figurkę.

- Piękna rzecz, panie Lamott! - rozpląwał się z zachwytem, obracając w palcach szpetny posążek. - Z Afryki? Był pan na Czarnym Kontynencie? Och, to oczywiste, że pan był. Z pewnością zwiedził pan całe mnóstwo egzotycznych krajów. Dla prostego bankiera z miasta, takiego jak ja, to fascynujące. Zazdroszczę panu życia obfitującego w przygody. Musi mi pan koniecznie powiedzieć, jak pan wszedł w posiadanie tego cudenka. Silas poczerwieniał z zadowolenia.

- Och, to stare dzieje, panie Claridge. Nie ma o czym mówić. Wówczas byłem jeszcze kapitanem jednego ze statków. Teraz nie cumujemy już w afrykańskich portach. Nie wpływamy do nich od czasu, kiedy ustanowiono nowe prawo.

- Ach tak, pojmuję. - Puck odstawił ozdobę na biurko. Zrobił to tak niezdarnie, że niemal wyrócił kubek z resztami porannej czekolady. - Ojej, niewiele brakowało, a doszłoby do katastrofy! - zawołał, chwytając naczynie. - Bardzo przepraszam. Okropna ze mnie gapa.

Klucze tkwiły już w jego kieszeni.

Tymczasem Lamott nie zwracał na swego gościa najmniejszej uwagi. Był całkowicie pochłonięty porządkowaniem rzeczy na zawalonym papierami stole.

Robin odczepił właściwy klucz i zaczekał na stosowny moment. Wykorzystał chwilę, gdy sterta dokumentów zaczęła osuwać się na ziemię. Złapał ją i niepostrzeżenie odłożył pęk na miejsce.

- Nic się nie stało, panie Claridge. To ja jestem bałaganiarzem. Pan rozumie, nawał pracy. Przygotowujemy jeden ze statków do wypłynięcia, a kilka innych rozładujemy. Musimy się uwinąć w parę dni, więc wszystko stanęło na głowie.

- Rozumiem. A ja zawracam panu głowę i marnuję pański czas. Pokornie proszę o wybaczenie. Pozwoli pan, że przejdę do rzeczy i przedstawię pokrótce, z czym przychodzę. Otóż, mam pewien problem, który mam nadzieję, pomoże mi pan rozwiązać. Pamięta pan karawan? I moją siostrę?

Silas zerknął na niego spod oka.

- Nie zabieramy na pokład nieboszczyków, jeżeli o to panu idzie. Ponoć na morzu zmarli przynoszą pecha.

Blackthorn posłał mu szeroki uśmiech.

- Cóż, na łądzie też bywają mocno kłopotliwi. Zwłaszcza ten, którego obecnie mam na głowie. Kuzyn Yorick nawet za życia był jednym wielkim utrapieniem, delikatnie rzecz ujmując. A teraz zatruwa mi życie po śmierci. Powiesił się, zakała jedna, kiedy wierzyciele zaczęli go ścigać za karciane długi. No i nie chcą go pochować przy kościele. Wikary jest nieugięty.

Lamott pokiwał smętnie głową.

- To zrozumiałe. Samobójca nie powinien spoczywać pomiędzy porządnymi katolikami. Nie możecie pochować go za murami kościoła?

- Możemy. To znaczy moglibyśmy, gdyby nie moja siostra. Uparła się, koza, na normalny pogrzeb i obstaje przy swoim. Dlatego tu ze mną przyjechała. Pilnuje mnie na każdym kroku, bo mi nie wierzy. Mówi, że jeśli na moment spuści mnie z oczu, to na pewno pogrzebię „biednego Yoricka” gdzieś pod płotem. I ma rację, zaraza. Powiadam ci, Silasie, mogę chyba tak się do ciebie zwracać? Powiadam ci, skaranie boskie z tą babą. Jak zresztą ze wszystkimi babami. Do jednego się tylko nadają, jeśli wiesz, o co mi chodzi. W każdym razie robi się to zwykle na leżąco. - Westchnął ciężko i sięgnął za pazuchę, wyjął z kieszeni piersiówkę. - Masz tu jakieś szkło, przyjacielu? Mam za sobą

długi poranek, a końca jak na razie nie widać. Nie jesteś pierwszym, do którego się zwracam, ale mam nadzieję ostatnim. Od razu widać, że zacy z ciebie człowiek. W dodatku taki, co to wie, jak się robi interesy.

Lamott otworzył szufladę biurka i wydobył z niej dwie prawie czyste szklaneczki.

- Wypijmy za pomyślne rozwiązanie pańskich problemów, panie Claridge.

- Aloysiusie - poprawił Blackthorn, napełniając naczynia przedniej jakości brandy.

- Trzymam tego piekielnego umarlaka w lodzie już od kilku dni. W dodatku mam na karku rozhisteryzowaną siostrę. Potrzebuję przyjaciela... I gotów jestem sownie zapłacić za pomoc...

Po chwili na stole pojawiła się niewielka, ale za to wypchana po brzegi sakiewka.

Silas wyciągnął po nią rękę, ale zawahał się i zrezygnował.

- Niestety, nie mogę kazać kapitanowi zboczyć z kursu. Mógłbym stracić pracę.

Kto wie, czy nie spotkałoby mnie coś gorszego... Przykro mi.

Puck podsunął mu woreczek z monetami.

- Nie proszę, żebyście zbaczali z kursu. Powiedziałem siostrze, że udało mi się załatwić pogrzeb z proboszczem starego kościołka na wyspie Sheppey.

- Sheppey... hm... blisko, ale jednak nie po drodze - wtrącił Lamott.

- Nic nie szkodzi. Prawdę mówiąc, nigdy nie zamieniłem słowa z tamtejszym proboszczem. Wystarczy, że siostra mi uwierzyła i zgodziła się załadować trumnę na statek. Reszta jest nieistotna. Jeżeli o mnie chodzi, możecie wrzucić Yoricka do morza. Taki pochówek nie należy chyba do rzadkości?

- Musiałbym namówić do współpracy kapitana...

Robin położył na stole kolejną, nieco mniejszą sakiewkę.

- Tak lepiej?

- Znacznie lepiej - uśmiechnął się Silas, zgarniając pieniądze. - „Gemini” ma wypłynąć z doków lada chwila. Wraz z kolejnym odpływem. Ale zdążymy wnieść trumnę na pokład. Spieszmy się, bo musimy zwolnić miejsce na przystani dla „Pride & Prize”. To żaglowiec pana Hacketta. Będziemy go ładować przez następne dwa dni. Wypływa tylko dwa razy do roku. I zawsze jest z nim mnóstwo zachodu. Ma własną załogę, a część załadunku odbywa się zazwyczaj w nocy... Chyba nawet wiemy dlaczego...

Puck nadstawił ucha, próbując jednocześnie przybrać zdziwioną minę.

- Doprawdy? Dlaczego? Czyżby chodziło o coś niezgodnego z prawem...? Bo jeśli tak... Chyba trochę się pospieszyłem. Nie mogę mieszać się w żadne szemrane interesy, Silasie. Jestem szanowanym bankierem. Reputacja to dla mnie kwestia najwyższej wagi. Przykro mi, ale jestem zmuszony prosić cię o zwrot pieniędzy.

- Co takiego?! - Lamott zdębiał. Zapewne zdążył już zaplanować wydatki. - Ależ nie, panie Claridge. Źle mnie pan zrozumiał. Nie ma mowy o żadnych szemranych interesach. Moi chlebodawcy to szanowani ludzie. A statek załadujemy nocą, ze względów bezpieczeństwa. Zawsze tak robimy, kiedy towar jest wyjątkowo cenny. W tym mieście szerzy się złodziejstwo, pan rozumie, to istna plaga. Dlatego pan Hackett jest taki ostrożny i nie wpuszcza niepowołanych osób na pokład. To wielka persona. Jego żona jest córką hrabiego, a córka zostanie ponoć żoną księcia. Z taką fortuną ojciec mógłby jej kupić nawet dwoje książąt.

- Cóż, ambicja to rzecz chwalebna. Niech będzie, Silasie. Skoro dajesz słowo, że ów pan Hackett nie jest zamieszany w żadne ciemne sprawy, wierzę ci. - Blackthorn podniósł się z krzesła i wlał pozostałą zawartość flaszki do szklanki Lamotta. Przy odrobinie szczęścia jegomość będzie spał do południa i nie zauważy braku klucza. - Czy moglibyśmy zatem rozpocząć przygotowania do ostatniej podróży kuzyna Yoricka?

- O tak, już niebawem drogi Yorick zawrze bliższą znajomość z rybkami - zażartował Silas, któremu wrócił dobry nastrój.

Wychodząc, Puck obejrzał pomieszczenie na górze. Wydawało się wystarczająco duże, aby pomieścić dwa tuziny kobiet. Jeśli uprowadzone rzeczywiście tam są, muszą być związane i zakneblowane. W przeciwnym razie robotnicy, krzątający się na dole, słyszeliby ich wołanie o pomoc. Oby

Bóg się nad nimi zlitował. Nikt nie zniesie długo uwięzienia w tak podłych warunkach.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, zaczepił go żebrak w łachmanach.

- Kłopoty - odezwał się szeptem. - Południowa strona, dwa budynki dalej. Trzy martwe kobiety, przyprowadź Reginę.

- Odsuń się ode mnie, człowieku, bo nie ręczę za siebie! - Robin odepchnął wyciągniętą po monetę dłoń. Przebranie Jacka było istnym dziełem sztuki, zwłaszcza poszarpane odzienie i siwa peruka. - Już cię tu nie ma, cuchnące ścierwo! Silasie, dobrze ci radzę, pozbądź się tych nędzarzy, bo odstraszą klientów!

Lamott zamachnął się na żebrzącego dziada, ale ten wywinął się i zniknął w tłumie. Puck domówił sprawę i odszedł.

„Trzy martwe kobiety, przyprowadź Reginę”. To mogło oznaczać tylko jedno. Black Jack chce, żeby Hackettówna zidentyfikowała zwłoki.

Gdy wrócił do karawanu, ludzie Silasa zabierali już trumnę.

- Każę marynarzom odmówić „Wieczne odpoczywanie”, zanim go... - zaczął Lamott.

- Tak, tak, naturalnie. Jestem ci bardzo wdzięczny, Silasie. - Blackthorn klepnął nowego znajomego po ramieniu, pożegnał się i siadł obok panny Hackett. - Woźnico, w drogę! To nie miejsce dla mojej siostry.

Regina nie wiedzieć czemu sprawiała wrażenie wielce niepokojonej.

- Skąd ta markotna mina, kotuś? Poszło jak z płotka.

- Nawet mnie nie przedstawiłeś - odparła nadąsana. - A przygotowałam taką piękną przemowę. Miałam nawet zapłakać. Poszedłeś sobie i jak zwykle świetnie się bawiłeś, tymczasem ja musiałam tu czekać i umierać z nudów. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Miał ochotę ją pocałować, ale nie pora na to.

- Gaston, jedź na południe i zatrzymaj się przy drugim budynku, licząc stąd - polecił pośpiesznie.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się Reggie. - Puck?! Co tam się wydarzyło?

- Tam? Nic - odrzekł, ściskając ją za rękę. - Ale Jack właśnie mi przekazał, że jego ludzie coś znaleźli.

- Jack? Jakim cudem? Przecież go tu nie było. Cały czas wyglądałam na zewnątrz i... Ten żebrak? O mój Boże, cała wasza rodzina zabawia się w komediantów? Co takiego znaleźli?

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy jego „armia” podąża ich śladem. Natychmiast pożałował, że nie zdążył udzielić swoim dzielnym pomocnikom kilku lekcji na temat dyskrecji. Malownicza banda opryszków, ulicznic i kapeluszników, plus niezawodny Dickie Carstairs w stroju żeglarza. Żałosne i śmieszne zarazem.

- Musisz być bardzo dzielna, moja słodka. Wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia i nie dasz niczego po sobie poznać. Udowodnisz mojemu bratu, że nie jesteś kulą u nogi i że potrafisz być pomocna. Zrozumiałaś?

- Co znaleźli? - powtórzyła ledwie słyszalnym szeptem. - Randy? Chcesz mi powiedzieć, że ona... nie żyje?

- Odkryli trzy ciała. Nie wiedzą, czy jest wśród nich twoja kuzynka. Jeśli nie czujesz się na siłach, odwiozę cię do domu.

Jej oczy były pełne łez.

- Nie. Nie mogę teraz stchórzyć. Ktoś musi wam powiedzieć, czy Miranda jest jedną z tych nieszczęsnych dziewcząt. Och, Puck, czy nie moglibyśmy jechać trochę szybciej?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Regina od wczesnego dzieciństwa uważała się za ofiarę. Była bystra, więc bardzo szybko uzmysłowiła sobie, że przyszła na świat w jednym tylko celu, a jej narodziny były częścią wielkiego planu ojca, który za wszelką cenę próbował wdrzeć się na salony.

W świecie rządzonym przez wszechwładnych i bezdusznych mężczyzn takich jak jej papa, wuj i dziadek kobiety były jedynie pionkami, przedmiotami sprzedawanymi na matrymonialnym targu w zamian za fortunę lub za tytuł.

Najpierw sprzedano jej matkę i ciotkę Claire, w następnym pokoleniu podobny los miał spotkać ją i jej kuzynkę.

Żadna z nich nie potrafiła się z tym pogodzić. Obie były kompletnie bezsilne i obie się buntowały, każda na swój własny sposób. Hackettówna zamknęła się w sobie i uciekała w świat książek, Burnhamówna otwarcie odgrywała się na rodzicach, postępując nierozważnie i narażając na szwank dobre imię rodziny.

Ani Reggie, ani Miranda nigdy jednak nie przypuszczały, że jedna z nich skończy przedwcześnie na cmentarzu.

Nagle rozległo się głośnie pukanie dobiegające z wnętrza karawanu.

- Jack? Skąd się tutaj wziąłeś? - Regina nie posiadała się ze zdumienia.

Puck otworzył szklane drzwiczki i zajrzał do środka.

- Ty tutaj? Przegrałeś wszystkie pieniądze w karty i nie starczyło ci na własnego konia?

- Kiedy wyjęli trumnę, uznałem, że możecie zabrać mnie jako pasażera. Powiedziałaś jej?

- Powtórzyłem tylko to, co usłyszałem od ciebie. Jest tego więcej?

Starszy Blackthorn zaczął ściągać z siebie łachmany.

- Owszem. Panno Hackett, byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani zwrócić oczęta w inną stronę. Oszczędzi to nam obojgu niepotrzebnych rumieńców.

Odwróciła się, jak prosił, spostrzegłszy, że zaczyna rozpinać spodnie.

- Niezłą zgromadziłeś sobie świętę, bracie - rzekł tymczasem Jack i powiedział to nie bez podziwu. - Nie mam zwyczaju rozdawać na prawo i lewo komplementów, ale muszę przyznać, że zaczynasz mi imponować, szczeniaku.

- Zachowam te słowa w pamięci aż do końca swoich dni. I co dzień będę wspominał je z czułością.

Puck mrugnął do Reginy, ale ta była zbyt podenerwowana i przerażona, aby bawiły ją braterskie przekomarzenia.

- Zabrałeś ze sobą coś do przebrania czy będziesz paradował jak cię Pan Bóg stworzył? W dodatku na oczach damy.

- Tak mi się odpłacasz za to, że wychwalam twoją pomysłowość? Zapamiętam to sobie. Każ swojemu człowiekowi skrócić tym monstrum w lewo.

- Panie Blackthorn! - nie wytrzymała Reggie. - Raczy pan w końcu podzielić się z nami swoją wiedzą, czy nie? - Miała ochotę zamordować ich obu.

- Jack?

- Dobrze, powiem wam wszystko, co wiem. Naprawdę żałuję, że musi pani przez to przechodzić, Regino. Wczorajszej nocy członek staży portowej wypatrył w zatoce niewielką łódź, która wiosłowała w ciemnościach zupełnie nieoświetlona, co słusznie wydało mu się podejrzane. Kazał więc załodze podpłynąć do brzegu w celu przeszukania, lecz wówczas rozległ się głośny plusk czegoś wyrzucanego za burtę. Przeszukanie naturalnie niczego nie wykazało i na tym nasz nieulekły wartownik zakończył swe dzieło. Wybaczcie, ale tego, co muszę wam przekazać, nie da się ująć oględniej. Otóż, nie dalej niż dwie godziny temu coś wypłynęło na powierzchnię i zaplątało się w czyjeś wiosło. Okazało się, że to ciała trzech kobiet, związane, zakneblowane i obciążone łańcuchami. Zupełnie jak beczki rumu, które zwolennicy wolnego handlu wrzucają do wody, gdy na horyzoncie pojawia się kuter celniczy. Tyle że kiedy tym razem kontrabandę wyrzuciło na wierzch, nie zjawił się nikt, kto chciałby ją odzyskać.

Panna Hackett uniosła pospiesznie woalkę, wychyliła się i zwróciła całe śniadanie na trotuar. Puck przytrzymał ją, żeby nie spadła z ławeczki, po czym podał jej chusteczkę.

- Gdzie teraz są? - zwrócił się do brata.

- W dokach. Dobrze się składa, że mamy karawan. Pozwól mi się tym zająć, Puck. Wywieziemy zwłoki i przygotujemy do oględzin. Lepiej, żeby Regina nie widziała ich w takim stanie.

- Wykluczone! - Reggie doszła już do siebie i zasłoniła z powrotem twarz. - Nie chcę czekać, aż uznacie, że już mogę je zobaczyć! Muszę to zrobić natychmiast. Nie zniosę dłużej tej niepewności.

- Skoro tak, chodźmy - rzekł Jack.

- Zdaje się, że nie mamy innego wyboru - stwierdził Robin, spoglądając z troską na Hackettównę. - Bądź dobrej myśli, kotuś. - Ścisnął ją za rękę, żeby dodać jej otuchy, a potem pomógł jej zsiąść na ziemię.

Kiedy Jack pojawił się obok nich, miał na sobie uniform policjanta z Bow Street z charakterystyczną czerwoną kamizelką.

Robin spojrział na niego z uznaniem i rzekł:

- Nie da się ukryć, że jesteśmy nieodrodnymi synami naszej matki. Inne dzieci bawiły się ołowianymi żołnierzami albo uprawiały sporty, my natomiast wdziwaliśmy przemyślnie kostiumy i odgrywaliśmy z mamą kwestie z najświetniejszych dramatów. Zdaje się, że obaj za bardzo to polubiliśmy, nie uważasz, Jack?

- „Zamierzona sztuka będzie probierzem” - zacytował starszy Blackthorn i zaczął przeciskać się przez ciżbę gapiów. Torował przy tym drogę

Puckowi i Reginie oraz ich nietuzinkowemu orszakowi.

- Czy mi się zdawało, czy to był Szekspir? - zapytała ścisłym głosem Reggie.

- Zgadza się. *Hamlet*, akt drugi scena druga. „Zamierzona sztuka będzie probierzem, którym, jak na wędę, sumienie króla na wierzch wydobędę”*. Pasuje do sytuacji jak ulał. Jeżeli nasze podejrzenia się potwierdzą i dopisze nam szczęście, prędzej czy później sumienie twego ojca na wierzch wydobędziem.

* William Szekspir, op.cit. (przyp. tłum.).

- A jeśli nie sumienie, to przynajmniej winę... - powiedziała cicho. Nienawidziła się za to, że nie wierzy w jego niewinność. W końcu chodziło o jej rodzica. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że to właśnie on jest poszukiwanym przez nich złoczyńcą, oznacza-

ło to bowiem, że Mirandę być może da się jeszcze uratować. - Ciała znaleziono niedaleko budynku „Hackett & Harley Company”, prawda? To na pewno coś znaczy... Czuję, że to nie jest zbieg okoliczności...

- Nie myśl o tym teraz. Czeka cię niezwykle przykre i niewdzięczne zadanie.

Skinęła głową, walcząc z kolejną falą mdłości.

- Wytrzymam, nie mam innego wyboru.

Zmarłe ułożono na nabrzeżu na płachcie brezentu.

Chryste, zmiłuj się nad nimi, szepnęła, przyglądając im się z daleka. Śmierć nie obesła się z nimi łagodnie. Miały nienaturalnie wykrzywione kończyny i bose stopy, a ich zastygłe twarze wykrzywiały grymas bólu.

Wszystkie trzy były drobnymi blondynkami.

Regina wiedziała, że musi podejść bliżej, a nawet nachylić się nad zwłokami, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Nagle poczuła, że ktoś odsuwa ją na bok, i ujrzała tęgiego jegomościa o dość onieśmielającej fizjonomii. Mężczyzna podszedł zdecydowanym krokiem do ciał i przykucnął. Tuż za jego plecami stłoczyli się pozostali członkowie świty Robina. Jedna z kobiet spojrzała na nieboszczki, krzyknęła, a potem zalała się łzami.

- Co się dzieje? - zapytała zdezorientowana Reggie.

- Nie musisz na to patrzeć, kotuś - odparł Blackthorn. - Mój nowy znajomy, pan Porter właśnie zidentyfikował ofiary. Pracowały dla niego za życia. A to znaczy, że pan-ny Burnham wśród nich nie ma.

Ulga odebrała jej mowę. Wciągnęła głośno powietrze i padła mu w ramiona.

- Już dobrze, skarbie... - pocieszał ją Puck, gładząc ją po plecach.

Chwilę później podszedł do nich Jack.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, przeniesiemy je do karawanu - zwrócił się do brata.

- Oczywiście. Gaston pojedzie z nimi gdzie trzeba.

- Znakomicie. Wam dwojgu radziłbym niezwłocznie się stąd oddalić. Skorzystajcie z mojego powozu. Czeka za rogiem. Pospieszcie się, ale starajcie się nie zwracać na siebie uwagi. O ile się nie mylę, a mylę się niezwykle rzadko, z tej tam kolaski wysiada

właśnie pan Reginald Hackett. Ponieważ interesowaliście się jego działalnością i ja postanowiłem przyrzeć mu się bliżej. Tymczasem. Spotkamy się w domu.

Hackettówna nie miała odwagi spojrzeć we wskazany przez Johna kierunku, ale była pewna, że miał rację, zwłaszcza kiedy Robin odwrócił ją i zaczęli iść prędko w przeciwną stronę.

Raptem jak spod ziemi wyrósł obok nich tęgi marynarz z dwoma szarymi płaszczami w rękę. Jeden z nich podał Blackthornowi, a drugi narzucił na ramiona Reginie.

- Proszę zdjąć woalkę i nałożyć kaptur - powiedział cicho. - Tędy, proszę. Zaczekam, aż państwo wsiądą. Miło było znów pana zobaczyć, panie Blackthorn, choć nie powiem, żebym patrzył z przyjemnością na tę paskudną brodawkę na pańskim nosie.

- Dziękujemy, Dickie. I niech mi wolno będzie zauważyć, że w tych paskach wygląda pan nad wyraz twarzowo.

- Akurat! Jak zwykle, żarty się pana trzymają. Wyglądam jak pajac, ale o to właśnie idzie. Muszę być widoczny, żeby Jack i Henry mogli pozostać w cieniu. Taka już moja rola, pojmujesz pan?

- A niech mnie! Jest pan mistrzem kamuflażu - skwitował z nieukrywanym podziwem Puck. - Do widzenia. Do rychłego zobaczenia. - Z tymi słowami zostawił Richarda na rogu, a sam wraz z Reginą skręcił w najbliższą uliczkę. - Już niedaleko, kotuś. Jeszcze tylko parę kroków. Zaniosę cię, jeśli chcesz.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie będzie - odparła słabym głosem.

Dotrzymała obietnicy, ale kiedy wreszcie znaleźli się w powozie, rozplakała się i długo nie mogła przestać szlochać.

Puck niejedno w życiu widział i niejedno przeżył ale nigdy dotąd nie czuł się tak bezsilny i bezradny jak teraz.

Obracał w palcach długi czarny klucz, zastanawiając się, czy dzięki niemu odnajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania. Rozmyślał też o tym, jak owe odpowiedzi wpłyną na Reginę.

- Panie Blackthorn?

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z lady Burnham, która wślizgnęła się niepostrzeżenie do gabinetu i spoglądała na niego z lękiem w oczach.

- Milady - odezwał się, skłaniając głowę.

- Właśnie rozmawiałam z siostrzenicą mego męża. Podobno poczyniliście znaczne postępy w śledztwie. Czy to prawda?

- Tak, mamy nadzieję, że niebawem będziemy wiedzieli jeszcze więcej. Proszę, niechże pani spocznie.

- Te nieszczęsne kobiety, które dzisiaj znaleźliście... Nie mogę przestać o nich myśleć. Musiały być przerażone... Jak mogli tak po prostu wyrzucić je do wody jak balast i pozwolić, żeby utonęły? To okrutne...

- Niestety, mamy do czynienia z ludźmi całkowicie pozbawionymi skrupułów. Ale proszę być dobrej myśli. Pani córka jest dla nich niezwykle cenna. Nie zrobią jej krzywdy. Niemniej musi pani liczyć się z tym, że po powrocie lady Miranda będzie szukała w pani oparcia.

- Kiedy, panie Blackthorn? Kiedy zobaczę znów moją córkę? Doceniam pańskie wysiłki, ale coraz trudniej mi wierzyć w szczęśliwe zakończenie tej okropnej historii. Uważam, że siostrzenica mego męża nie powinna angażować się osobiście w dalsze poszukiwania. Wiem, że jest zrozpaczona i że dręczy ją poczucie winy, ale jaka byłaby ze mnie ciotka, gdybym pozwoliła narażać ją na takie niebezpieczeństwo i na tak wstrząsające przeżycia?

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że panna Hackett musiała być świadkiem dzisiejszych wydarzeń. Pani krewniaczka jest jednak wyjątkowo upartą i odważną młodą damą. O wiele odważniejszą, niżby się mogło wydawać. Wicehrabina popatrzyła na niego z namysłem i odwróciła wzrok.

- Myśli, że w sprawę jest zamieszany jej ojciec. Sądzi pan, że to możliwe?

Zawahał się. Nie znał jej dobrze. Nie był pewien, do czego byłaby zdolna w imię ratowania swego jedyne dziecko.

- Obawia się pan, że mogłabym zrobić coś nieroztropnego, prawda? - powiedziała, gdy długo nie odpowiadał. - Boi się pan, że stawiałabym czoła Reginaldowi i zażądała od niego wyjaśnień? Nie jestem aż tak odważna. Chciałabym tylko usłyszeć pana opinię.

- W takim razie moja odpowiedź brzmi tak, sądzę, że pani szwagier może być członkiem lub nawet prowodyrem szajki, którą próbujemy namierzyć i rozbić. Ale rów-

nie dobrze może to być ktokolwiek inny. Prawdę mówiąc, modlimy się, żeby to był Hackett, w przeciwnym razie...

- Nigdy nie odzyskamy Mirandy... - dokończyła z żalem lady Burnham. - Oddałabym wszystko, żeby móc znów przytulić córkę, ale niepokoję się także o siostrzenicę mego męża. Nie chciałabym, żeby spotkało ją coś złego. Jeśli obstaje przy tym, że musi panu pomagać, proszę pilnować jej jak oka w głowie. Wiem, że potrafi pan ją ochronić. Jeszcze raz dziękuję za to, co pan dla nas robi. Zaczny z pana człowiek. - Kiedy podniosła się z kanapy, Puck podał jej ramię i poprowadził ją korytarzem ku schodom.

- Mam nadzieję, że nie zawiodę pani zaufania - powiedział, całując ją na pożegnanie w policzek.

Muszę się napić, doszedł do wniosku, gdy wrócił do gabinetu. Miał poczucie, że zabawia się w Boga, a przecież nie jest wszechmocny. Jest tylko człowiekiem, w dodatku dalekim od doskonałości. Jeżeli zawiedzie, Burnhamówna oraz pozostałe uprowadzone dziewczęta będą zgubione, lady Claire nigdy nie dojdzie do siebie, a Regina nie będzie mogła spojrzeć mu w twarz, nie rozpamiętując jego porażki. On także nie będzie potrafił zapomnieć o takim niepowodzeniu.

Podszedł do stolika z alkoholem i nalał sobie brandy. Wyczuł obecność Johna, jeszcze zanim ten się odezwał.

- Znakomicie to rozegrałeś, bracie - rzekł Jack. - Biedna wicehrabina znalazła się między młotem i kowadłem. Drży o swe ukochane dziecię, a jednocześnie martwi ją niepewna przyszłość siostrzenicy jej męża. Wierzy, że zdołasz uratować tę pierwszą i dlatego gotowa jest przymknąć oko na to, że zrujnowałeś tę drugą. To zresztą całkiem zrozumiałe, w końcu ważą się losy jej córki, więc czymże jest przy tym utracona cnota młodej krewniaczki? Zwykłą igraszką jeno, jak by to ujęła nasza matka. Wie, że nie może ufać Hackettowi ani tym bardziej liczyć na męża, niewypłacalnego nieudacznika. Dlatego właśnie postawiła na ciebie i właśnie dała ci to do zrozumienia. Zawsze mówiłem, że niewiasty są znacznie przebieglejsze i praktyczniejsze od nas, mężczyzn.

Robin obejrzał się i spojrzał na brata, który rozsiadł się wygodnie w jednym z foteli.

- O, jakże ci jestem wdzięczny za tę przenikliwą analizę. A skoro już jesteś w nastroju do głębokich refleksji, może pokusisz się o następną?

Chętnie usłyszę, co masz do powiedzenia na temat matki panny Hackett.

Starszy Blackthorn wzruszył ramionami.

- Lady Letycji? Coś mi się widzi, że łatwo się jej nie pozbędziesz. Zaoferowałaś jej azyl, z którego nie ma ochoty rezygnować. Oceśniła sytuację i oszacowała korzyści, które może czerpać z niej dla siebie. Podobnie jak bratowa, uznała, że warto poświęcić wianek córki, jeżeli ma to oznaczać, że ona sama zazna choć odrobiny wytchnienia od więzienia, w którym żyje od bez mała dwóch dekad. Jestem pewien, że jeżeli Regina doniosła jej o naszych podejrzeniach wobec Hacketta, droga Letty wznosi teraz modły do Boga, aby okazało się, że jej znienawidzony małżonek jest winny i w związku z tym zawiśnie za swoje haniebne zbrodnie, pal lichu niewyobrażalny skandal. Najważniejsze, że ona raz na zawsze się od niego uwolni. Bez względu na to, czy zawinił w tej konkretnej sprawie, należałoby uwolnić od niego resztę ludzkości. Uwierz mi, to nie jest miły człowiek.

- Za to wielce tajemniczy. Nawet jego pracownicy niewiele o nim wiedzą.

- Widocznie przekupiłeś nie tego, kogo trzeba. Ale rozumiem, miałeś zbyt wiele na głowie; smaliłeś cholewki do panny i jednocześnie rekrutowałeś swoją niezwykłą armię. Szczerze winszuję jednego i drugiego zresztą. A co się tyczy pana Reginalda, to spieszę donieść, że już jego papa był handlarzem niewolników, zdaje się, że to taka rodzinna tradycja. Tak czy inaczej, Hackettowie zbili fortunę na frymarczeniu ludźmi jeszcze w czasach, kiedy było to całkowicie legalne, a nie tak jak teraz karane stryczkiem. To wyjątkowo intratny biznes, zapewne dlatego niektórzy parają się tego rodzaju działalnością pomimo zakazów.

- Po tym, co dziś zobaczyliśmy, należy założyć, że ten człowiek to wyjątkowa kania, która nie cofnie się przed niczym. Pamiętasz łańcuchy, którymi skuli ofiary? Nie pojmuję, jak można uprowadzić bezbronną i przerażoną kobietę, związać ją i zatkać jej usta, żeby nie była w stanie błagać o łaskę, a potem wrzucić ją do wody, żeby utonęła? Jak można wykazać się takim okrucieństwem, Jack? Wytłumacz mi to.

- Nie potrafię, ale jedno mogę ci obiecać. Dowiemy się, kiedy już złapiemy te hieny. Zapytasz ich, o co będziesz chciał, ale potem zdasz się na mnie. - John spojrział na

brata nieprzejednanym wzrokiem. - Odejdiesz i zostawisz ich mnie i moim ludziom. Czy wyrażam się jasno?

- Jaśniej nie można - odparł Puck. - Zgoda. Nie będę się sprzeciwiał. I już nigdy nie zakwestionuję twoich metod. A więc nasz drogi Dickie nie jest jednak aż takim durnym bufonem, za jakiego go miałem?

- Cóż, pozwoliliśmy ci uważać go za dumia i nieudacznika, żeby ułatwić ci życie. Doceń to. W rzeczywistości Richard jest najodważniejszy z nas wszystkich. Trzeba mieć nerwy ze stali, żeby co dzień wystawiać się w ten sposób nie tylko na śmieszność, lecz także na niebezpieczeństwo. Przyznasz chyba, że pan Carstairs znakomicie odgrywa swoją rolę?

- Owszem, nie przeczę - zgodził się chętnie Robin. - Wszyscy zresztą odgrywamy jakieś role, czyż nie? - dodał z rozrzewnieniem. - Z wyjątkiem może Beau. Nasz braciшек nie musiał grać żadnych komedii, odnalazł to, czego szukał, choć na dobrą sprawę nie wiedział nawet, że tego szuka.

- A ty? Znalazłeś to, czego szukałeś w pannie, która odpoczywa teraz na górze? Muszę powiedzieć, że działałaś z nią prawdziwe cuda. Nie sądziłem, że tak szybko wkradniesz się w jej łaski. I do jej sypialni.

- Prawdziwym cudem będzie, jeśli zdołam utrzymać ją przy sobie. Na razie nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Może ty coś mi podpowiesz?

- Ja? Miałbym ci doradzać, jak utrzymać przy sobie kobietę? Obawiam się, że skierowałaś swoje pytanie do niewłaściwej osoby.

Jack rzadko się przed kimkolwiek otwierał. Ale na jego pancerzu właśnie pojawiała się rysa. Puck postanowił pójść za ciosem i spróbować wziąć go na spytki.

- Czyżbym wdarł się niechcący na zakazane terytorium? - zagadnął od niechcienia.

- Czego się dowiedziałeś w składzie u Hacketta?

- Wygodna zmiana tematu to najlepsza odpowiedź na moje pytanie, wiesz o tym? Rozumiem, chcesz pozostać zagadką. A wracając do rzeczy, kiedy tam szedłem, nie przypuszczałem, że zdobędę jakieś cenne informacje. Chciałem tylko wejść do środka i trochę się rozejrzeć. Aha, no i jeszcze zamierzałem wynieść ze sobą to. - Robin uśmiech-

nał się i wyjął ukradziony Lamottowi klucz. - Miałbyś ochotę wybrać się ze mną do doków i trochę pomyszkować?

John nie odwzajemnił uśmiechu. W ogóle rzadko się uśmiechał.

- Musimy to zrobić jeszcze dzisiaj. Do jutra zdążą wymienić zamki. Hackett nie jest przecież idiotą.

- Jest za to potworem - usłyszeli od progu głos Reginy i obydwaj podnieśli się z miejsc.

Puck zerknął na brata i powiedział bezgłośnie: Pamiętaj, ona z nami nie idzie. Potem podszedł do Hackettówny i ujął ją za rękę.

- Ustaliliśmy przecież, że do końca dnia zostaniesz w łóżku - powiedział z łagodnym wyrzutem. - Byłaś świadkiem okropnych rzeczy. Przeżyłaś wstrząs...

- Przeciwnie. Nareszcie przejrzałam na oczy i nie mam zamiaru się nad sobą rozczulać. Użałam się nad własnym losem niemal przez całe życie, ale już wystarczy. Wydawało mi się, że jestem ofiarą okoliczności, przedmiotem, który zachłanny rodzic sprzeda temu, kto zapłaci najwięcej. Do dziś nie wiedziałam, co naprawdę znaczy być sprzedanym albo traktowanym jak rzecz. Wstyd mi za samą siebie, bo nigdy nie musiałam cierpieć głodu ani chłodu. Nigdy nie zaznałam też prawdziwego strachu. Moje kajdany nie są prawdziwe. Jeśli znajdę w sobie dość odwagi, mogę je z siebie zrzucić. Mogę się sprzeciwić i podążyć drogą którą sama dla siebie obiorę. Mówiłam wielokrotnie, że pragnę być przy Mirandzie, gdy ją odnajdziemy, i nie zmieniłam zdania. Od wczoraj zmieniło się tylko jedno. Teraz chcę tam być nie tylko dla kuzynki, lecz także dla pozostałych kobiet, które padły ofiarą mego okrutnego ojca i jemu podobnych szubrawców.

- Brawo, Regino! - Jack klasnął w dłonie i spojrzał na nią z nieukrywanym podziwem. - Przypomina mi pani pewną damę, którą kiedyś znałem... Puck, wiem już jak odpowiedzieć na pytanie, które mi wcześniej zadałeś. Twoja pani jest nieugięta i harda. Kobiet takich jak ona nie należy mylić ze słabymi damulkami, które nieustannie potrzebują naszej opieki. Jeśli jej teraz odmówisz, stracisz ją na zawsze. Pozwólcie, że was teraz opuszczę. Spotkamy się o północy w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy się rano. Ubierzcie się stosownie do okazji.

Regina prawie nie zwracała na niego uwagi. Podała mu dłoń na pożegnanie, ale cała jej uwaga skupiała się na Robinie.

Wpatrywała się w niego z wyzwaniem w oczach i zaciętą miną. Wiedział, dokąd zaprowadzi ich rozmowa, i wcale mu się to nie podobało.

Na szczęście, nie powiedział na głos, że jest uparta jak osioł, choć kusiło go, żeby to zrobić.

Powiedział za to coś innego, choć z pewnością nie pomogło to jego sprawie.

- Skąd pomysł, że nam się na coś przydasz? Przypuszczam, że będziesz jedynie zawadzać.

Przewróciła oczami.

- Zawadzać? Zatem twierdzisz, że będziesz musiał się o mnie martwić zamiast zając się swoim zadaniem, czy dobrze rozumiem? Czy dzisiaj rano choć przez chwilę byłam zawalidrogą albo sprawiałam jakieś kłopoty?

- Zwymiotowałaś! I uwaliałaś przy tym konie. - Och, milcz lepiej, człowieku, jeśli ci życie miłe, skarcił się w duchu.

- A ty oczywiście musiałeś mi to wypomnieć, prawda?! - odcięła się. - Nie byłbyś sobą, gdybyś tego nie zrobił. - Zyskał jedynie tyle, że jej mina zrobiła się jeszcze bardziej zacięta niż przed chwilą. Wyglądała olśniewająco, kiedy była rozsierdzona.

- Regino, na litość boską, bądźże rozsądna. - A niech to, użył niewłaściwego słowa.

Ze wszystkich słów, jakich mógł użyć w zaistniałych okolicznościach, wybrał akurat to najgorsze. Nigdy, ale to nigdy nie należy prosić kobiety o zachowanie rozsądku. One zawsze są rozsądne. Przynajmniej we własnym mniemaniu.

- To ty powinieneś pójść po rozum do głowy - rzekła bez ceremonii. - Miranda to moja kuzynka, a budynek, do którego zamierzacie się zakraść, należy do mojego ojca. Jeśli sądzisz, że zostanę w domu i zajmę się robótkami, podczas gdy ty będziesz zbawiał świat i przy okazji ratował Randy, to grubo się mylisz! Nie wyjdę stąd, dopóki nie obiecasz, że mnie ze sobą zabierzesz. - Podeszła do kanapy i usiadła z założonymi rękami. - Jest mnóstwo rzeczy, przy których mogę wam pomóc. Mogę stanąć na czatach, przeszucać szuflady albo przejrzeć księgi rachunkowe. Na pewno się na coś przydam!

Puck spróbował postawić się na jej miejscu. Doskonale ją rozumiał. Gdyby miał na sobie jej buty, wiedziałby dokładnie, w którym miejscu piją. Widziała dzisiaj ciała zamordowanych kobiet. Sądziła, że za ich śmierć odpowiada jej własny ojciec. Bez wątplenia była rozdarta. Pragnęła go zdemaskować, a jednocześnie łudziła się, że jest niewinny. Jak powiadają, krew nie woda.

„Jeśli jej teraz odmówisz, stracisz ją na zawsze”. Nie znał przeszłości brata, ale z jego słów wynikało, że znalazł się kiedyś w podobnej sytuacji i popełnił błąd, który wiele go kosztował. Zaprzepaścił szansę na szczęście u boku kobiety, którą kochał.

- Dobrze, wygrałaś! - wykrzyczał podenerwowanym głosem. - Ustępuję, ale tylko dlatego, że nie dajesz mi wyboru. I klnę się na Boga, kobieto, że jeśli choćby raz zadasz mi pytanie, zakwestionujesz moją opinię albo nie posłuchasz, kiedy każę ci coś zrobić, to własnoręcznie cię uduszę! Zrozumiano?

Skinęła posłusznie głową.

- Tak, Puck - powiedziała potulnie. - Dziękuję, że się zgodziłeś.

Uśmiechnęła się zwycięsko, co wzmocniło w nim poczucie klęski. Rok temu widział podobny uśmiech na twarzy bratowej, po tym jak wymogła na Beau zgodę na jeden ze swych postrzelonych pomysłów. Najgorsze było to, że w duchu naśmiewał się wówczas z „biednego” braciszka. Gdy trzeba powiedzieć „nie” kobiecie, na której im zależy, mężczyźni są z góry skazani na porażkę. Nie potrafią niczego odmówić swoim paniom. Wszyscy z wyjątkiem Johna, który najwyraźniej odmówił o jeden raz za dużo i do tej pory tego żałował.

- Chodź. Nie mamy zbyt wiele czasu - mruknął szorstko, po czym wziął ją za rękę i pociągnął na korytarz.

Skoro uparła się, że chce oglądać te wszystkie okropieństwa, trudno, jej wola. Zaprowodzi ją do swego pokoju na górze i znajdzie dla niej jakieś przebranie. Pomoże jej się nawet ubrać i pozapinać guziki, a potem nie odstąpi jej na krok. Chryste, ależ z niego skończony dureń!

Regina wiedziała, że powinna się wstydzić, ale nie miała na to ani czasu, ani ochoty. Choć dosłownie zmusiła Pucka, żeby pozwolił jej ze sobą jechać, o dziwo nie miała

wyrzutów sumienia. Zresztą to jego wina. Gdyby zgodził się od razu, nie musiałaby postąpić jak despotka.

Była przekonana, że za uprowadzeniami kobiet, które mnożą się od niedawna w Londynie, stoi Reginald Hackett, a może raczej, miała taką nadzieję... Ze względu na zaginione dziewczęta byłoby lepiej, gdyby to właśnie jej ojciec okazał się głównym winowajcą. Naturalnie, miała także własne powody, aby pragnąć jego winy...

Tak czy owak, trzeba się było raz na zawsze upewnić...

- Co znowu? - zapytała, widząc, że Robin przygląda jej się z niezdecydowaną miną. - Chyba nie zmieniłeś zdania?

- Nie - odparł zwięźle. - Sęk w tym, że jak widzę, żaden z kostiumów Gastona się dla ciebie nie nada. Hm... co my tu mamy? Wdowa, ulicznica, matrona... nic z tego. Zostań tu i nie ruszaj się, zaraz wracam - Z tymi słowy wyszedł z gotowalni.

- Tak jest, jasnie panie - wymamrotała pod nosem i bynajmniej nie została na miejscu.

Przeszła do sypialni i stanęła przy toalecie. Przyglądała się przez chwilę leżącym na niej przedmiotom, aż w końcu wzięła do ręki puzderko na biżuterię. W środku znalazła między innymi złoty sygnet z ogromnym czarnym onyksem. Przypomniała sobie, że John miał na palcu podobny.

- Podarunek od matki - usłyszała za plecami i podskoczyła jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. - Każdy z nas dostał taki na dwudzieste pierwsze urodziny. Beau wymienił swój w czasie wojny na żywność dla regimentu, który pod nim służył.

- Nie byłam wścibska - usprawiedliwiała się niezręcznie. - Chciałam tylko popatrzeć i... No dobrze, przyznaję, byłam wścibska. Czemu trzymasz go w pudełku?

- Pewnie dlatego, że wciąż nie jestem pewien, czy wygrawerowane w oczku „B” to pierwsza litera słowa „Blackthorn”, czy może raczej „bękart”. Nasza mama ma dość przewrotne poczucie humoru. Zastanawiam się, dlaczego Jack nosi to чудо... Muszę go o to kiedyś zapytać... Znalazłem ci coś do ubrania.

Dopiero teraz zauważyła, że Puck nie wrócił z pustymi rękoma.

- Chcesz, żebym włożyła spodnie?!

- Nie, kotuś. Chcę, żebyś została w domu i czekała spokojnie na mój powrót, ale skoro obstajesz przy swoim i pragniesz koniecznie mi towarzyszyć, pojedziesz w portkach. Nie zamierzam biedzić się z halkami i spódnicami, kiedy przyjdzie co do czego i okaże się, że trzeba uciekać, a tobie akurat zaplątały się nogi. Gaston jest chudy, więc jego rzeczy powinny mniej więcej na ciebie pasować. Na co czekasz? Rozbieraj się.

- Teraz? - W pokoju było mnóstwo świec i raptem przypomniała sobie o skromności. Wprawdzie wczoraj widział już wszystko, co było do zobaczenia, ale to jeszcze nie znaczy, że będzie co dzień paradować przed nim naga. Jeszcze nie całkiem wyzbyła się wstydu. - Może powinnam poprosić o pomoc Hanks.

- Nie odbieraj mi tej przyjemności, skarbie. Powiedziałem, że nie mamy zbyt wiele czasu, ale zdążymy. - Odłożył przyniesione ubranie na bok i podszedł do niej z wymownym uśmiechem.

Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale jej ciało mówiło zupełnie co innego.

- Ty też się przebierzesz? - zapytała z miną niewiniątka.

W odpowiedzi rozwiązał fular i zaczął rozpinać koszulę.

- Jesteś niemożliwy, wiesz o tym? - Zrobiła krok w tył i wlepiła wzrok w jego obnażony tors.

- Jestem nie tylko niemożliwy, lecz także na wpół rozebrany, czego nie można powiedzieć o tobie.

Wiedziała, o co mu idzie. Próbował odwrócić jej myśli od tego, co widziała dziś rano, i od reszty kwestii związanych ze zniknięciem Mirandy. Jego taktyka o dziwo sprawdzała się w stu procentach.

Kiedy stanął przed nią w samych bryczesach, miała już zupełnie sucho w ustach. Był taki piękny...

Drżącymi palcami sięgnęła do guzików gorsetu ściskającego za duży zdaniem jej matki biust. Na szczęście, przestała przejmować się jego rozmiarami. Ubiegłej nocy Puck wcale nie narzekał...

Pozbyła się sukni i spuściła wzrok. Miała na sobie wyłącznie koszulę, kapcie i ognisty rumieniec.

- Chciałbym, żebyś przed wyjściem udowodniła, że będziesz mi całkowicie uległa i posłuszna. Zgadzasz się?

Nawet jej jeszcze nie dotknął, a już drżała w radosnym wyczekiwaniu.

- Tak, zgadzam się - powiedziała cicho.

Pewnie znów przemówiła krew babki Hackett...

Kiedy do niej podszedł i poczuła na sobie jego dłonie, zapomniała o babce i o wstydzie. Po kilku minutach zapomniała o wszystkim, o koszmarze, którego niedawno była świadkiem, i o strachu przed tym, co jeszcze mogło się wydarzyć. Świat skurczył się do rozmiarów jednej sypialni i liczyli się tylko oni dwoje.

TLR

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdyby dziś umarł i ocknął się w piekle, nie pytałby, dlaczego odmówiono mu wstępu do nieba. Puck doskonale wiedział, za co skazano by go na wieczne męki.

Regina poszłaby za nim wszędzie, bez zbędnych pytań i bez wahania. Dlatego nie potrafił sobie wybaczyć, że zabrał ją ze sobą do jaskini Iwa. Ta wyprawa mogła się źle skończyć. Drżał na samą myśl o tym, że ktoś mógłby wyrządzić jej krzywdę.

Mimo poczucia winy, przyglądał jej się z niekłamanym podziwem, kiedy siedziała przy biurku Silasa i z uwagą przeglądała księgi. Jej odwaga i inteligencja nie miały sobie równych.

- Pan Lamott nie kłamał - powiedziała, podnosząc na niego wzrok. - W rejestrze wymienione są dwadzieścia trzy statki, ale żaden z nich nie nazywa się „Pride & the Prize”. A przecież właśnie widzieliśmy go na zewnątrz przy pomoście.

- W dodatku jest gotowy do załadunku - dodał John, który dołączył do nich w biurze. - To miejsce przypomina rozmiarami pałac Buckingham, ale niewątpliwie ustępuje temu ostatniemu pod względem walorów estetycznych. Większość skrzyń i paczek jest opisana. Przejrzałem je i nie znalazłem niczego, co ma trafić na „Pride & the Prize”. Cokolwiek chcą umieścić w ładowni, nie trzymają tego tutaj. Na kiedy planują wypłynięcie z portu?

- Silas twierdził, że ruszają za dwa dni - dopowiedział Robin. - Ale mogą mieć opóźnienie. Stracili część... „towaru”. Trzy kobiety nie żyją, więc pewnie zamierzają zastąpić je innymi.

- Ojciec w kółko powtarza, że w Londynie nigdy nie można czuć się bezpiecznie - rzekła Regina, wygładzając spodnie. - Zwłaszcza dzisiaj...

- Pan Porter ostrzegł swoich... nazwijmy to, kolegów po fachu. Uradzili wspólnie, że nie wypuszczą dziś dziewcząt na ulicę. Nie sądzę jednak, aby byli skłonni wstrzymać ruch w interesie na dłużej niż jedną noc. Biznes to biznes. Zagaś świecę, kotuś. Wychoodzimy. Obejrzymy sobie teraz to wiszące cudeńko na górze.

Puck rozgiął dla niepoznaki obręcz spinającą klucze, zaś czarny klucz, który wcześniej ukradł, wsunął pomiędzy porozrzucane na stole papiery. Może pomyślał, że spadł z kółka przypadkiem...

Zresztą i tak zamierzali wyłamać zamki, żeby upozorować włamanie. Nie mieli innego wyjścia, zwłaszcza że na zewnątrz leżeli dwaj ogłuszeni i związani wartownicy. Lamottowi raczej nie wpadnie do głowy, że w składzie myszkował pan Claridge...

- Co u Henry'ego i Dickiego? - zwrócił się do brata, gdy zmierzali ku schodom. - Ile wynieśli skrzyń?

- Uznali, że cztery w zupełności wystarczą. Są wielkie, więc pracownicy od razu się zorientują, że coś zginęło. Richard ma nadzieję, że znajdzie w środku herbatę albo jakieś przedniej jakości taniny. Jego mama ma ponoć słabość do francuskich jedwabów.

- Naprawdę sądzicie, że mój ojciec przełknie tę bajeczkę o włamaniu? - zapytała sceptycznie Regina. Dzięki spodniom nie miała najmniejszego kłopotu, aby dotrzymać im kroku. Robin pomyślał, że będzie miał nie lada kłopot, jeśli jego pani zanadto przywyknie do portek. Z drugiej strony nie miał nic przeciwko temu, by oglądać jej apetyczne damskie kształty w najlepszych bryczesach Gastona.

- Pewności nigdy mieć nie można, ale próbować trzeba - odparł Jack, posyłając jej uśmiech.

- Przyznaj, bracie, czujesz się jak ryba w wodzie.

- Cóż, nie zaprzeczę. Są chwile, gdy praca przynosi mi satysfakcję. - Kiedy dotarli do podnóża schodów, Jack ruszył przodem. - Trzymajcie się poręczy. Nie chciałbym zakończyć wieczoru zbieraniem was z podłogi.

Hackettówna szła za Johnem, a Robin ubezpieczał jej tyły.

- Zostaniesz na schodach, dopóki nie zajrzemy do środka - przypomniał na wszelki wypadek.

- Tak, pamiętam. Obiecałam ci - odparła zrzędlawie.

Żałował, że jest ciemno i nie może podziwiać jej w pełnej krasie. Na pociechę klepnął ją w pupę. Zachwiała się i niemal spadła ze stopnia.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać - szepnął, pomagając jej odzyskać równowagę.

- Jakoś wątpię w szczerą twoich przeprosin.

- Tak jak się spodziewaliśmy, zamknięte na klucz - oznajmił tymczasem John. - Na tych drzwiach nie możemy pozostawić śladów włamania. Bracie, do dzieła.

Puck przyklęknął i wyjął zza pazuchy mały skórzany woreczek - „przybornik fachowca”, jak go nazywał Gaston. Oby nauka nie poszła w las, pomyślał, wybierając jeden z wytrychów. Pomajstrował chwilę przy zamku, po czym sięgnął do klamki.

- Voilà!

Już od progu uderzył go w nozdrza ostry fetor. Pomieszczenia były puste, ale w powietrzu unosiła się woń zepsutego jedzenia, potu i odchodów. Przez moment wydawało mu się, że czuje także zapach strachu.

- Co tu się stało? - spytała z przerażeniem Regina, zakrywając usta dłonią.

- Stój spokojnie, skarbie - szepnął, zapalając świecę. - I nawet nie myśl o tym, żeby teraz zwymiotować.

Po lewej stronie izby stały biurko oraz dwa krzesła. Sprawdził szufladę, ale okazała się pusta. Okna zasłonięto skózanymi storami, które przybito do drewnianych ram. W kącie umieszczono dwa duże wiadra, niewątpliwie służące za nocniki. Na podłodze leżały sienniki, przy których tkwiły grube drewniane słupki. Poza tym w pokoju nie było żadnych innych sprzętów.

- Przykuwano je do tych palików łańcuchami - odezwał się Jack. - Przypuszczam, że miały spętane kajdanami nogi i ręce. Możecie sobie wyobrazić koszmar, który przeżyły? Prawie w ogóle nie mogły się ruszać... Zamknięte w ciemnym i ciasnym więzieniu, pod nieustannym nadzorem strażnika... Zgotowali im prawdziwe piekło na ziemi. Naliczyłem dwa tuziny posłań, jeśli wszystkie były zajęte, porwali dwadzieścia cztery osoby. Ale nim statek wypłynie na wody Morza Śródziemnego, zatrzyma się jeszcze w wielu angielskich portach. Cały transport będzie prawdopodobnie liczył co najmniej sto kobiet, w przeciwnym razie interes byłby nieopłacalny. Zysk niewspółmierny do ryzyka. Ciekaw jestem, ile rejsów rocznie odbywa „Pride & the Prize”...

- Dwa. - Puck spojrział z niepokojem na Reginę, która weszła do środka i zaczęła się rozglądać. W pewnej chwili ukucnęła i podniosła coś z ziemi. - Nie dotykaj tego, kołtuś. Tu jest okropnie brudno...

Zignorowała jego słowa, jakby w ogóle ich nie usłyszała.

- Poznaję to... - powiedziała kamiennym głosem. Kiedy się do niego odwróciła, jej oczy były okrągłe jak spodki. - To strzep sukni Mirandy - dodała, unosząc w dłoni kawałek kremowego jedwabiu.

Robin zaklął pod nosem i zwrócił się do brata:

- Muszę ją stąd zabrać. To nie miejsce dla niej. Dość już dziś widziała.

- Randy tu była... Wiedziałam, że się do czegoś przydam. Teraz mamy pewność. O Boże, Puck, gdzie ona jest? Co oni z nią zrobili?

Wszyscy troje odwrócili głowy na dźwięk gwizdka. Był to sygnał ostrzegawczy od Henry'ego i Richarda, którzy stali na czatach.

- Mamy towarzystwo - rzekł Jack, gasząc pospiesznie świecę. - Zagwizdali dziesięć razy, a więc jest ich aż dziesięciu. Diabli nadali! Musimy czym prędzej zejść na dół. Dickie i Henry zajmą ich przez kilka minut. Pospieszcie się. Biegiem, biegiem!

Niewiele myśląc, Puck przerzucił sobie Hackettównę przez plecy i chwycił ją mocno za nogi. John pędził pierwszy z pistoletami w dłoniach. Byli na wysokości co najmniej czterech pięter. Droga w dół w kompletnych ciemnościach dłużyła się w nieskończoność, a ich ciężkie kroki odbijały się echem od drewnianej podłogi.

Robin gnał na złamanie karku, przeklinając w duchu własną głupotę.

Wszystko na nic. Hackett zapewne został poinformowany o zniknięciu klucza i zwiertzył podstęp. Zdążył przenieść uprowadzone kobiety w inne miejsce, a na straży zostawił tylko dwóch łatwych do obezwładnienia wartowników. Trzeciemu człowiekowi kazał pewnie schować się wewnątrz budynku i spokojnie poczekać, aż zwierzyna znajdzie się w pułapce na górze. Potem wystarczyło dać sygnał i wezwać posiłki. Gdyby Carstairs i Sutton ich nie ostrzegli, nie mieliby żadnych szans na ucieczkę.

Tylko dlaczego, do diaska, Jack tego nie przewidział? W końcu jest zawodowym... jakkolwiek się to nazywa. Reginald nie może się dowiedzieć, że jednym z intruzów jest jego własna córka. W męskim odzieniu nie powinien jej rozpoznać. Chyba że ich złapią. Nie! Nie mogą ich schwytać. Taki scenariusz nie wchodzi w rachubę. Chryste, kiedyż wreszcie skończą się te schody?

Każda sekunda była na wagę złota. Gdy był już niemal na dole, postanowił zaryzykować i zeskoczyć z kilku ostatnich stopni. Kolana niemal się pod nim ugięły, ale zdołał utrzymać równowagę. Regina straciła na moment oddech i wciągnęła głośno powietrze.

- Wybacz, kotuś - przeprosił szeptem i pobiegł za bratem.

Dickie i Henry opóźnią nadejście zbirów Hacketta, ale w końcu sami będą musieli ratować się ucieczką.

Jack nie sprawiał wrażenia szczególnie zaniepokojonego przebiegiem zdarzeń. Wręcz przeciwnie, wyglądał jakby miał ochotę wdać się w bójkę. W istocie, przyszedł tu uzbrojony po zęby, jakby się spodziewał, że dojdzie do walki. A mimo to kazał mu zabrać ze sobą Reginę! Nieczuły sukinkot, który nie dba o nic i o nikogo! Niech go piorun strzeli!

Kiedy przeglądali księgi, John obszedł cały magazyn. Może znalazł drugie wyjście albo chociaż wie, gdzie owego wyjścia szukać. Oby miał jakiś plan, bo jeśli ich stąd nie wyprowadzi, ukatrupi go nie złoczyńca, lecz jego własny brat.

- Tędy! - zawołał starszy Blackthorn. - To gdzieś tutaj. Dickie odkrył sekretne przejście, kiedy przyszedł wcześniej na zwiad. Muszę policzyć kroki, żeby odmierzyć właściwą odległość. Nasi panowie powinni czekać na nas na zewnątrz, ale równie dobrze możemy natknąć się na Hacketta. Ten człowiek niestety nie jest durniem.

- Ach, więc jednak jest druga droga ucieczki? Jak to miło, że o tym wspominasz. Szkoda tylko, że tak późno.

- Nie marudź, braciszku. Wiesz, że nie lubię się niczym dzielić. Zwłaszcza informacjami.

Puck postawił Reginę na ziemi i zaczął pomagać Johnowi odsuwać od ściany zasłaniające ją skrzynie. Były puste, a więc ustawiono je tam tylko dla pozorów.

- Nie marudzę, mówię tylko, że jesteś zuchwałym osłem, ale chyba o tym wiesz.

- Mimo to ufasz mi. Nie mniej, niż ja ufam tobie.

- Och, doprawdy? Myślę, że powinniśmy przewartościować naszą wzajemną relację, zwłaszcza w kwestii zaufania. Znalazłeś? Wspaniale. Kotuś, wychodzimy. Pora opuścić to urocze miejsce. Jack, zabierzesz Reginę ze sobą. Ja mam tu jeszcze coś do załatwienia.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie i chwyciła go za ramiona. - Nie możesz zostać w tyle!

Cmoknął ją w czoło.

- Dałaś słowo, że nie będziesz mi się sprzeciwiać, pamiętasz?

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Idziesz z Jackiem.

Starszy Blackthorn otworzył właśnie właz, który odkryli w murze.

- Dick mówi, że to tunel prowadzący do drewnianej szopy - objaśnił zwięźle. - Nie wiadomo, co w niej jest. Nie wchodził do środka z obawy, że zostanie odkryty. Tak czy owak, musimy być ostrożni.

Niech to diabli, pomyślał Robin. Nie znosił małych i ciasnych pomieszczeń, odkąd jako sześciolatek został przypadkowo zatrzaśnięty w stajennej spiżarni pełnej cztero- lub sześciornogich stworzeń. Brat wiedział o jego fobii i pewnie dlatego nie napomknął wcześniej o dodatkowym wyjściu.

- Dasz radę, Puck?

Każdy dureń dałby radę, a skoro tak, on też sobie poradzi. Musi sobie poradzić. Poza tym John przeczołga się pierwszy, więc to on przepędzi po drodze wszystkie gryzoni i insekty. Nie żeby Robin bał się insektów czy gryzoni. A nawet jeśli się bał, to za nic by się do tego nie przyznał.

- Bez obaw - odparł krótko.

- Prześlizgnę się na wznak - odezwał się Jack, wciskając pistolet za pas. Drugi trzymał w gotowości. - Regino, chwycisz mnie za łydkę, żebym cię nie zgubił. Potem mnie puścisz i zaczekasz z wyjściem z tunelu, aż sprawdzę, czy na zewnątrz jest bezpiecznie. Zrozumiałas?

- Tak.

- W takim razie, chodźmy. Puck, dam ci znać, czy droga wolna.

Kiedy zniknęli we włazie, Robin wyjął z buta sztylet i schował się pomiędzy stosami skrzyń. Czekał. Nie trwało to dłużej niż minutę, ale była to bodaj najdłuższa minuta w jego życiu. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki się nie upewni, że jego ukochanej nic nie grozi.

Nadstawił uszu i spróbował dojrzeć cokolwiek w egipskich ciemnościach. Po chwili rozległy się ciężkie kroki i podniesione głosy, wykrzykujące polecenia. Wnętrze budynku wypełniło się ludźmi. Z pewnością było ich więcej niż dziesięciu. Widocznie Henry nie zdążył odgwizdać wszystkich. Robili przy tym tyle hałasu, że prawdopodobnie obudzili większość zmarłych z najbliższego cmentarza. Ten harmider miał zapewne śmiertelnie wystraszyć intruzów.

W międzyczasie Puck usłyszał coś jeszcze i to całkiem blisko. Miał rację. W składzie był ktoś jeszcze. Ów ktoś czekał tu na nich od samego początku. I wiedział o sekretnym przejściu. Był to prawdopodobnie jeden z najbardziej zaufanych podwładnych Hacketta. A to oznaczało, że jest wtajemniczony w wiele spraw swego chlebodawcy.

Skradał się bardzo powoli, niemal zgięty wpół, ale popełnił jeden zasadniczy błąd. Trzymał nóż przed sobą, na wyciągnięcie ręki, co znacznie ułatwiło zadanie Blackthornowi.

Wytrąciwszy broń nieznajomemu, Robin ogłuszył go rękojęścią własnego sztyletu. Mniej więcej w tym samym momencie Jack zagwizdał na znak, że po drugiej stronie nie spotkała ich żadna przykra niespodzianka. Mógł spokojnie uciekać, ale zawahał się.

Typek, którego powalił przed chwilą na ziemię, niewątpliwie znajdował się w posiadaniu wielu cennych informacji. Kto wie, być może tylko on mógł dać im wskazówkę, gdzie szukać Burnhamówny i pozostałych kobiet. A zatem należało go zabrać ze sobą.

Co też uczynił. Pociągnął bezwładne ciało za kołnierz i zaczął przeczołgiwać się przez ciasny tunel, wlokąc za sobą ogromny ciężar. Natychmiast zalał się zimnym potem, a serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak oszalałe. Nie dlatego bynajmniej, że było mu ciężko. Miał wrażenie, że zakopano go żywcem w grobie. W końcu zacisnął powieki, żeby nie widzieć, gdzie się znajduje.

Miał szczerą ochotę puścić swoją zdobycz i jak najszybciej wydostać się z tej piekielnej pułapki. W tej chwili zależało mu już wyłącznie na tym, żeby znów móc swobodnie oddychać.

- Tam! Chodźcie! Słyszałem jakiś hałas! - wrzasnął ktoś z wnętrza składu.

- Do diabła... - wymamrotał przez zaciśnięte zęby Puck.

Usiłował poruszać się szybciej, co zważywszy na balast, wcale nie było łatwe. Otarł sobie łokcie i zgubił wstążkę, którą przewiązał włosy. Wilgotne pasma w jednej chwili oblepiły mu twarz i zasłoniły oczy. Próbował je strącić, ale pogorszył tylko sprawę. Przestał cokolwiek widzieć i wpadł w panikę. Wydawało mu, że ten obmierzły tunel nigdy się nie skończy.

Wleczony mężczyzna powoli odzyskiwał przytomność, a horda jego kamratów była coraz bliżej odnalezienia wjazdu. Robin wiedział, że w każdej chwili może zostać schwytany. Nie poddawał się jednak. Musiał wytrzymać. Dla Reginy. Dla jej kuzynki i wszystkich nieszczęsnych dziewcząt, które padły ofiarą bezwzględnych oprawców.

Jeniec podrapał go boleśnie w ręce, więc przydusił go odrobinę i wrzasnął:

- Jack! Jeśli tam jesteś i żyjesz, wyciągnij mnie wreszcie z tego piekła!

TLR

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Powrót na Grosvenor Square bez wątpienia uwłaczał ich poczuciu godności, ale za to okazał się niezwykle szybki i skuteczny.

W niespełna godzinę poczyniono wszelkie niezbędne przygotowania do wyjazdu. Starsze damy zostały obudzone, a ich rzeczy spakowane i wraz z bagażem Reginy załadowane do nieoznakowanego powozu, który miał wywieźć je w eskorcie niezawodnego Gastona do rezydencji przy Half Moon Street. Stangreta poinstruowano, aby obrał okrężną drogę i upewnił się, że nikt go nie śledzi.

Jack i Puck stali w holu w towarzystwie Wadswortha. Ten ostatni uśmiechnął się złowieszczo, kiedy chlebodawca wyłuszczył mu, czego od niego oczekuje.

- Pozwolę sobie zauważyć, sir, że mieliśmy już podobne zajście w zeszłym roku. Jaką odprawę życzy pan sobie, abym dał jegomościowi?

- Sęk w tym, Wadsworth, że nie dasz mu odprawy. W zeszłym roku przybiegł tu stary i nieszkodliwy Brean, który sam się prosił o guza. Ten, który przyjdzie dzisiaj, to wyjątkowo obmierzły typ.

- I mam go wpuścić do środka? Nie może być...

- Może. Mówię przecie wyraźnie.

- Skoro pan mówi...

Młodszy Blackthorn spojrział na brata. Nie mieli zbyt wiele czasu na rozmowę, ale zgodnie doszli do wniosku, że Hackett zapuka rychło do ich drzwi. Jack, coraz bardziej zaintrygowany poczynaniami Robina, zgodził się dać mu wolną rękę w kwestii rozwiązania sprawy Reginalda.

- Wprowadzisz go do bawialni - kontynuował Puck - zaproponujesz mu coś do picia, a potem zostawisz go samemu sobie i udasz się po mnie. Będiesz wzorem uprzejmości i napomkniesz mimochodem, że się go spodziewaliśmy.

- Jak pan rozkaże, sir. Aczkolwiek to wyjątkowo niestosowna pora na wizyty. Chyba powinienem zbudzić lokajów i kucharkę.

- Jak uważasz. Zdaję się na ciebie.

Jako niegdysiejszy żołnierz, Wadsworth nie miał nic przeciwko wykonywaniu rozkazów. Nie przeszkadzało mu to jednakowoż w używaniu własnego rozumu. Nim postawi na nogi cały dom, prawdopodobnie nie omieszka uzbroić się po zęby. Pocziwa z niego dusza.

- Jakie poczyniliście postępy z naszym nowym znajomym? - zapytał Robin, kiedy służący pospiesznie się oddalił. - Ty i twoi weseli kumotrowie dręczyciele?

- Och, idzie niemal jak z płatka. Rzeknę tylko, że lojalność nie jest jego najmocniejszą stroną. A Dickie czuje się zawiedziony, że nie może ponękać go nieco dłużej.

- To ten sam człowiek, którego Reginald posłał za Reginą do parku. Rozpoznałem go w lepszym świetle. Zdaje się, że Hackett mu ufa.

John uśmiechnął się złośliwie.

- A nie powinien. Zdrajca śpiewa jak kanarek. Co nie znaczy, że nie wprowadzimy w życie twojego planu. Cokolwiek zamierzasz, przystaję na to z ochotą. Zastanawiam się tylko, jak mu wytłumaczysz te okropne otarcia i zadrapania na rękach.

- Niczego nie będę przed nim ukrywał. Zrelacjonuję mu szczegółowo dzisiejsze wydarzenia. Przypuszczam, że złoży mi jakąś propozycję.

- Bez wątpienia. Będzie chciał cię przekupić. Tacy jak on uważają, że w życiu chodzi wyłącznie o pieniądze, a wszystko jest kwestią ceny.

- Nie inaczej. Lepiej wracaj do Dickiego i Henry'ego. Możesz być im potrzebny.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, co robimy. Mówiłeś, że nie będziesz kwestionował naszych metod.

- Jeśli o mnie chodzi, możecie torturować łotra do skutku. To, co dziś widziałem, wystarczyło, abym pozbył się wszelkich skrupułów.

- Potrzebujemy informacji. I to jak najszybciej. To jedyny sposób, żeby je z niego wyciągnąć. Jeżeli Hackett wie, że pojaliśmy jego człowieka, będzie próbował przenieść kobiety w inne miejsce. Po raz drugi tego dnia. Znacznie ułatwiłby nam życie, gdyby jednak pozostał w błogiej nieświadomości. Tak czy owak, pozostawiam go tobie. Skąd pewność, że przyjdzie?

- Zorientował się, że ktoś depta mu po piętach. Na mnie pierwszego powinno paść podejrzenie. Niemniej na wypadek gdyby sam na to nie wpadł, zostawiłem mu na stole bilet wizytowy. W tym jego wiszącym więzieniu.

- I oczywiście zapomniałeś mi o tym napomknąć. - Jack pokręcił głową i klepnął brata po ramieniu. - Dziwny z ciebie człowiek, braciszku.

Na polu dziwactw niebawem pewnie dorównasz mnie samemu.

- Już zaczynało się między nami tak dobrze układać, a ty znów mnie strofujesz. Jesteś bezlitosny. A co do owej wizytówki, cóż, uznałem, że nadeszła pora, abyśmy zostali sobie oficjalnie przedstawieni, pan Hackett i ja, ma się rozumieć.

- Regina, jak sądzę, o niczym nie ma pojęcia. W przeciwnym razie nie zgodziłaby się ot, tak zwyczajnie jechać do mojej kryjówki przy Half Moon Street. Idę do piwnicy, ale kiedy zjawi się twój nocny gość, przyślij po mnie Wadswortha. Ja również chciałbym poznać osobiście pana Reginalda.

Robin był autentycznie zdziwiony.

- Ty? Sądziłem, że nie istniejesz. A teraz chcesz pokazać mu twarz?

John wzruszył ramionami.

- Jak mus, to mus, że tak powiem. Nie uda ci się wystarczająco go nastraszyć, jeśli będziesz działał w pojedynkę.

- Prawda - zgodził się Puck, wychodząc razem z nim na korytarz. - Za to jedno spojrzenie w twoją siejącą postrach twarz wystarczy, żeby przerazić na śmierć całą armię.

- W imię braterskiej miłości puszcę tę zniewagę mimo uszu, smarkaczu. Jeśli w międzyczasie wydobędę z naszego więźnia, co trzeba, dam ci znać. Jakiś dyskretny sygnał. Zorientujesz się, kiedy go usłyszysz.

- Obyś tylko nie wrzasnął „Już wiem, gdzie je przetrzymują!”. Do zobaczenia. I... powodzenia.

- Nawzajem.

Gdy się pożegnali, Robin wrócił do gabinetu i zasiadł za biurkiem.

Hackett nie był głupi. Dowiedział się, kim jest mężczyzna, z którym widział córkę na balu, i domyślił się, że ów mężczyzna jest nią zainteresowany. Jako nieślubne dziecko

markiza, Blackthorn był nie tylko nieodpowiednim kandydatem na - męża dla Reginy, lecz także człowiekiem z gruntu zepsutym i podłym. Koniec końców, każdy bękart to zwykła szuja. Taka w każdym razie panuje opinia.

Bodaj pierwszy raz w życiu wstydlivy rodowód działał na korzyść Pucka. Wystarczyło przekonać Reginalda, że się co do niego nie pomylił i że nadal może być spokojny o losy swego dochodowego interesu. Za odpowiednią opłatą, rzecz jasna.

Robin czuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Jeden fałszywy krok mógł kosztować życie dwa tuziny kobiet, w tym ukochaną kuzynkę Reginy. Jeżeli Reg mu nie uwierzy i poczuje się zagrożony, zamiast wysłać „Pride & the Prize” w kolejny rejs, każe swoim ludziom pozbyć się niewygodnego „załadunku” i tym sposobem dziewczęta skończą za burtą jak trzy biedaczki, które wyłowiono dziś rano.

Przyjdzie mu udowodnić, że jest nieodrodnym synem własnej matki i odegrać najlepsze przedstawienie w życiu.

Skrzywił się bezwiednie, usłyszawszy głośnie łomotanie kołatki. Cóż, pan Hackett upewnił się, że jego dobitne pukanie dało się słyszeć w całej rezydencji.

Odliczył do dziesięciu i podniósł się z miejsca.

- „Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają. Każdy tam aktor niejedną gra rolę...”* - wyrecytował pod nosem, wychodząc na korytarz. - Dziękuję, Wadsworth, nie sposób było tego nie usłyszeć. Ilu ich mamy?

- Dwóch, sir. Niejaki Reginald Hackett oraz niejaki Benjamin Harley. Przyprawdzili ze sobą trzech innych podejrzanych typów, ale kazałem im czekać na zewnątrz. Pozostaną tam, jeśli im życie miłe.

- Bardzo słusznie. I wiedz, że pochwalam twoją stanowczość w tej kwestii. Pośłałeś do piwnic po pana...

- Tak jest, sir. Przekazałem mu nowinę osobiście, wraz z pańskimi komplementami. Kazał powtórzyć, że dowiedział się, czego trzeba, i również śle komplementy. Wydawał się dziwnie beztroski w zaistniałych okolicznościach...

* Pierwsze wersy monologu Jakuba z komedii *Jak wam się podoba* Williama Szekspira. Akt II scena 7, w przekładzie Leona Urlicha (przyp. tłum.).

Puck poczuł, że wstępuje weń otucha. Zupełnie jakby ktoś przyprawił mu skrzydła. Zaczynał rozumieć, dlaczego Jack tak kocha swoją „pracę”. Człowiek czuje, że żyje, kiedy znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Taki nadmiar podnieć przyprawia o istny zawrót głowy. Jeśli matka przeżywa coś podobnego przed każdym wyjściem na scenę, nie dziwota, że nie chce porzucić swego zajęcia. To lepsze niż środek odurzający.

- To dobre wieści, Wadsworth. Dziękuję, raz jeszcze. Dopilnuj, proszę, aby moje rzeczy zostały przewiezione na Half Moon Street. I jeszcze jedno, możemy się już dziś nie zobaczyć, dlatego mówię ci o tym teraz. Poproś kucharkę, żeby pojutrze przyrządziła na kolację jakieś specjalne frykasy. Tylko pamiętaj, żadnych buraków.

Służący strzelił obcasami i skłonił głowę.

- Tak jest, sir. Życzę powodzenia. A co się tyczy tych dwóch, jeden z nich to jakieś mikre chuchro, za to ten drugi, zdiczałe monstrum wbite w szykowne odzienie, w którym mu zresztą bardzo nie do twarzy.

- Widziałem go tylko raz, a i to z daleka, ale twój opis wydaje się wyjątkowo trafny.

John dołączył do brata w holu i razem weszli do bawialni. Jack ponury i groźny, Robin z przyklejonym do ust szerokim uśmiechem.

- Panie Hackett! Cóż za miła niespodzianka - zaczął radośnie, przybierając pozę gościnnego gospodarza. Przeszedł przez pokój z wyciągniętą ręką, jakby naprawdę cieszył się ze spotkania. Nie było sensu udawać, że go nie zna. - Niezmiernie nam miło, że postanowili panowie zaszczyścić nas swoją wizytą. Nasze spotkanie i tak zanadto odwlekało się w czasie. Wolno mi spytać o pańską córkę? Jakże się miewa? Doprawdy, urocza młoda dama, aczkolwiek odrobinę, jakby to rzec... osobliwa. W końcu nie co dzień widuje się na maskaradach panienki z dobrych domów.

Reg zerknął na Jacka, po czym utkwiał mordercze spojrzenie w Pucku. Ten ostatni pozostał niewzruszony. Kusiło go, aby sprowokować łajdaka do czegoś więcej niż próba onieśmienia przeciwnika wzrokiem.

- *Combien délicieux, pourtant scandaleux un risqué, oui?* Rad jestem, że mogłem wyratować tę małą trzpiotkę z opresji, więc nie ma potrzeby dziękować. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby gąsce stała się jakaś krzywda. Tak czy inaczej, uważam, że powinien

pan trzymać ją na nieco krótszej smyczy. Ponoć wysłał ją pan na wieś, co uważam za słuszne posunięcie, ale moim zdaniem nie należy spuszczać jej z oczu na zbyt długo. Kto wie, co takiej strzeli? Albo komu otworzy nieodpowiednie drzwi? A skoro o drzwiach mowa, zdaje się, że dzisiejszej nocy otwarto o co najmniej jedno za dużo, nieprawdaż?

Tym razem Reginald popatrzył na pokaleczone ręce Blackthorna.

- Do rzeczy, matole, bo nie ręcę za siebie!

Robin zignorował obelgę i zwróciwszy się w stronę „mikrego chuchra”, jak go określił Wadsworth, przedstawił mu Johna jako swego brata i współnika w interesach.

- „H” i „H”, „B” i „B”, dostrzegam pewne paralele, choć ja i mój szanowny brat nigdy nie zniżylibyśmy się do czegoś tak prostackiego jak wywieszanie szyldu zachwalającego nasze... przedsięwzięcia. Mam rację, Jack? Nie, nie musisz odpowiadać. Widzicie, panowie, tak się składa, że Jack jest szalenie skryty i małomówny, ba, można nawet powiedzieć mrukliwy. Nazwałbym go człowiekiem czynu. Zazwyczaj bowiem używa pięści, ja zaś jestem mózgiem większości naszych... operacji.

Puck wyczuł, że brat powstrzymuje się resztkami sił. Niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Ale co tam, skoro już odgrywali wielkie przedstawienie, czemu miałyby nie zacząć od farsy? Nie potrafił odmówić sobie tej przyjemności. Poza tym wychodził ze skóry, żeby odwrócić podejrzenie od Reginy i miał nadzieję, że jego wysiłki nie pójdą na marne.

- Dość już tych bredni, baranie! Włamałeś się do składu! Trzech naszych ludzi nie żyje!

- Tylko trzech? Jack chyba nie zrobił dziś dużego pożytku ze swych pięści. Ile owi trzej są warci? Chyba niewiele, bo już są martwi. A ile jest warte nasze milczenie?

- A widzisz, Reg - rzekł z cicha Harley, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

- Mówiłem ci, chcą pieniędzy.

- Siedź cicho, Ben.

- Ależ nie, panie Hackett. Pański współnik ma absolutną słuszność. Interesuje nas szybki zarobek. Tak się składa, że nasz papa, odbywszy stosowny okres żałoby, naturalnie, umyślił sobie ponownie się ożenić. Z jakąś głupią smarkulą, tfu, da pan wiarę? Ludzi się, że zdoła obsiać jej urodzajne poletko. Oj, skąd ten mars na pańskim czole? Czyżby

nie odgadł pan, w czym rzecz? Papcio ma nadzieję, że dzierlatka urodzi mu synów. Ślubnych dla odmiany. Innymi słowy, doczeka się prawowitego dziedzica. A nim oczekiwania na owe radosne wydarzenia dobiegnie końca, postanowił mocno zacisnąć nam pasa. Nie muszę dodawać, że ani mnie, ani Jackowi nie uśmiecha się życie w nędzy. Nie nawykliśmy. - Puck zaczerpnął tchu i rozpoczął kolejny monolog. Prawdę mówiąc, jak na razie był dumny ze swego występu. - Długo biliśmy się z myślami i nie wiedzieliśmy, co począć, aż tu nagle, hop, bęc, pojawił się pan, panie Hackett. Nie będzie w tym ani odrobiny przesady, jeśli powiem, że spadł nam pan z nieba. Właściwie to w głównej mierze zasługa pańskiej ślicznej córki. Gdyby nie nieudana wyprawa panny Hackett na maskaradę tudzież zaginięcie jej kuzynki, pewnie nie doszłoby do naszej dzisiejszej rozmowy. A swoją drogą, trzeba być człowiekiem kompletnie pozbawionym skrupułów, żeby skazać na taki los - los gorszy od śmierci - jak powiadają niektórzy, bratanicę własnej żony. - Gdybyśmy mieli publikę, odbierałbym teraz owacje na stojąco, pomyślał Blackthorn. A Rega ani chybi obrzucano by zgniłymi pomidorami. Jako głównego złoczyńcę dramatu. - Ale mniejsza o pannę Burnham - kontynuował po chwili. - Wydarzenia, które miały miejsce na balu u lady Fortesque, rozbudziły moją ciekawość i postanowiłem odrobinę powęszyć. Rozpytałem tu i ówdzie, tego i owego... ale pan przecież doskonale o tym wie, prawda? Zmartwiło to pana do tego stopnia, że kazał pan mnie śledzić tego dnia, kiedy szedłem do parku na małe tête-à-tête z pańską urodziwą córką. Kiedy się zorientowałem, że nagle wyrósł mi ogon, z miejsca nabrałem podejrzeń. Byłem już niemal pewien, że coś jest na rzeczy. Innymi słowy, zwietrzyłem, że sprawa cuchnie, i popchnąłem śledztwo naprzód. Okazało się, że miałem rację. Dla innych jest pan tylko zwykłym nuworyszem, ale nie dla mnie i mojego brata. Dla nas Reg Hackett to istna manna z nieba. Może mają panowie ochotę zwilżyć gardła? Reginaldzie, napije się pan wina? Choć wygląda mi pan raczej na amatora dzinu... Mam tu gdzieś kilka flaszek. Trzymam je dla służby, która nie wie, czemu uwielbia raczyć się tymi paskudnymi sikami.

- Milcz, zuchwały szczeniaku, jeśli ci życie miłe! - ryknął Hackett, wymachując rękoma. - Jeśli będę miał taki kaprys, każę ubić cię jak psa! Dla mnie to tyle co splunąć.

- Och, imponujące, Reg, słowo daję - odrzekł Puck. - Tyle że dość przewidywalne - dodał, porzuciwszy prześmiewczy ton. - Rozumiem zatem, że nie mają panowie ochoty

na trunki? Tym lepiej. Szybciej dobrniemy do końca naszej miłej pogawędki. Pragnę jednak zauważyć, że pańskie czcze groźby nie robią na nas najmniejszego wrażenia. Przypominam, że znajduje się pan w moim domu, a mój drogi brat w tej właśnie chwili mierzy do pana z pistoletu. Chyba się nie mylę? Celujesz naszemu przyjacielowi prosto w głowę? Prawda, Jack?

- Teraz już celuję. Ale następnym razem mógłbyś mnie uprzedzić.

- Nie zastrzelicie mnie z zimną krwią - oznajmił Hackett, nie spojrzawszy nawet na broń. - To ja mam statek, to ja wiem, gdzie jest towar i to ja znam nabywców. Beze mnie nie zarobicie ani funta.

- I tu się mylisz, Reg. Poradzimy sobie i bez ciebie. Nie zapominaj, że przed chwilą zawarliśmy znajomość z twoim współnikiem. Sam go do nas przyprowadziłeś. Nawiasem mówiąc, bardzo nam miło, panie Harley. Sprawia pan na mnie wrażenie człowieka rozumnego i skłonnego do kompromisów. I proszę tylko pomyśleć, czyż jedno „H” na szyldzie nie wyglądałoby znacznie lepiej? Otwierają się przed panem nowe możliwości.

Benjamin zachwiał się na nogach i z wrażenia zapomniał języka w gębie.

- Eee... znaczy się, że niby... - wyjąkał, wciąż oszołomiony.

- To jak Hackett wolisz, w głowę czy w serce? - zagadnął Jack, przymierzając się do strzału.

Puck miał szczerą ochotę posłać tę kanalię na tamten świat, choć uważał się dotąd za człowieka cywilizowanego... Niestety, nie mógł kazać go zabić. W końcu miał do czynienia z ojcem Reginy.

- Zaraz! Czekaście! - zawołał wystraszony Reg. - Nie doceniłem was. Mógłbym zrobić z was pożytek. Porozmawiajmy. Powiedzcie mi, czego chcecie, a na pewno dojdziemy do porozumienia.

Młodszy Blackthorn rozłożył ramiona.

- Do porozumienia? A po cóż niby mielibyśmy dochodzić z panem do porozumienia? Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy nam do szczęścia nasz nowy przyjaciel, Benjamin. Przykro mi, Reg, ale to my rozdajemy karty. A skoro o kartach mowa, Jack, biedaczysko popadł w ogromne długi, więc skoro pragnie pan wkupić się w jego łaski...

- Dobrze, już dobrze, spłacę wszystko co do joty. - Reginald jak większość osiłków, onieśmielał ludzi samym swoim wyglądem. Niejeden odczuwał przed nim respekt, wielu zwyczajnie się go bało, dzięki temu Hackett wyrobił w sobie przekonanie, że jest nieustraszony. W rzeczywistości jednak w obliczu najmniejszego niepowodzenia, tak jak teraz, okazywał się najzwyklejszym tchórzem. Tchórzem, podszytym podstępą szują. Nietrudno było odczytać jego myśli. Wierzył święcie, że uda mu się wyplątać z chwilowych kłopotów, jeśli złoży obietnice bez pokrycia. Potem naturalnie zamierzał zebrać siły i przypuścić kontrnatarcie na tego pyszałkowego bufona, któremu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozумы. - Ile potrzebujecie? Pięćset funtów? Tysiąc? Oczywiście, nie wliczając waszego udziału w zyskach z naszego wspólnego interesu. Bo chyba dobijemy targu, prawda?

- To zależy. - Robin wyciągnął dłoń, jakby chciał powstrzymać brata przed oddaniem strzału. - Jak szybko zarobimy na sprzedaży owych nieszczęsnych kobiet? Jak pan się słusznie domyśla, byłem dziś rano w dokach i widziałem efekty waszej nieudolności. Jeśli nadal będziecie wyrzucać te biedaczki rybom na pożarcie, daleko nie zajdziemy. Horrendalne zaniedbanie, Reg. Nie pochwalam marnotrawstwa.

- Bez obaw, nie straciliśmy wiele. Zresztą te utopione zastąpiliśmy już innymi. Poza tym mamy dwie, za które dostaniemy więcej niż za wszystkie inne razem wzięte. Jest jeszcze trzecia, też sporo warta. Mam wobec niej szczególne plany i znalazł się dla niej wyjątkowy kupiec. Nawet Ben o nim nie wie. To klient o wyraźnie sprecyzowanych wymaganiach. Jestem wam potrzebny, a i z was będzie spory pożytek. Z niektórymi nabywcami ciężko mi się pertraktuje. Złotouści paniczycowicie co to myślą, że skoro potrafią gadać po próżnicy, to znaczy, że są lepsi ode mnie. Z takimi gładyszami jak wy to co innego. Od razu się dogadają. A pieniędzy starczy dla wszystkich. Podzielimy się. Hojny ze mnie człowiek. Proponuję wam dwadzieścia procent.

- Dwadzieścia procent? To chyba jakieś drwiny - oburzył się Puck. - Nie wiem, czy zniosę tę zniewagę. To uwłacza naszej godności. Prawda, Jack?

Jack wydał z siebie złowrogi pomruk. On również grał swoją rolę znakomicie.

- Niech będzie. Trzydzieści procent. Moja strata.

Młodszy Blackthorn wydał usta, jakby rozważał propozycję. Tak naprawdę napał się widokiem potu, który spływał po zażywnej twarzy Hacketta.

- Czterdzieści to nasze ostatnie słowo. Pan daruje szczerłość, ale nie lubię targować się z kupcami. W końcu jestem nieślubnym dzieckiem markiza. Bękart czy nie, swój honor mam.

Reginald przystał ochoczo na ich warunki, głównie dlatego, że nie miał najmniejszego zamiaru ich dotrzymać. Blackthornowie zasługiwali wyłącznie na to, aby zadźgać ich w jakiejś ciemnej uliczce. I taki właśnie los pragnął im zgotować. Przy najbliższej sposobności.

- Umowa stoi, choć twardzi z was negocjatorzy.

- Cóż, to my mamy w ręku pistolet - rzekł wielkodusznie Robin. - Rozumiem, że będę mógł pływać razem z naszym cennym „towarem”? Wprost uwielbiam podróże. Są niezwykle kształczne.

Hackett wyraźnie się odprężył.

- Ależ naturalnie. Może pan podróżować do woli. A każda ptaszyna na pokładzie zrobi dla pana dosłownie wszystko, jeśli tylko pan obieca, że jej nie sprzeda. Z wyjątkiem dziewic, ma się rozumieć.

- Odrażające, doprawdy. Nie zadaję się z ulicznicami. A wracając do rzeczy, gdzie i kiedy możemy obejrzeć załadunek? Dzisiaj niewiele mogliśmy zobaczyć, a chcielibyśmy sprawdzić, czy towar jest odpowiednio dobrej jakości.

- Nie ma potrzeby ich oglądać. Przyjdźcie do portu w środę o północy. Będziemy ładować je na statek. Wypływamy o świcie. Umowa stoi?

„Braciszka zasztyletujemy, jak tylko wejdziecie na pokład, a ciebie wyrzucimy za burtę w kajdanach i będzie po kłopotach”. - Blackthorn był niemal pewien, że takie właśnie myśli przemykają Reginaldowi przez głowę.

- Tak, umowa stoi - powiedział i zerknął na brata, który ostentacyjnie chrząknął. - Aha, a nasze pięć tysięcy funtów?

- Pięć tysięcy? Rozmawialiśmy przecież o tysiącu.

- O nie, Reg. To pan mówił o tysiącu. Cóż, nie mamy środków do życia, a na zyski ze sprzedaży przyjdzie nam trochę poczekać. Jutro rano spodziewamy się weksła. A teraz żegnam panów. Dziękujemy za wizytę i za uroczą pogawędkę.

- Mam dostarczyć weksel pod ten adres? Cały czas będziecie tutaj?

- A dokąd niby mielibyśmy pójść? Zdąży pan do południa? O pierwszej jestem umówiony ze swoim bankierem.

Kiedy goście wyszli, Jack dał wreszcie upust emocjom i wyrzucił z siebie stek obraźliwych wyzwisk. Gdyby Robin był wrażliwą damą, jak nic zwiędłyby mu od nich uszy.

- Z ust mi to wyjąłeś - skwitował wybuch brata. - W życiu nie spotkałem tak parzywej gnidy. Ta trzecia panna, wobec której ma szczególne plany to Burnhamówna, dziewczyna należąca do jego najbliższej rodziny! Dasz wiarę? Żal mi Reginy. Nie obrażam sobie obcowania na co dzień z takim ojcem. Muszę się napić.

- Muszę powiedzieć, że zaimponowałeś mi tym przedstawieniem. Nie przypuszczałem, że taki dobry z ciebie aktor. Chociaż mogłeś sobie darować, „człowieka czynu, który zazwyczaj używa pięści tudzież mózg operacji”.

Puck uśmiechnął się z niejakim przymusem.

- Nie miałeś ochoty go zastrzelić?

- Cóż, przeszło mi to przez myśl, nie przeczę. Ale nie mogłem tego zrobić. Hackett wciąż jest nam potrzebny. Nie mamy pewności, czy wtajemniczał Harleya we wszystkie swoje sprawy. Wiedział, że go nie zabijemy. Za to teraz sam będzie próbował zabić nas. Idę o zakład, że już siedzi i knuje, jak wysłać nas przedwcześnie na tamten świat.

- Bez wątpienia. Ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, że uprowadzone kobiety żyją i że „Pride & the Prize” wypływa w morze we środę.

John nalał im wina i podał jeden z kieliszków bratu.

- Hackett spróbuje nas ukatrupić na długo przed tym. Albo zaczeka, aż zjawimy się w porcie. Tam czuje się najpewniej.

- Sądzisz, że dobrze zrobiłem, wspominając o spotkaniu z bankierem? Dałem mu do zrozumienia, że nie opuścimy domu. Może zanadto kuszę los?

- Nie wydaje mi się. Owszem, twój występ zaliczyłbym do, delikatnie mówiąc, brawurowych, ale Reginald ma cię za błazna i sądzi, że zdoła wystrychnąć nas na dudków. Poniekąd go rozumiem. Rzeczywiście, zachowywałeś się jak pajac. Sam parę razy miałem ochotę cię uciszyć. Zanim rozplniemy się obaj w mrokach nocy, chciałbyś się dowiedzieć, gdzie przetrzymują dziewczęta? Uprzedzam, że raczej nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

- Dlaczego nie?

- Musimy sprawdzić aż trzy różne miejsca. Mogą być w którymkolwiek z nich. Naszego jeńca nie było przy tym, jak wyprowadzano je ze składu w dokach. Twierdzi, że przeniesiono je do innego magazynu w Southwark, nieużywanej tawerny w dokach, albo, i to jest niestety najgorsza z możliwości, do opuszczonego więzienia w tunelach w pobliżu Tamizy. Obiecał, że zaprowadzi nas, gdzie trzeba.

Chryste, tylko nie kolejny tunel, pomyślał z niechęcią Robin, opróżniając kieliszek.

- A już myślałem, że pójdzie jak po maśle. Ruszajmy lepiej na Half Moon Street, zanim Reg każe swoim zbirom nas śledzić. Na szczęście, nie zdążył jeszcze nikogo przysłać. Chciałbym sprawdzić, jak się miewa Regina. Musimy też trochę odpocząć, zanim na nowo rozpoczniemy poszukiwania. Nie mamy zbyt wiele czasu, zwłaszcza jeśli Hackett dowie się, że schwytaliśmy jego człowieka.

- Bez obaw. Martwy niczego nie mógł nam powiedzieć. Znajdą go o świcie z nogami wystającymi z wjazdu, którym uciekaliśmy. Pomyślą, że biedaczysko zginął na posterunku, broniąc dzielnie mienia chlebobawcy. Na wypadek, gdyby wartownicy okazali się mało spostrzegawczy, Henry zamierza wzniecić w szopie niewielki pożar. Dym dostanie się do magazynu i ściągnie uwagę na zwłoki.

- Ale przecież mówiłeś, że nasza zdobycz wskaże nam drogę do kryjówek Reginalda?

- Owszem. I właśnie wskazuje. Dopiero jak to skończy, Henry i Dickie skończą... z nim. No, nie patrz tak na mnie, braciszku. To jedyny sposób, żeby przechytrzyć Hacketta. Jeżeli postąpimy szlachetnie i zostawimy więźnia przy życiu,

Reg zamknie kobiety w jeszcze innym, czwartym miejscu, którego nie znamy, a wówczas nigdy nie odnajdziemy uprowadzonych. Będą stracone na wieki.

Puck zastanowił się i kiwnął głową.

Grali w śmiertelną grę, a stawką w niej było ocalenie wielu niewinnych istnień.

- Zgoda. Skoro nie mamy innego wyjścia. Zanim pojedziemy, poinformuję tylko Wadswortha, żeby przygotował uroczystą kolację na środę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Regina siedziała w wannie, opierając brodę o podkulone kolana. Nie było jej zimno, a mimo to trzęsła się jak osika. Chwilami zdawało jej się, że spokój powoli wraca, ale wówczas wstrząsał ją kolejny dreszcz.

Nie umiała przestać myśleć o kuzynce... Zamkniętej w ciasnym więzieniu wraz z towarzyszkami niedoli. Kiedy weszła do tej okropnej celi, niemal czuła zapach ich strachu.

Mirando, Mirando, dokąd cię zabrali? Jakie myśli przychodzą ci do głowy? Wiesz, że cię szukamy? A może straciłaś już całą nadzieję?

Wspomnienia wydarzeń, które miały miejsce w dokach, nadal przyprawiały ją o drżenie serca. Niewiele brakowało, a zostaliby przyłapani na gorącym uczynku i schwytani. Gdy Puck został w tyle i długo nie wyłaniał się z tunelu, myślała, że umrze z przerażenia. Wyobraziła sobie, że spotkało go najgorsze i wpadała w histerię. Miała ochotę paść na kolana i zacząć wyc z rozpacz. Zrobiłaby to, gdyby się nagle nie pojawił, umorusany i poturbowany, ale triumfujący, z cenną zdobyczą w rękach.

Tymczasem ona odczuwała jedynie strach. Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej.

W swoich oczach zawsze uchodziła za ofiarę. Poddawała się losowi bez słowa sprzeciwu. Nigdy nie odważyła się zrobić niczego szalonego ani nawet spontanicznego.

Gdyby nie nierozsądny pomysł Randy, nie znalazłaby się na balu lady Fortesque, nie spotkałaby Robina i nie zaznałaby prawdziwej namiętności.

Dopiero teraz zrozumiała, że jej pozbawiona radości i emocji pusta egzystencja była jedynie namiastką prawdziwego życia.

To wszystko kiedyś się skończy. Uratują Mirandę i pozostałe kobiety albo poniosą porażkę, ale prędzej czy później ich śledztwo dobiegnie końca. Co z nią wtedy będzie?

Co pocznie? Nie chciała nigdy więcej oglądać ojca. Nienawidziła go z całej duszy i życzyła mu, aby słono zapłacił za swoje odrażające zbrodnie. Ocalenie porwanych dziewcząt już jej nie wystarczało. Pragnęła, aby Reginald Hackett stanął przed sądem i został przykładowie ukarany.

Tylko co się wówczas stanie z jego rodziną? Żoną, córką i resztą powinowatych, którzy od lat byli na jego łasce?

Wybuchnie wielki skandal, a świat kilku osób legnie w gruzach.

Państwo skonfiskuje cały majątek ojca, jego domy, statki i wiejską posiadłość.

Burnhamowie prawdopodobnie nie przyjmą pod swój dach „sierot” po plebejskim Hacketcie. Zarówno dziadek, jak i wuj Seth odetną się od występków Reginalda. Nie mieli pojęcia o jego haniebnym czynach, więc ich reputacja zanadto nie ucierpi. Dzięki niewiedzy i swoim tytułom w oczach społeczeństwa pozostaną niewinni. Jeżeli jednak wyciągną pomocną dłoń do żony i córki zbrodniarza, podobnie jak one, zostaną wykluczeni z towarzystwa.

Puck nas przygarnie, Puck da nam schronienie... Och, jak możesz być tak samolubna, zganiła się w duchu. Po tym wszystkim, co dziś widziałaś, myślisz wyłączenie o sobie i własnych zgryzotach?

Wyszła z kąpieli i owinięta ręcznikiem położyła się na łóżku. W końcu przestała nad sobą panować i zalała się łzami.

Opłakiwała niedolę Mirandy oraz pozostałych ofiar ojca i jemu podobnych. Płakała nad zmarnowanym życiem i utraconą młodością matki, która przez blisko dwadzieścia lat nie zaznała niczego poza przygnębieniem i strachem. Płakała także nad sobą i Puckiem, który narażał się dla niej na śmiertelne niebezpieczeństwo. Szlochała tak długo, że pod koniec nie wiedziała już, dlaczego ogarnęła ją taka rozpacz. Po prostu nie mogła przestać.

Nagle poczuła na czole czyjaś dłoń i omal nie wyskoczyła ze skóry.

- Nie płacz, kotuś. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. - Puck głaskał ją po głowie, a potem położył się obok niej i mocno ją przytulił.

- Wcale nie będzie dobrze. Nawet jeśli odzyskamy Mirandę... Ona... ona już nigdy nie będzie taka jak przedtem... Na nas też te wydarzenia odcisną swoje piętno.

- Pomożemy jej dojść do siebie. Będziemy silni. Dla niej. Naprawimy zło, które jej wyrządzili.

Znów była bliska płaczu. Próbowwała się powstrzymać, ale słowa same spłynęły jej z ust.

- Puck, ja pragnę jego śmierci. Chcę, żeby mój ojciec umarł i już więcej nie wyrządził nikomu krzywdy. Nie ma prawa żyć. Nie po tym, co zrobił Randy, mojej mamie i tym wszystkim nieszczęsnym kobietom. On... jest potworem, a w moich żyłach płynie jego krew. Jak mam żyć ze świadomością, że jestem córką bezwzględnej kanalii? Dziwię się, że jesteś w stanie znosić mój widok.

Pragnęła pocieszenia albo rozgrzeszenia... a może i jednego, i drugiego. Sama już nie wiedziała czego, ale na pewno nie tego, co dostała.

- Myślałem, że rozpaczasz z powodu kuzynki, swojej matki i innych kobiet - powiedział niemal oziębłe Robin. - Ale tak naprawdę uzalasz się nad samą sobą. Cóż, wiadać się pomyliłem.

Usiadła gwałtownie, nie zważając na to, że zsunął jej się ręcznik.

- Jak śmiesz! Nie masz pojęcia, jak się czuję. To nie twój ojciec dopuścił się tych wszystkich okropności!

Usiadł i oparł się o wezglowie.

- Prawda, nie mój. Mój ojciec zrobił coś zupełnie innego. A raczej nie zrobił tego, co powinien był zrobić. A mianowicie nie ożenił się z moją matką i tym samym uczynił ze swoich synów bękartów i wyrzutków. Bo właśnie tym w oczach świata wszyscy trzej jesteśmy. Ale tylko w oczach świata. Sami tak o sobie nie myślimy. Jesteśmy tym, kim chcemy być, i nie interesuje nas zdanie wszechwiedzących głupców, którym się wydaje, że są lepsi od nas. Nie pozwoliliśmy, aby ktokolwiek dyktował nam, jak mamy żyć. Podejmujemy własne decyzje. A za ciebie kto decyduje, hm?

Nie wiedziała, czy ma go przytulić, czy może raczej powinna natrzeć mu uszu.

- Ja sama...

Przyłożył dłoń do ucha.

- Co proszę? Nie dosłyszałem.

- Powiedziałam, że decyduję sama. To, kim jestem, zależy wyłącznie ode mnie. Nie od ojca, matki ani babki Hackett. To chciałeś usłyszeć?

- Nie, nie chciałem tego usłyszeć, chciałem, żebyś w to uwierzyła. Moim zdaniem panna Regina Hackett jest cudowna. Mądra, nieustraszona i wyjątkowo powabna. Zwłaszcza w tej chwili...

- Och! - Zakryła się pospiesznie, spostrzegłszy, że Puck wpatruje się w jej obnażone piersi. - Mogłeś powiedzieć, że spadł mi ręcznik.

- I zepsuć sobie taki wspaniały widok? Za nic. Zamierzam zresztą niecznie wykorzystać sytuację.

Poczuła znajomy dreszcz podniecenia i spojrzała na niego złaknionym wzrokiem.

- To ostatnia rzecz, jaką powinniśmy teraz robić... - zaprotestowała bez przekonania.

Przysunął się i ściągnął z niej okrycie.

- Zmysłowa przyjemność to nic złego, kotuś. Wręcz przeciwnie. Dlatego my, zwykli śmiertelnicy, tak często szukamy w niej ucieczki. Rozkosz cielesna nie zostawia miejsca na nic innego poza odczuwaniem. Dzięki niej zapominamy o wszystkim, co nas boli. Pozwól mi, a pomogę ci zapomnieć... Oboje choć na chwilę zapomnimy o tym, co dziś widzieliśmy...

Pozwoliła mu. Wkrótce stali się jednością i dali się ponieść fali namiętności. Regina przylgnęła do Pucka z całych sił, obejmując go rękoma i nogami. Pragnęła znaleźć się jeszcze bliżej niego, choć wiedziała, że to niemożliwe.

Tak jak obiecał, niebawem przestała myśleć i skupiła się na odczuwaniu.

- Świat nie istnieje, moja słodka - szeptał z ustami tuż przy jej uchu. - Jesteśmy tylko my dwoje.

Nawet jeśli jutro przyniesie ból i rozczarowanie, dziś nie musiała się tym zadreżczać. Była wolna. Puck podarował jej wolność. Znał ją lepiej, niż ona znała samą siebie. Wiedział, czego jej trzeba, i potrafił jej to dać.

- Dziękuję - powiedziała cicho, kiedy w końcu opadli zmęczeni na posłanie.

- Bardzo proszę - odparł, przygarniając ją do siebie. - Głupia gąsko.

- Głupia gąsko? Och, ja też jestem do ciebie bardzo przywiązana.

- Ciesz się mnie to. A teraz śpij, moja pani. Mamy tylko godzinę. Nie jestem pewien, czy ci się to spodoba, ale jesteśmy w rękach Black Jacka. Chciałem przyjść do ciebie, więc zdałem się na niego. Naturalnie, nie zdradził mi swoich planów, wiem jedynie tyle, że wyszedł, aby poczynić stosowne przygotowania, cokolwiek to znaczy. Tak czy owak, kazał nam być gotowym na piątą.

- Gdybyś powiedział mi o tym na samym wstępie, wypytałabym się o szczegóły.

- A teraz?

Ziewnęła i wtuliła się w niego jak w poduszkę.

- A teraz jestem za bardzo zmęczona, żeby kontynuować tę rozmowę.

Wyszli z domu w samym środku gwałtownej burzy. Nim zdążyli dobiec do zaułka, w którym czekał Henry, zacinający deszcz przemoczył ich do suchej nitki. Niebo raz po raz przecinały błyskawice, a z oddali dobiegały przytłumione grzmoty piorunów.

Baron przywitał ich skinieniem głowy i odchyliwszy zasłonę, pokazał im wnętrze furgonu. Puck podsadził Reginę i pomógł jej wejść do środka. Sam zaś stanął obok brata. Razem obeszlili wóz i zgodnie doszli do wniosku, że pojazd doskonale się nadaje do ich celów. Był solidny i miał zaprzęg składający się z czterech koni.

- Zbyt szybki nie jest - wyjaśnił Sutton - ale za to miejsca wystarczy dla wszystkich. Mamy sporo jedzenia i koce. Liczymy na to, że uda nam się odbić cały „transport”. Do myśla się pan, dokąd jedziemy?

- Niech zgadnę, do lochów nad Tamizą. - Młodszy Blackthorn skrzywił się, nie kryjąc obrzydzenia. - Jakżeby inaczej. Będzie uroczo: ciemno, zimno, mokro i pełno szcurków wielkości nietoperzy. Mam rację?

- Owszem, odgadłeś bezbłędnie - odparł John. - Jaskiń jest pięć. Słyszałem, że Rzymianie zbudowali je dla galerników. Wejścia wychodzą na stronę rzeki, ale ciężko je odnaleźć, bo są porośnięte chaszczami. Wartę trzyma czterech ludzi, dwóch od frontu i dwóch z tyłu, przy klifie, choć to właściwie raczej niewielki pagórek niż klif.

- Byłeś tam?

- Nie, ale Henry i Dickie byli. Dickie wciąż tam jest. Został na czatach. Na wypadek, gdyby Hackett spróbował kolejny raz przenieść kobiety w inne miejsce. Nie wydaje mi się, aby dziewczęta umieszczono razem w jednym lochu. Będziemy musieli przesu-

kać dokładnie wszystkie pięć. Proponuję, żebyście wraz z Reginą poczekałi na nas w wozie. Nie powinna oglądać tego, co tam się może wydarzyć. To nie widok dla kobiecych oczu. Poza tym pewnie tylko by nam przeszkadzała.

- Rozumiem, że ja także stałbym wam na zawadzie? - Robin najwyraźniej nie był zachwycony tym, co usłyszał.

Jack potarł dłonią czoło, przy okazji rozmazując na nim sadzę, którą miał na palcach.

- Zrozum, Puck, dla nas to chleb powszedni. W imieniu monarchii pozbywamy się chwastów. Jeśli trzeba, bez wahania odbieramy życie. Wcześniej znakomicie poradziłeś sobie z Hackettem, sam nie rozegrałbym tego lepiej, ale nie nadajesz się do... czarnej roboty. Jesteś zbyt dobry, braciszku. Masz duszę poety, wielkie serce i coś... do stracenia. Żaden z ciebie morderca. Poza tym ktoś musi zostać z Reginą.

Coś do stracenia... - powtórzył w myślach Puck. A ty, John? Nie masz serca ani niczego do stracenia? Jesteś mistrzem w swoim fachu, bo nie dbasz o to, jak długo żyjesz?

- Przebrnąłem już przez jeden tunel. Z tym także sobie poradzę. Nic mi nie będzie. Reginie zresztą też nie. Potrzebujecie jak najwięcej ludzi, żeby obszukać dokładnie wszystkie lochy. Nie przeszliśmy przez całe to piekło po to, żeby podczas ostatecznej rozgrywki siedzieć z założonymi rękami.

- Do diabła, Puck, to nie jest zabawa ani jeden z wyścigów, jakie urządaliśmy sobie w dzieciństwie. Pomyślałeś o tym, że możesz stanąć twarzą w twarz z Hackettem, kiedy Regina będzie tuż obok? Co wtedy zrobisz? Zdołasz pociągnąć za spust? Pozwolisz jej patrzeć na śmierć ojca? Obaj wiemy, że nie byłbyś w stanie tego zrobić. A puszczenie go wolno mogłoby się okazać fatalnym błędem. Pora pozwolić działać człowiekowi czynu i jego pięściom.

Więc jednak masz coś do stracenia - pomyślał Robin. Młodsze go brata, którego unikasz od lat podobnie jak reszty rodziny. Czego się tak boisz, Jack? Musiałeś stracić coś naprawdę ważnego, skoro odgrodziłeś się od reszty świata i nie pozwalasz sobie na najmniejszy przejaw emocji.

- Już to mówiłem, ale pozwól, że powtórzę dla pewności - rzekł bez emocji. - Zawsze byłeś zuchwałym osłem, koniec i kropka. Daj mi znać, kiedy postanowisz porzucić tę swoją irytującą pozę i będziemy mogli zabrać się do tego, po co tu przyszliśmy. Deszcz ścieka mi po plecach, więc nie jestem w najlepszym nastroju.

Na twarzy Jacka pojawił się szczery uśmiech.

- Naprawdę cię lubię, szczeniaku. Słowo daję. Zaczynam żałować, że nie zadałem sobie trudu, żeby cię lepiej poznać. Ciebie i Beau... Jestem pewien, że wiele straciłem.

Puck bez namysłu wykorzystał chwilę słabości brata.

- Pamiętaj, że to nie my unikaliśmy ciebie, lecz ty stroniłeś od nas. Kiedy ten koszmar wreszcie się skończy, pojedziemy do Blackthorn. Nie byliśmy tam wszyscy razem od niepamiętnych czasów.

- To chyba nie najlepsza pora na dysputy o odnawianiu rodzinnych więzów.

Oczywiście, miał rację, ale Robin niewiele sobie z tego robił. Czuł, że musi wypełnić swoją powinność, a może odezwał się w nim poeta?

- Ojciec podarował Beau majątek na wsi. Z nieograniczonym prawem dziedziczenia. Mnie zresztą też. Skoro staruszek chce o nas zadbać, pozwól mu na to. Niech rozgrzeszy samego siebie z tego, że swego czasu nie postąpił jak należy i nie ożenił się z naszą matką. Jeżeli ma mu to przynieść ulgę, niech uciszy wyrzuty sumienia. Jeśli nie zdążysz się z nim pogodzić, będziesz tego żałował do końca życia.

John popatrzył na niego w milczeniu, aż w końcu pokręcił głową.

- Dobrze, pomyślę o tym. Obiecuję. Jesteś gorszy niż zrzędliva żona, wiesz?

- Oto dokuczliwy Jack, jakiego lubię. Nie martw się, skończyłem na dziś z prawie-niem morałów. Kim jest ten jegomość ze szpadą w ręku? Ten, który gawędzi z Henrym... A może nie powinienem pytać?

Jack obejrzał się i spojrzał we wskazanym kierunku.

- Och, znasz go, braciszku - stwierdził z uśmiechem. - À propos zuchwałych osłów, niedawno odgrażałeś się, że podziurawisz go jak sito. Ponoć twój kunszt nie ma sobie równych, mimo to szczerze odradzam. Nikt przy zdrowych zmysłach nie staje z nim do pojedynku.

- Czyżby Will Browning? Mistrz fechtunku? - zdumiał się młodszy Blackthorn. - Dickie i Henry przedstawili nas sobie podczas maskarady. Tylko nie mów, że czai się tu gdzieś także wicehrabia Bradley.

- Boże, uchowaj. Bradley drży ze strachu przed własnym lokajem. Jeżeli wyczerpałeś już wszystkie pilne kwestie do omówienia, sugeruję, abyśmy ruszyli w drogę. Przy tej pogodzie nie ma obawy, że się rychło rozwidni, za to odpływ może poważnie pokrzyżować nam szyki. - John ujął wodze i wsiadł na konia.

- Niech będzie. Zdaję się na ciebie. - Z tymi słowy Puck wskoczył do wozu i odszukawszy w ciemnościach ukochaną, wziął ją za rękę. Uścisnęła jego dłoń, ale się nie odezwała.

Niebawem furgon potoczył się w stronę rzeki, a oni pogrążyli się we własnych myślach. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że to ostatnia szansa na uratowanie Mirandy. Co będzie, jeśli jej nie odnajdą? - zastanawiał się gorączkowo Blackthorn. - Albo jeśli odnajdą ją martwą lub szaloną? Do tej pory mogła już postradać zmysły... Jak potoczą się sprawy, jeżeli w jaskiniach pojawi się Hackett i zacznie stawiać opór? Regina mówiła wprawdzie, że pragnie jego śmierci, ale z pewnością wołałaby jej nie oglądać.

Musiało jej być bardzo ciężko... Jej duszą targały sprzeczne emocje, nadzieja, strach, obawa o przyszłość. Jechała na spotkanie z nieznanym, a mimo to siedziała spokojnie, nie okazując, jak bardzo jest wzburzona i niepewna.

Była taka dzielna... Inna niż wszystkie znane mu kobiety. Boże, ależ ją kochał... Powinien był jej o tym powiedzieć, ale bał się, że zrobi to za wcześnie.

Znał ją od zaledwie kilku dni, a nie pamiętał już, jak wyglądało jego życie bez niej. Pewnie dlatego, że zanim się zjawiła, wiódł jedynie pustą, pozbawioną sensu egzystencję... To nie było prawdziwe życie...

Czyżby odezwała się w nim dusza poety? Dobrze sobie. Gdyby był poetą, potrafiłby znaleźć właściwe słowa, by wyrazić uczucia, które wezbrały w jego sercu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Reggie, kiedy wóz podskoczył gwałtownie na wybojach. - Czy to gdzieś daleko?

- Hm... nie wiem. Nie pytałem, czy to daleko, wiem za to, że zmierzamy do starych lochów nad Tamizą.

- Do lochów?!

- Ponoć Rzymianie więzili w nich kiedyś galerników. Przypuszczam, że twój ojciec zamierza wpędzić kobiety bezpośrednio na statek, bez konieczności powrotu do doków. Chce sobie oszczędzić zachodu. Tak czy owak, upewniliśmy się, że trzyma dziewczęta właśnie tam. Bądź dobrej myśli, niedługo je uwolnimy. Co powiedziałaś ciotce?

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Nic. Kiedy wróciliśmy wczoraj z doków, nie odezwała się ani słowem. Długo na mnie patrzyła, a potem rozplakała się i wybiegła z pokoju. Chciałaby mnie powstrzymać, powiedzieć mi, że nie powinnam się narażać, ale nie jest w stanie się do tego zmusić. Miranda to jej jedyne dziecko. Poświęciłaby wszystko i wszystkich, aby ją odzyskać. Mnie także. Bez chwili wahania. Kiedy to się skończy, nikt z nas nie będzie już taki sam.

Nie znalazł na to odpowiedzi, więc tylko ją przytulił.

- Zostaniesz w wozie, kotuś - rzekł po chwili milczenia. - Nie możesz nam w niczym pomóc - dodał stanowczo, przykładając jej palec do ust, żeby zdusić ewentualne protesty. - Tutaj będziesz bezpieczna, a kiedy odbijemy Mirandę, natychmiast ją do ciebie przyprowadzimy.

Odsunęła jego rękę.

- Dobrze, Puck. Zgadzam się z tobą w zupełności. Cieszę się, że pojechałam z wami wczoraj i znalazłam strzęp sukni Randy, ale dzisiaj tylko bym wam przeszkadzała.

Spojrzał na nią w ciemnościach.

- Podśluchiwałaś moją rozmowę z Jackiem!

Pogłaskała go po policzku.

- Spodobało mi się, kiedy powiedział, że masz duszę poety. Myślę, że to prawda. Wyczuwam wszakże, że mimo swej delikatnej natury chciałbyś rozprawić się z kilkoma zbirami. I dobrze. Powinieneś posłuchać głosu instynktu. Gdybym była większa i silniejsza, sama pokazałabym paru plugawcom gdzie raki zimują. Niestety, wiem, że nie dałabym rady, dlatego pozwalam ci to zrobić w moim imieniu.

- Jesteś niemożliwa. - Przygarnął ją do siebie i pocałował w czoło. - Myślę, że panią kocham, panno Hackett. Nie, nie myślę. Ja to wiem. Powiniennem był poczekać, aż rozprawimy się ze złoczyńcami, uznałem jednak, że z niektórymi rzeczami nie należy

czekać. Dlatego mówię ci to teraz. Kocham cię, Regino. Ale jeśli znów mi podziękujesz, to chyba nie wytrzymam i nadzieję się na szpadę Willa Browninga.

- Kto to jest Will Browning? Zresztą nieważne. Ja też cię kocham, Puck. Żałuję tylko, że od samego początku piętrzą się przed nami przeszkody. Nie będzie nam łatwo, wiesz o tym? Papa nigdy nie dałby nam błogosławieństwa, nawet gdyby nie był zamieszany w tę okropną aferę. A jeśli wtrąca go do więzienia i skaza na śmierć, tym gorzej dla ciebie. Będziesz skazany na życie u boku córki powszechnie potępianego potwora. Ja zaś stanę się wyrzutkiem. Wytworne towarzystwo będzie stroniło ode mnie jak od mrowej zarazy. Nawet wyrozumiała francuska socjeta nie przyjmie na swe łono krewnej mordercy. Pomyślałeś o swoich rodzicach? Nie przypadnie im do gustu taka synowa. Owszem, jesteś bękartem, lecz to zwykła igraszka w porównaniu z poślubieniem, bo chyba zamierzasz mnie poślubić? Chciałeś poprosić mnie o rękę, prawda?

Omali się nie roześmiał. Rozbawił go przerażony ton, którym zadała ostatnie pytanie.

- Owszem, miałem taki zamiar, ale teraz kiedy wyłuszczyłaś mi rozliczne wady naszego ewentualnego mariażu, nie jestem już taki pewien... Sama rozumiesz, muszę dbać o swoją reputację. Jako nieślubny syn markiza mam pewne zobowiązania wobec rodziny i społeczeństwa. Nie chciałbym zawieść pokładanego we mnie zaufania. Wprawdzie od urodzenia jestem traktowany jak parias, nie sądziłem jednak, że przyjdzie mi popęlić mezalians. A może dla odmiany pani oświadczy się mnie? Co pani na to, panno Hackett?

- Nie mogę się zdecydować, czy bardziej chcę się oświadczyć, czy może raczej narzec ci uszu.

- Pozwalam pani na to pierwsze, drugiego wolałbym uniknąć. Nie dbam o to, co ludzie powiedzą, niech sobie idą do diabła. Do swoich uszu jestem wszakże bardzo przywiązany... Zgadzam się, może mnie pani już pocałować.

Regina uznała, że najlepszy będzie kompromis. Chwyciła go za uszy i przycisnęła wargi do jego ust.

Niemal w tej samej chwili wóz się zatrzymał i do środka zajrzał Jack.

- Szczęśliwi ci, którzy nie tracą ducha w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa - stwierdził sentencjonalnie.

- Żebyś wiedział, że szczęśliwi - oznajmił rozradowany Puck, zabierając dłoń zza pazuchy Reginy. - Właśnie się zaręczyliśmy.

- Winszuję, braciszku, a na ręce twej narzeczonej składam wyrazy szczerego ubolewania. Dalej pójdziemy pieszo. Widziałem się z Dickiem. Hackett wystawił trzech dodatkowych wartowników, a to oznacza, że Regina musi iść z nami. Mamy za mało ludzi. Nie możemy z nią nikogo zostawić w furgonie, a sama nie będzie tu bezpieczna.

Hackettówna chwyciła Robina za rękę.

- To nic. Od początku wołałam iść z wami. Powiedziałam, że zostanę, tylko dlatego że chciałeś to usłyszeć.

Jeszcze raz pocałował ją mocno w usta, a potem pomógł jej wysiąść.

- Widzicie ten nasyp? - John wskazał dłonią niewielką stertę kamieni otoczoną z obu stron zaroślami. - Tam się przyczaimy. Zdaje się, że podczas takiej ulewy jaskinie zalewa woda, pewnie dlatego wywlekają z nich kobiety w takim pośpiechu. Mamy szczęście, prowadzą je prosto na nas. Regina uczepliła się ramienia narzeczonego.

- Znaleźliśmy je? - zapytała podekscytowana. - Naprawdę tu są? Widzicie wśród nich Mirandę?

- Spokojnie, kotuś, już niedługo się z nią zobaczysz - odrzekł Puck, spostrzegłszy w pobliżu jeszcze jeden wóz. - To Hacketta? - zwrócił się do brata.

- Tak, ale Dickie unieszkodliwił już woźnicę. Sądzymy, że pójdzie jak z płatka. Wystarczy poczekać, aż wyślą dziewczęta na ścieżkę ciągnącą się wzdłuż brzegu. Za godzinę powinno być po wszystkim. Dołączcie do Richarda i obserwujcie zwierzynę. Regino, proszę nie odstępować Pucka ani na krok. I radziłbym pani w najgorszym momencie zamknąć oczy. Ja i Henry podejmiemy bliżej, na szczyt wzniesienia. Bywajcie i... powodzenia.

Jack zwrócił konia ku klifowi, który oddzielał ich od jaskiń. U podnóża zeskoczył z siodła, rzucił na ziemię kapelusz i płaszcz, po czym zaczął wspinać się po skale ze zwinnością jaszczurki. Z pewnością nie robił tego po raz pierwszy.

Tymczasem Will Browning przywołał gestem Robina i Reginę. Podbiegli do niego i wszyscy troje ukryli się w chaszczach za nasypem.

Dickie już tam był. Leżał na brzuchu i przeżuwał rozmiękły pasztecik. Przywitani się krótko, a potem pokazał im palcem, gdzie mają patrzeć.

- O mój Boże... - westchnęła Hackettówna na widok zakutych w kajdany kobiet w łachmanach. Pędzono je pobliską dróżką niczym bydło. Były przerażone i wycieńczone. Niektóre nie miały siły iść i słały się na nogach. Pilnowało ich pięciu ludzi. Pozostałymi dwoma mieli się zająć Jack i Henry.

Will szturchnął łokciem Pucka i skinął głową w stronę klifu. Obaj strażnicy zniknęli, jakby powaliła ich na ziemię niewidzialna ręka.

- No i po kłopotcie. Kiedy ich skrepują, Henry wróci do nas, a John unieszkodliwi delikwenta, który zamyka pochód. Tym sposobem dla nas zostanie już tylko czterech.

- Kiedy ruszamy? - Blackthorn sięgnął do buta po sztylet. Miał też pistolety, ale obawiał się, że proch mógł zamoknąć. Zresztą nóż jest znacznie skuteczniejszy. Można nim zaatakować zarówno z bliska jak i z daleka. A niech to, stwierdził ze zdumieniem, zaczynam myśleć jak Jack. Chyba za często przebywam w jego towarzystwie. Może nie trzeba było zapraszać go do rodzinnego domu? Kto wie, co z tego może wyniknąć?

- Puck! Puck! - Regina pociągnęła go za rękaw, próbując zwrócić na siebie uwagę.
- Spójrz! To ojciec. O Boże, on... ma Mirandę. Widzisz? To ten w środku szeregu, z lampą w ręku. I Randy... Tak to na pewno ona...

- Widzę ich, kotuś - uspokoił ją. Co tu, do diaska, robi Hackett? Zastanawiał się gorączkowo. Czyżby przewidział, że loch może zostać zalany? A może przejrzał ich podstęp z podrzuceniem trupa? Domyślił się, że najpierw wyciągnęli ze zdrajcy informacje, a dopiero potem zgładzili go i przenieśli zwłoki do tunelu przy magazynie? Dlaczego Burnhamówna nie ma na sobie kajdan? - Kiedy przypuszczamy atak? - powtórzył niecierpliwie.

- Bez pośpiechu, wszystko w swoim czasie - odparł spokojnie Browning. - Dickie, stary druhu, może zechciałbyś zrobić marmoladę z tego tam pączusia z przodu?

Carstairs wymamrotał coś pod nosem i wyrzucił niedojedzone szczątki pasztecika.

- Pączusia?! - mruknął zrzędlawie, podnosząc się na nogi. - Nie jest wcale taki gruby. A ty miałaś nie wspominać o jedzeniu, nicponiu. Siedzę tu od kilku godzin, dobrze wiesz, że przegapiłem kolację. Jesteś bez serca. Nie masz ani krzty współczucia...

Na dróżce zamajaczyły właśnie pierwsze sylwetki zbliżających się dziewcząt. Puck cmoknął Reginę w usta.

- Biegnij do wozu i zadbaj o nasze panie - szepnął jej do ucha. - Każ im wsiąść do środka, rozdaj jedzenie i koce. Za kilka minut przyprowadzę do ciebie Mirandę, Obiecuje. - Kiedy kiwnęła głową, zwrócił się do Browninga: - Jestem gotowy. Bierz, kogo chcesz, ale tego z lampą zostaw mnie.

Nagle na końcu pochodu rozległ się głośny krzyk. Kobiety przystanąły i odwróciły się, żeby sprawdzić, co się stało.

- To Jack - wyjaśnił Will. - Wyeliminował z gry wartownika, który ubezpieczał tyły. Zostało nam już tylko czterech. Panno Hackett, proszę się pomodlić i poprosić Wszechmogącego, aby zesłał nam mały wybuch paniki. Chaos to nasz największy sprzymierzeniec. Panowie, pora zaczynać zabawę. W imieniu króla i monarchii, do ataku!

Dickie rzucił się na strażnika, który szedł na czele i wskoczywszy mu na plecy, dosłownie go staranował. Rozległo się stłumione „uff” i „pączuś” wraz z Richardem na grzbiecie wylądowali na ziemi. Ten ostatni w okamgnieniu skoczył z powrotem na nogi i z uśmiechem otrzepał ręce.

Później rozpętało się istne pandemonium. Uprowadzone wrzeszczały wniebogłosy albo zalewały się łzami. Nadarzyła się sposobność ucieczki, więc wszystkie chciały jak najprędzej ją wykorzystać. Próbowaly biec, ale pętały je kajdany. W rezultacie potykały się o własne nogi albo o siebie nawzajem. Tymczasem pozostali dwaj wartownicy rzucili broń i zaczęli uciekać w stronę klifu.

- Henry będzie zachwycony, kiedy wpadną wprost w jego ręce - ucieszył się Browning. - Chyba do niego dołączę.

Droga niemal zupełnie opustoszała. Został na niej wyłącznie Hackett, ściskający bezbronną Mirandę. Puck utkwiał w nim spojrzenie i przestał dostrzegać cokolwiek innego. Słyszał jedynie świst wiatru i szaleńczy łomot własnego serca. Jack się pomylił. Gdyby zaszła taka konieczność, zabiłby Reginalda bez mrugnięcia okiem i nawet nie poczułby skruchy. W każdym razie nie czułby się bardziej winny niż po rozdeptaniu odrażającego robaka.

Nim go dopadł, musiał jednak przedrzeć się przez ciżbę rozhisteryzowanych uciekinierek, które zatrzymały się w pobliżu nasypu.

- Z drogi! - krzyknął, rozpychając się łokciami. Niezbyt to eleganckie, ale nie miał ani chwili do stracenia. - Jesteście bezpieczne. Idźcie do wozu. Nic wam już nie grozi!

Jedna z dziewcząt rzuciła mu się na szyję i nie zanosiło się na to, żeby zamierzała go puścić.

- Błagam, niech mnie pan zabierze do domu! Papa sowiec pana wynagrodzi! Proszę, nie wytrzymam tego dłużej! Chcę do domu!

- Ja się nią zajmę - odezwał się Richard, odciągając zdesperowaną dziewczynę od Blackthorna. - Zdaje się, że pańska zwierzyna postanowiła czmychnąć.

Puck spojrzał ponownie w kierunku ścieżki. - Niech to diabli! - Reg włókł Burnhamównę z powrotem do jaskiń. Po co? Czyżby jednak było z nich inne wyjście? Szczur wszędzie znajdzie dziurę... przez którą można przecisnąć się na zewnątrz... Do diaska, dlaczego o tym nie pomyśleli?!

Ruszył w pościg, ale nie było mu łatwo. Ślizgał się w błocie i potraçał zdezorientowane kobiety. W pewnym momencie spostrzegł, że Hackett przystanął, obejrzał się przez ramię, po czym zerknął w kierunku wejścia do lochów. Najwyraźniej rozważał swoje możliwości...

- To już koniec, Hackett! Wypuść pannę i poddaj się!

Reg zachwiał się na nogach, jakby nie mógł się zdecydować, w którą pobiec stronę. W końcu uznał, że jego szanse znacznie wzrosną, jeśli będzie uciekał sam.

Zaciągnął więc Mirandę nad brzeg rzeki, wepchnął ją do wody, a sam puścił się biegiem do jaskiń.

Blackthorn nawet na niego nie spojrzał. Nie miał też czasu, żeby cisnąć w niego nożem. Każda sekunda mogła się okazać na wagę złota. Upuścił sztylet i zrzuciwszy płaszcz, wskoczył do Tamizy w miejscu, w którym przed chwilą zniknęła Burnhamówna.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Regina wróciła do wozu, choć wolałaby zostać przy nasypie i obserwować z bliska przebieg wydarzeń. Zobaczywszy kuzynkę żywą, poczuła radość i niewysłowioną ulgę. Pragnęła jak najszybciej porwać Mirandę w ramiona, ale czy mogła odmówić pomocy innym przerażonym dziewczętom? Z pewnością nie.

Kiedy zbiegła z pagórka, już tam były.

- Jesteście bezpieczne! Nie musicie dalej uciekać! Wsiadajcie do wozu. Mamy jedzenie i koce. Nikt was już nie skrzywdzi.

- A skąd niby mamy to wiedzieć? - odezwała się jedna z kobiet. - Ten stary łaps też mówił, że nikt nam krzywdy nie zrobi i co? - Zwróciła się do towarzyszek niedoli. - Mówię, wam, dziewuchy, lepiej bierzmy nogi za pas.

- Daj pokój, Madge! - powiedziała jakaś inna. - Po co to zaraz biadolić. Wszystko będzie lepsze niż te piekielne lochy. Coś mi mówi, że tym razem spotkałyśmy zacnych ludzi.

- Bardzo słusznie, młoda damo - podchwycił Dickie Carstairs. - Rozumne z pani dziewczę. I śliczne jak malowanie. Nic wam już nie grozi. Nakarmimy was, wysuszymy i od razu poczujecie się lepiej. - Uniósł dłoń, w której trzymał coś, co wyglądało jak duży klucz. - Spójrzcie tylko, co przyniosłem. No, jak tam, która pierwsza?

W jednej chwili zleciały się do niego jak muchy do lepu. Wszystkie z wyjątkiem jednej. Tej, którą sam przed chwilą przyprowadził. Dziewczyna wyglądała na młodszą niż pozostałe. Była drobna, przemarznięta i na śmierć przerażona. Tkwiła nieruchomo tam, gdzie zostawił ją Richard, i zanosila się rozpaczliwym szlochem.

Reggie pobiegła po koc i zarzuciła go jej na ramiona.

- Już dobrze, nie płacz. Jak ci na imię? Ja nazywam się Regina.

- Chcę do domu... ja chcę do domu...

- Zajmę się nią - rzekł Will, który nadszedł właśnie od strony klifu. - Wiem, kim jest. Ona i jeszcze jedna z naszych pań. Jack polecił mi odwiedzić je do rodziny. Dyskretnie, ma się rozumieć. Lepiej, żeby nie padały tu żadne nazwiska, pani rozumie...

Rozumiała doskonale. John i jego przyjaciele pragnęli pozostać anonimowi. W ich fachu najlepiej być niewidzialnym.

- Tak, naturalnie. Dziękuję panu. - Hackettówna rozejrzała się niespokojnie dookoła. Nie wiedzieć czemu ogarnęły ją nagle złe przeczucia. - Gdzie się podział Puck? - zapytała ostrożnie.

Nie odpowiedział od razu, więc przeraziła się nie na żarty.

- Panie Browning, gdzie jest Puck? - powtórzyła stanowczo. - I moja kuzynka?

- Jack i Henry zostali na drodze. Może pani do nich iść.

Posłała mu zdumione spojrzenie i otworzyła usta. Chciała zadać kolejne pytanie, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Wiedziała już, że stało się coś bardzo złego. Odwróciła się na pięcie i pognęła w stronę jaskiń.

Ścieżka robiła się coraz bardziej rozmokła. Poślizgnęła się kilka razy, nim dobiegła do Blackthorna i Suttona, którzy stali przy brzegu i wpatrywali się w wodę. Byli tak zajęci, że nie zauważyli jej nadejścia.

- Jack! Jack, gdzie jest Puck?! Gdzie Randy i mój ojciec?!

Henry odwrócił wzrok od Reginy i dotknął ramienia przyjaciela.

- Will i Dickie panują nad sytuacją. Wezmę konia i pojedę przodem. Podczas przypływu prąd jest bardzo silny. Może wydostał się na brzeg w dole rzeki. Wszystko jest możliwe. Panno Hackett - uchylił kapelusza i odszedł.

- Nie! - Reggie zakryła dłońmi twarz i potrząsnęła głową. - Nie! Tylko nie to!

John wyciągnął do niej rękę.

- Regino...

- Nie! Nie chcę tego słuchać. To nie może być prawda!

- Wskoczył za nią do wody. Musiał wybierać. Mógł gonić twojego ojca albo ratować Mirandę. Ktoś taki jak on nie mógłby wybrać inaczej. Nie rozpaczaj. Nie wolno nam tracić nadziei. Znajdziemy go.

Nie zareagowała, więc chwycił ją za ramię.

- Będziesz tu tak stała czy pójdziesz ze mną?

Usta odmówiły jej posłuszeństwa. Przez chwilę miała wrażenie, że zdrętwiały jej wszystkie członki.

- Idę... z tobą... - wyjąkała w końcu.

- To rozumem. - Pociągnął ją wzdłuż ścieżki i po chwili znaleźli się z powrotem przy wozie.

Richard podszedł do nich z niedojedzonym udkiem kurczaka w ręce.

- Już wszystko wiem. Henry mi powiedział. Will pojechał do miasta z dwiema ptaszynami, a ja zajmę się resztą naszych gołąbeczek. Niedługo wszystkie będą w domach. Gdzie się spotkamy?

- Przy Grosvenor Square.

- Co zrobić z ciałami? Trochę się ich nazbierało.

- Zostawimy je. I tak zbyt długo tu zabawiliśmy.

- Nie mam nic przeciwko temu. Przynajmniej będzie mniej roboty. Nie martw się, Jack. Znajdziesz go. Jeśli jest choć trochę podobny do ciebie, nie utonie z czystej przekory.

- Obyś miał rację. - John usiadł w siodle, po czym ujął Reginę za rękę i posadził ją bokiem przed sobą.

- Co z Hackettem?

- Został w jaskiniach albo utonął. Nie czekaj na niego. Znajdziemy go później. Do zobaczenia.

- Tymczasem.

Wkrótce Blackthorn i Hackettówna gnali ulicą biegnącą wzdłuż brzegu. Jazda ciągnęła się w nieskończoność, choć w rzeczywistości trwała zaledwie kilka minut.

- Przy Battersea Bridge jest niewielkie nabrzeże - odezwał się Jack. - Jeśli miał szczęście, udało mu się tam dotrzeć.

Kiwnęła głową i wróciła do swoich myśli. Modliła się, żeby Bóg zachował Pucka przy życiu. Nie mogła znieść myśli, że mogłaby go stracić.

Po jakimś czasie zatrzymali się i uwiązali konia.

- Henry sprawdza brzeg z drugiej strony, ale przy tak silnym nurcie Puck raczej nie zdołał wydostać się z rzeki. Zwłaszcza jeśli próbował wyciągnąć także twoją kuzynkę.

- Nie zostawiłby jej. - Reggie ze strachu i zdenerwowania dygotała na całym ciele.

- Co teraz?

- Teraz sprawdzimy, czy nie ma ich przy którymś pomoście. Na miejscu Robina wybrałbym kładkę najbliżej drzew, które widać po drugiej stronie. Byliśmy mniej więcej na ich wysokości. Gotowa? Chodźmy.

Gdy dobiegli do rozsypującego się mostka, Jack położył się na brzuchu na deskach i spojrzał w dół.

- Niech cię diabli, Puck! Gdzie jesteś?!

- Puck! Miranda! Odezwijcie się. - Regina powoli odchodziła od zmysłów.

- Są! Tam! - John poderwał się na nogi i wskazał dłonią długi kamienny wał ciągnący się nieco dalej wzdłuż nabrzeża. - Słodki Jezu! Jakim cudem udało mu się tam dotrzeć? Prędko!

Puck wyglądał jak siedem nieszczęść. Mokre włosy oblepiały mu twarz, a usta miał zsiniałe z zimna. Mimo to uśmiechnął się szeroko na ich widok.

- Strasznie długo się guzdraliście - wysapał z trudem. - Jedną ręką trzymał się kurczowo górnej krawędzi murka, drugą obejmował nieprzytomną Burnhamównę. - Już miałem dać za wygraną... Niezbyt dobra pora na pływanie... Trzeba było zdjąć buty. Szkoda, że nie przyszło mi to do głowy wcześniej.

- Och, Puck! - westchnęła Regina, gdy Jack wyciągnął z wody Mirandę i ułożył ją na ziemi.

Hackettówna zdjęła przemoczony płaszcz i okryła nim kuzynkę. Głównie po to, by zakryć jej postrzępione odzienie.

- Co z nią? Czemu się nie rusza? - dopytywała się bliska hysterii.

Robin był już na brzegu i klęczał obok niej, z trudem łapiąc oddech.

- Obawiam się, że ocknie się z obolałą szczęką.

- Uderzyłeś ją? - zapytała ze zdumieniem pomieszanym z ulgą.

John podniósł brata na nogi i długo mu się przyglądał, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że widzi go żywego. W końcu zamknął go na moment w mocnym uścisku, a potem szybko się odsunął.

- Myślałem, że już po tobie, szczeniaku. Wyglądasz paskudnie i cuchniesz ściekiem. Zawołam jakąś bryczkę, zanim wszyscy troje zamarzniecie tu na śmierć. Bohater

od siedmiu boleści... To przez twoje poetyckie inklinacje. Ostrzegalem cie, ze tak to sie skonczy.

- Otóz i dowód braterskiej miłości - zaśmiał się Puck i opadł z powrotem na czworaka. Był zbyt wyczerpany, żeby ustać samodzielnie dłużej niż kilka sekund. - Biedny Black Jack, zdaje się, że mocno przeżył moją małą przygodę. Nic jej nie jest? Opierała mi się. Pociągnęłyby nas oboje na dno, gdybym jej nie ogłuszył. Nigdy wcześniej nie podniosłem ręki na kobietę. Nie powiem, żeby mi się to podobało.

- Najważniejsze, że żyje. Dzięki tobie. Uratowałeś ją. - Regina objęła go mocno za szyję i niemal się rozplakała. Sądziła, że już nigdy go nie zobaczy... - Kiedy... kiedy powiedzieli mi, co się stało... Kiedy usłyszałam, że wskoczyłeś do rzeki...

- Cii, już dobrze, moja słodka. Jestem jak złośliwy chochlik. Zawsze wracam, żeby obmyślać nowe psoty. O, zdaje się, że panna Burnham dochodzi do siebie. To nie będzie miłe przebudzenie, jak sądzę.

Miranda przewróciła się na bok, a potem zaczęła pluć i krztusić się wodą. Gdy Hackettówna ujęła ją za ramiona, z miejsca wpadła w histerię.

- Puść mnie! Precz ode mnie, ty plugawcu! - wrzeszczała wniebogłosy, wymachując gwałtownie rękami.

- Mam nadzieję, że nie chodzi jej o mnie - rzekł Puck, łapiąc ją za nadgarstki. Niewiele brakowało, a uderzyłaby Reginę jeszcze raz. - Panno Burnham, niechże się pani uspokoi. Nic pani nie grozi. Proszę zobaczyć, kto ze mną jest.

Randy nieco ochłonęła i spojrzała niewidzącym wzrokiem na kuzynkę. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, kogo widzi.

- Reggie? Reggie! - zawołała i natychmiast zemdlała.

Puck siedział przy kominku, obracając w palcach kieliszek brandy. Miał nadzieję, że dzięki mocnemu trunkowi pozbędzie się wreszcie smaku brudnej wody z ust.

Ostatnie dni obfitowały we wstrząsające wydarzenia, ale najgorsza okazała się chwila, w której wskoczył do Tamizy, aby wyciągnąć Burnhamównę. Broniła się przed nim z całych sił. Niewiele brakowało, a zabiłaby ich oboje.

Wartki nurt sprawił, że bardzo szybko opadł z sił. Wiedział, że nie utrzyma się na powierzchni zbyt długo. Mógł ją zostawić i ratować siebie, ale nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby pozwolił jej utonąć. Dla Reginy gotów był zrobić i wycierpieć wszystko.

Zaciskał więc zęby i brnął dalej, powtarzając sobie, że prędzej sam pójdzie na dno niż ją wypuści. Pewnie znów odezwał się w nim poeta... Gdy prąd popchnął go w stronę wału, wykrzesał resztki energii, żeby się podźwignąć i uchwycić krawędzi muru.

Dochodziło południe. Gaston przewiózł panie z Half Moon Street na Grosvenor Square. Były teraz razem. Szczęśliwe, że odzyskały Mirandę i zasmucone jej stanem.

Robin wziął kąpiel, aby zmyć z siebie cuchnącą woń rzeki, zjadł lekki posiłek, a teraz z niecierpliwością oczekiwał w gabinecie na powrót brata.

Nie miał pewności, co się stało z Hackettem. Jeśli była jakaś sprawiedliwość na świecie, Reg leżał teraz martwy na dnie jaskini.

Jakiś czas temu na chwilę pojawił się Dickie. Okazało się, że odwiózł uratowane kobiety do pana Portera. Ten zaś zobowiązał się odeskortować je do właściwych chlebodawców. George był tak uszczęśliwiony odzyskaniem własnej trzódki, że z wdzięczności zaproponował Richardowi darmowe usługi swoich upadłych aniołków. Carstairs mógłby cieszyć się ich towarzystwem przez okrągły rok, lecz uprzejmie odmówił. Uprzejmie, acz nie bez żalu.

Wkrótce po Dickiem przyjechał dziwnie poważny i milczący Will. Porozmawiał chwilę ze swoim druhem, po czym obydwaj w pośpiechu opuścili rezydencję Blackthornów.

Jack nadal się nie pokazywał. Na nabrzeżu zapakował ich do bryczki, a sam wyruszył na spotkanie z Suttonem. Mieli razem odszukać Hacketta, więc Puck zaczynał się niepokoić. Minęło sporo czasu, a ich wciąż nie było.

Upłynęła kolejna godzina, nim usłyszał kroki i ujrzał na progu zasepioną twarz brata.

- Jakież wieści? - zapytał niecierpliwie.

Starszy Blackthorn zmarszczył brwi i podszedł wprost do stolika z trunkami. Odezwał się dopiero, gdy nalał sobie wina.

- Hackett żyje - oznajmił w końcu. - I przepadł jak kamień w wodę.

- Jesteś pewien? Skąd wiesz?

- Owszem, jestem pewien. Znalazłem na brzegu ciało Henry'ego. Nie znalazłem za to jego konia.

Robin poczuł w całym ciele dojmujący chłód.

- Jak to się stało?

- Sam przez moment nie mogłem w to uwierzyć. W jednej z jaskiń natrafiłem na świeżo wydrążony tunel wiodący do podnóża klifu. Wszystkim nam zależało na znalezieniu ciebie i Burnhamówny. Przypuszczam, że Henry skoncentrował się na obserwowaniu wody i stracił czujność. Nie zwracał uwagi na to, co się dzieje za jego plecami. Próbował się bronić, ale Hackett to potężny mężczyzna, poza tym zaatakował go zniebaczka. Bez trudu skręcił mu kark. Pamiętaj, że nie wolno ci się za to obwiniać. W naszym fachu śmierć to chleb powszedni. Wystarczy jeden mały błąd i tak to się kończy. Henry dwa lata walczył przeciwko Bonapartemu i wyszedł z tego bez szwanku, a teraz wysłała go na tamten świat ta parszywa kanalia... Dickie i Will zabrali go do domu i położyli do łóżka. W oczach świata umrze we śnie. Nikt się nigdy nie dowie, co się stało.

John opróżnił kieliszek i cisnął nim ze złością do kominka.

Puck ujrzał w myślach zniebaczoną twarz Reginalda. Zapewne ten sam widok towarzyszył Suttonowi w chwili śmierci. Nie po raz pierwszy w ciągu kilku ostatnich dni poczuł, że jest zdolny do mordu.

- Sądziś, że Hackett będzie chciał opuścić kraj? Wie, że w Anglii jest skończony. A droga ucieczki wydaje się dziecinnie prosta. Ulokował pieniądze w zagranicznych bankach i jest właścicielem kilku statków. „Pride & the Prize” jest gotowy do opuszczenia portu. Taka okazja może się więcej nie nadarzyć.

Jack sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

- Sam nie wiem. Ludzie jego pokroju nie puszczaają płazem takiej zniewagi. Gotowi są zginąć, byle tylko się zemścić. Idę o zakład, że schował się w jakiejś dziurze i knuje przeciwko nam. Nie może ścierpieć myśli, że dwóch durnych fircyków ukradło jego własność. W jego chorym umyśle tak to właśnie wygląda. Nie szło nam bynajmniej o uratowanie tych nieszczęsnych kobiet. Obrabowaliśmy go dla własnego zysku.

Puck kiwnął głową.

- Tak, prawdopodobnie masz rację. Domyśliliśmy się, że nie miał zamiaru wejść z nami w spółkę, i postanowiliśmy przywłaszczyć sobie jego „towar”.

John nieoczekiwanie się uśmiechnął.

- Nie chciałbym znaleźć się teraz w skórze pana Harleya...

- O mój Boże, nie pomyślałem o tym... Nieopatrznie wpędziłem go w tarapaty, kiedy odgrywałem komedię przed Hackettem. Tylko on i Benjamin byli wtajemniczeni w całą sprawę. Znali kupców i wiedzieli, do których portów należy posłać „Pride & the Prize”. Reginald jest przekonany, że wspólnik go zdradził. A niech to... Może powinniśmy ostrzec Benjamina?

- Czyżby naszła cię ochota na kolejny heroiczny wyczyn, bracie?

- Niekoniecznie. Straciliśmy dziś zanego człowieka i dobrego przyjaciela. Jestem zbyt poruszony, żeby przejmować się losem pana Harleya.

- Słusznie. Jest niewiele lepszy od Hacketta. Jak dla mnie może szczeznąć. Ale miej się na baczności, braciszku. Zaczynasz myśleć tak jak ja. Jak sądzisz, jakie będzie następne posunięcie Reginalda? Poza tym, że rozprawi się z nielojalnym przyjacielem? Hm, jesteś poetą, uwielbiasz wymyślać dramatyczne historie.

Puck odstawił kieliszek i przymknął powieki. Niełatwo było postawić się na miejscu człowieka kompletnie pozbawionego skrupułów.

- Jeżeli zechce ocalić skórę i pozostać w Anglii, będzie musiał pozbyć się wszystkich świadków swoich zbrodni. Najpierw unieszkodliwi wspólnika, a potem przyjdzie porachować się z nami dwoma. Spróbuje nas zamordować. - Otworzył szeroko oczy i popatrzył na brata. - Jack, musimy jak najprędzej wywieźć stąd kobiety.

- Nie inaczej. Z łowczych staliśmy się zwierzyną. Nasze damy nie będą tu bezpieczne. Co proponujesz? Każemy im wrócić na Half Moon Street? Im częściej je przenosimy, tym większe ryzyko, że ktoś nas w końcu nakryje.

Robin wstał i napełnił ponownie kieliszki.

- Racja. Jedno jest pewne. Panie nie mogą zostać tutaj. Co powiesz na to, żeby wróciły oficjalnie do miasta? Nie wiem jak tobie, bracie, ale mnie znacznie bardziej odpowiada rola myśliwego, a to idealny sposób, żeby wywabić zwierzę z kryjówek. Poza tym nie odmówię sobie przyjemności poproszenia pana Hacketta o rękę jego córki. Natu-

ralnie, nie oczekuję błogosławieństwa, chciałbym tylko zobaczyć jego paskudną gębę, kiedy to usłyszysz. Potem możesz z nim zrobić, co ci się żywnie podoba.

Jack posłał mu szeroki uśmiech. Jego zasepione oblicze rozpogodziło się po raz pierwszy, odkąd stracił przyjaciela.

- Popieram, braciszku. Sam bym tego lepiej nie wymyślił.

Młodszy Blackthorn podał mu kieliszek i wzniosł toast.

- Za dzielnego i oddanego druha, barona Henry'ego Suttona. Oby plugawiec, który nam go odebrał, zginął marnie i usmażył się w piekle, nim zapieje kur. *Henri, soldat courageux, nous vous saluons!*

TLR

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Papo! Papo!

Panna Burnham przebiegła przez bawialnię domu przy Cavendish Square i rzuciła się ojcu na szyję.

Wicehrabia przez moment sprawiał wrażenie wystraszonego, lecz w końcu objął i przytulił do serca szlochającą córkę.

Regina i Puck przyglądali im się z holu.

- To chyba nie był najlepszy pomysł - szepnęła Hackettówna. - Spójrz tylko, sam nie wie, czy się cieszyć, czy rwać sobie włosy z głowy.

- Och, jestem pewien, że lady Ranscome wkrótce rozwiąże za niego ten dylemat. To silna i stanowcza kobieta.

Gdy Claire z dumnie uniesioną głową dołączyła do Setha i Mirandy, Robin zwrócił się po cichu do majordomusa, który czaił się ukradkiem za jego plecami:

- Pozwolisz na słówko, Kettering?

- Naturalnie, sir. Jestem do usług.

Reggie nie zauważyła obecności kamerdynera, więc podskoczyła jak oparzona, kiedy wyrósł przed nią jak spod ziemi.

Skinąwszy na służącego, Blackthorn ścisnął ją mocniej za rękę i pociągnął w głąb korytarza.

- Dałeś wychodne reszcie służby?

- Tak jest, sir. Jak tylko otrzymałem pański bilecik. Poinformowałem ich, że wicehrabiostwo zamierza spędzić dzień na medytacji i modlitwie w intencji wyzdrowienia hrabiego Mentmore. Większość udała się na jarmark świętego Bartłomieja. Z zawartością pańskiej sakiewki, więc spodziewam się, że raczej nieprędko wrócą. Przy okazji niech mi wolno będzie pogratulować panu odnalezienia panny Mirandy.

- Odnalezienia? - powtórzył ze zdumieniem Puck. - Nic mi nie wiadomo o tym, że się zgubiła. Damy udały się przecież z wizytą do Mentmore. Malowały akwarele, dziergały czy co tam jeszcze robi się na wsi...

- Naturalnie, sir - wyjąkał spłoszonym Kettering. - Zapomniałem. Ale już mi się wszystko przypomniało. Wolno spytać, czemu panie wróciły akurat teraz, kiedy hrabia Mentmore stoi nad grobem?

- Sądziłem, że to oczywiste. Widzę, że termin balu u lady Sefton także wyleciał ci z głowy? Pomyśl tylko, jeśli panienki rychło zmuszone będą przywdziać żałobę, reszta sezonu przemknie im koło nosa. Polowanie na męża to poważna sprawa. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. A teraz, co do kolacji... Damy zjedzą w swoich pokojach. Niech to nie będzie nic wymyślnego... Aha, każ przygotować powóz na dziewiątą. I żadnych wizyt, jeśli łaska. Wszystko jasne?

Kamerdynier uklonił się i schował do kieszeni monetę, która nagle znalazła się w jego ręku.

- Jak słońce na niebie, panie Blackthorn. Jeszcze raz przepraszam za swoje roztrągnięcie. To się już więcej nie powtórzy.

- Naturalnie, że nie. Od pierwszej chwili wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie i twoją niezachwianą lojalność. Wadsworth?

- Tak, sir?

- Poznaj pana Ketteringa. Panie Kettering, przedstawiam panu swego wiernego i nieprzekupnego majordomusa. W kuchni znajdzie pan resztę mojej wiernej służby i na jakiś czas odda się pan w ręce Wadswortha. Zgoda?

Kettering przez ułamek sekundy wyglądał na człowieka bliskiego ataku apopleksji.

- Jak pan sobie życzy - wydusił w końcu.

- Znakomicie. Wadsworth? Pewnie miałbyś ochotę napić się herbaty?

- A jakże, sir. Nie pogardziłbym także czymś na ząb. Kettering, przyjacielu? Pozwól ze mną. Mamy sporo do omówienia.

Regina patrzyła z niedowierzaniem, jak nadęty sługa Mentmore'ów odchodzi z podkulonym ogonem w stronę schodów dla służby.

Kiedy odwróciła się do Pucka, jej mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Postradałeś zmysły? Umyśliłeś sobie posłać Mirandę na bal? Dziś wieczorem? Nie widziałeś, w jakim jest stanie?! Wiem, pamiętam, obiecałam, że nie będę zadawać żadnych pytań, kiedy ni stąd, ni zowąd kazałeś nam tu przyjechać, ale nie oczekuj, że

zgodzę się na coś takiego. Nie tym razem, mój panie! Jak mogłeś pomyśleć, że przystanę na to szaleństwo?

Posłał jej szeroki uśmiech, ale nie zdołał jej nim udobruchać.

- Widzę, że kochasz mnie nad życie, więc liczyłem na to, że miłość całkowicie cię oślepi - oznajmił rozbijając. - Niestety, szybko wybiłaś mi to z głowy. Wiedziałem, że jestem w tarapatkach, kiedy zobaczyłaś powóz z insygniami Mentmore'ów. Nie spodobało ci się, że macie wrócić ze wsi i to tak, żeby zobaczyło was całe miasto.

- W istocie. Całe miasto z moim papą na czele. Wydaje ci się, że wystarczy odesłać służbę, żeby powstrzymać plotki? Wieści rozchodzą się tu lotem błyskawicy. A ojciec wie, że Randy opowie wszystkim o tym, co ją od niego spotkało.

- Rzecz w tym, że nie opowie. Nie może tego zrobić, jeśli chce uratować swoją reputację. Tylko my i najbliższa rodzina poznaliśmy jej sekret. Nikt inny nigdy nie może się dowiedzieć. Lady Ranscome podziela moje zdanie.

- Rozmawiałeś o tym z ciocią Claire? Za moimi plecami? Co będzie, jeśli się mylisz? Może ojciec postanowi jednak tu przyjść? Nie mogę się z nim zobaczyć, Puck. Nie chcę go już nigdy więcej oglądać.

- Nie będziesz go oglądać, bo będziesz na balu.

Spojrzała na niego jak na osobę niespełna władz umysłowych.

- Co takiego?! Ja też mam jechać na bal?

- Pojedziecie wszystkie cztery. Twoja matka i ciotka również. - Robin rozejrzał się, a potem wziął Reginę za rękę. - Chodź ze mną. Wyłuszczę ci swój plan, a potem znajdziemy jakieś odosobnione miejsce, w którym będę mógł swobodnie nastawać na twoją cnotę.

- Odpowiesz mi za to - szepnęła rozsierzona, gdy powlókł ją w stronę najbliższego pustego pokoju. - Nie myśl sobie, że ujdzie ci to płazem. Od tego, co zamierzam ci powiedzieć, zwiędłyby uszy nawet babce Hackett.

- Kompletnie oszalałem na twoim punkcie, wiesz? - odparł niezrażony. - Kiedy to się wreszcie skończy, nie wypuszczę cię z łóżka przez co najmniej tydzień. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się sobą nacieszyć. Będę cię całował całymi dniami. Od stóp do głów. *J'apprendrai tous vos secrets, mon amour, et vous saurez le mien.*

Zrobiło jej się gorąco i poczuła, że się rumieni.

- Puck! Ostrzegam cię! Nie omamisz mnie ani czułymi słówkami, ani nieobyczajnymi aluzjami. Nie dziś. Gadaj zdrów i tak nie pojedę na żaden bal!

Nie doceniła go. Po upływie trzech kwadransów zgodziła się na wszystko. Wysłuchiwała tego, co miał do powiedzenia, uznała, że miał rację, i skapitulowała.

Potem Puck zamknął drzwi na klucz i natychmiast zaczął ją całować.

Od rana nie mieli dla siebie ani chwili. Regina spędziła poranek z pozostałymi paniami. Przeżyła wiele wzruszających chwil związanych z powrotem kuzynki na łono rodziny, a kiedy w końcu zeszła na dół, żeby odszukać ukochanego, ten kazał jej wrócić na górę i zarządzić pakowanie. Nie więcej niż pół godziny później wraz z matką, ciotką i kuzynką znalazła się w powozie, który przywiózł je na Cavendish Square.

Dopiero teraz, kiedy byli wreszcie sam na sam, przytuliła się do niego z całych sił, jakby już nigdy nie zamierzała go wypuścić. Niewiele brakowało, a mogłaby go stracić. Przez moment myślała nawet, że już więcej go nie zobaczy. Gdyby utonął, pewnie umarłaby z tęsknoty. Stał się częścią niej już na zawsze.

Pięć dni temu jeszcze go nie знаła, a teraz nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Puck obejmował ją mocno i całował jej włosy.

- Nie poszedłem na dno tylko dlatego, że nie chciałem się z tobą rozstać. Myśl o tym, że znowu wezmę cię w ramiona, dodawała mi sił. Los bywa niesprawiedliwy i okrutny, ale czasem się do nas uśmiecha. Tak jak dzisiaj. Mieliśmy wiele szczęścia. Znow jesteśmy razem i już nigdy się nie rozstaniemy. Obiecuję ci.

Westchnęła, wsłuchując się w miarowe bicie jego serca.

- Byłeś taki dzielny... Wskoczyłeś do rzeki, żeby ratować kobietę, której nie znałeś. Nie każdy zdobyłby się na takie poświęcenie.

- Zgadza się w zupełności. Woda była okropnie zimna i cuchnąca. W dodatku zniszczyłem swoje najlepsze buty. Gaston jest niepokieszony. W związku z tym postanowiłem nie podejmować w przyszłości tak pochopnych decyzji. Uspokoilem cię?

Uniosła głowę przekonana, że zobaczy na jego ustach uśmiech. Sama także się uśmiechnęła. Przez chwilę mogli udawać bez troskę.

- Czy to znaczy, że porzuciłeś na zawsze heroiczne wyczyny?

Odgarnął jej z czoła zbłąkany lok.

- Uznałem, że bojaźliwość ma swoje zalety. A może wolałabyś, żebym był bardziej podobny do Jacka?

- Podziwiam twojego brata. Jest odważny i niezwykle oddany... swojej pracy. Uprzedzam cię jednak, jeśli kiedykolwiek zechcesz przyłączyć się do jego... wędrowniej trupy, zamknę cię w piwnicy i będę trzymać pod kluczem, dopóki nie pójdziesz po rozum do głowy. Chyba będziemy mieli piwnice?

Popatrzył na nią roześmianymi oczyma. Wyglądał tak młodo i przystojnie, że aż ścisnęło ją za serce.

- Nie jestem pewien. Mam majątek, a w nim krowy, owce, mnóstwo drzew, pól i pastwisk. Znajdzie się też dom, ale czy są w nim piwnice? Zobaczymy. Tak czy owak, panno Hackett, wprawdzie zostanie pani żoną bękarta, ale za to dobrze uposażonego.

- Żoną, powiada pan, panie Blackthorn? Czy to źle, że myślimy o własnej przyszłości teraz, kiedy przyszłość Mirandy jest niepewna? Jeśli twój plan się powiedzie, ocalimy jej reputację. Martwi mnie tylko jedno. Ojciec nie jest głupi. Jest za to zdesperowany. Co będzie, jeśli postąpi inaczej, niż przewidziałeś?

Przyłożył jej palec do ust.

- Musimy to roztrząsać? Szczerze mówiąc, wolałbym cię teraz pocałować.

- Tak, wiem. Ale skąd masz pewność, że papa nie przyjdzie za nami na bal i nie zechce skrzywdzić Randy?

Westchnął teatralnie i podprowadził ją do kanapy.

- Jesteś nieugięta. Pamiętasz, co ci mówiłem?

- Tak - odparła, siadając obok niego. - Zadbaleś o to, żeby wieść o naszym powrocie ze wsi dotarła do kogo trzeba, a teraz wysyłasz nas na bal. Wśród tłumu ludzi będziemy bezpieczni. Przy okazji pokażemy się w towarzystwie i położymy kres ewentualnym plotkom na temat Mirandy. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie wiem tylko, jak zdołamy udawać, że nic się nie wydarzyło. Zwłaszcza Randy. Jest taka... rozbita... Na przemian śmieje się i płacze. Ścisnął ją za rękę.

- Dacie sobie radę. Od tego zależy cała przyszłość twojej kuzynki. Poszedłbym z wami, ale lady Sefton, zdaje się, zapomniała przysłać mi zaproszenie. Widać, nieślubni

synowie markiza Blackthorn nie są mile widziani wśród londyńskiej śmietanki. Do wieczora twój ojciec będzie wiedział wszystko. Wysnuje słuszny wniosek, że panna Burnham nie stanowi dla niego zagrożenia. Gdyby go wydała, doprowadziłaby do zguby także samą siebie. Domyśli się także, że skoro „wróciłyście ze wsi” wszystkie razem, to tak naprawdę nigdy nie opuściłyście Londynu. Innymi słowy, jego żona i córka zdradziły go i wystrychnęły na dudka. Na domiar złego owa córka zadała się z jego największym wrogiem, czyli moją skromną osobą - pyszałkowatym bufonem, a co gorsza, bękartem.

Dotknęła jego policzka.

- Przez ciebie jego plany, aby wydać mnie za mąż za dżentelmena z tytułem, legły w gruzach... Ma wiele powodów, żeby cię nienawidzić. Znam go. Jestem pewna, że spróbuje się zemścić. Puck, on będzie chciał cię zabić!

- Wątpię. Jestem najmniejszym z jego zmartwień. Z początku sądziliśmy z Jackiem, że istotnie zechce się z nami rozprawić, ale potem nagle nas olśniło. Jeśli już ktoś ma go pogrzyźć, to raczej będą to pozostałe uprowadzone, a nie my czy panna Burnham. Było ich całkiem sporo, któraś na pewno usłyszała nazwisko Mirandy i któraś prędzej czy później opowie komuś o swoim oprawcy. Tak to już jest z sekretami. Prawda zawsze wychodzi na jaw, a plotki i złe wieści szybko się rozchodzą. Zbrodnie twojego ojca rychło ujrzą światło dzienne. Właśnie z tego powodu Miranda musi pokazać się dziś publicznie, beztroska i roześmiana. Tylko w ten sposób zada kłam pogłoskom o tym, jakoby była jedną z branek Reginalda Hacketta.

Kiwnęła głową, ale nadal nie była przekonana.

- Nie mam pojęcia, jak tego dokona. Jest roztrzęsiona, lękliwa i ma ogromnego siniaka na policzku. Całe londyńskie zasoby pudru nie zdołają go zamaskować. A mój ojciec...

- Przestał się liczyć w tej rozgrywce, kotuś. Nie musisz się nim martwić. Nie ma już dla niego powrotu do dawnego życia. Reginald Hackett, zamożny i szanowany kupiec z widokami na tytuł dzięki pięknej córce, odszedł w niepamięć. W Anglii czeka go wyłącznie stryczek. Pozostaje mu więc tylko jedno, wsiąść na statek i na zawsze odpłynąć w siną dal. Naturalnie, wybuchnie skandal, który bez wątpienia dotknie ciebie i twoją

matkę, ale wówczas wszyscy troje będziemy daleko stąd. Przy odrobinie dobrych chęci jakoś to przetrzymamy.

Kiedy Puck skończył mówić, Reggie podniosła wzrok i zjrzała mu w twarz.

- Kłamiesz. Widzę to w twoich oczach. Trzymasz mnie za ręce, dodajesz mi otuchy, ale nie mówisz mi prawdy. Co do Mirandy, masz rację. Wierzę, że mogła zdradzić jednej ze współwięźniarek swoje nazwisko. Wspomniała też pewnie, kim jest ich oprawca. Przystałam na twój plan, bo wiem, że musimy ją chronić. Ale cała reszta to zwykła bajda, która ma mnie uspokoić. Ojciec nie wyjedzie, dopóki się na was nie zemści. Co więcej, nie wiem skąd, ale doskonale wiecie, gdzie się ukrywa. Uradziliście z Jackiem, że wyślecie nas na bal, a sami w tym czasie spróbujecie go dopaść i...

- Regino!

- Nie, Puck. Nie chcę więcej kłamstw. Ojciec zamordował waszego przyjaciela. Jack nie pozwoli mu zwyczajnie odpłynąć w siną dal, prawda?

Robin ucałował jej dłonie.

- Tak, to prawda.

Zwilżyła wargi i zacisnęła powieki.

- Będziesz przy tym?

- Tak, będę.

Rozmawiali o człowieku, który dopuścił się straszliwych zbrodni, o zwyrodnialcu bez serca i sumienia, którego należało usunąć z powierzchni ziemi. Ale ten sam bezwzględny człowiek był także jej ojcem. To on dał jej życie.

- Nie chcę, żebyś przy tym był. Proszę, Puck. Obiecuj, że cię tam nie będzie...

W pogrążonym w ciemnościach pokoju rozległ się cichy trzask. Chwilę potem przesunął się regał z książkami, a w powietrzu błysnął płomień świecy. Mężczyzna, który wyszedł zza biblioteczki, podszedł do biurka i wyjąwszy z kieszeni klucz, sięgnął do szuflady.

Nagle zorientował się, że zamek został wyłamany, i poderwał gwałtownie głowę.

- Dobry wieczór, Reginaldzie - odezwał się Jack. - Tego szukasz? - Wyłonił się z cienia i uniósł w rękę plik dokumentów oraz gruby notes. Papiery zawierały pełną do-

kumentację przestępstw Hacketta, nazwiska, miejsca, wysokość zysków. Wszystko co do joty.

Reg rzucił się z powrotem tam, skąd przyszedł, ale nim zrobił dwa kroki, natknął się na Dickiego Carstairsa i Willa Browninga. Ten ostatni trzymał w dłoni szpadę.

- Jak... jak tu weszliście?

- Tylko tyle masz nam do powiedzenia? - zdumiał się John. - Chcesz wiedzieć jak dostaliśmy się do twego domu? Doprawdy, jestem rozczarowany...

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wkroczył Robin.

- Oto środki, które zostaną przeznaczone na nowy przytułek dla upadłych kobiet - oznajmił, postawiwszy na stole potężną kasetkę wypełnioną po brzegi monetami. - Imienia twojej matki, Alice Hackett. Stosowny wybór, nieprawdaż? A to - dodał, wykładając na blat kilka kolejnych sakiewek - wcześniej nieistniejący posag panny Burnham. Dwadzieścia tysięcy funtów zadowoli każdego konkurenta, nawet takiego, do którego dotrą plotki o rzekomym skandalu. Byłbym zapomniał. - Pomachał w powietrzu małym zawiniątkiem, które wkrótce zniknęło w jego kieszeni. - To ostatnie zrekompensuje mi z namiątką utratę najlepszych butów. Przypuszczam, że zgromadziłeś tego znacznie więcej.

- Tak! - zawołał rozpaczliwie Hackett. - Mam więcej! Dużo więcej! Wszystko w złotych monetach. Jeśli mnie zabijecie, nigdy nie znajdziecie pieniędzy!

- I tu się mylisz, Reg - rzekł Jack, rzuciwszy na biurko oprawiony w skórę rejestr. - Poznajesz? Nie mogłeś go znaleźć, kiedy poszedłeś porachować się ze swoim współnikiem. Mam rację? Wiedziałem. Cóż, jak widzisz, złożyliśmy mu wizytę przed tobą. Pan Browning, tak, ten, który wycelował w ciebie szpadę, jest niedoścignionym włamywaczem. Potrafi otworzyć każde drzwi, w dodatku bezszelestnie. Świętej pamięci pan Harley spał jak suseł i nawet nie drgnął. Swoją drogą, prowadził wasze księgi bardzo skrupulatnie. Nie martw się zatem o swoje złote monety. Doskonale wiemy, gdzie ich szukać.

- Pozwól, że odpowiem na pierwsze pytanie naszego gospodarza - wtrącił młodszy Blackthorn. - Jak tu weszliśmy? To proste. Jesteś jak szczur, Reginaldzie. Zawsze zostawiasz sobie drogę ucieczki. Biblioteczka? W domu człowieka, który w całym życiu nie przeczytał ani jednej książki? Doprawdy, to zbyt oczywiste. Odnależliśmy twoją kryjów-

kę w pięć minut. Poza tym dwóch ludzi mego brata stale obserwuje ten dom. Byliśmy pewni, że wrócisz na Berkeley Square po swoje rzeczy. Jak powiada pismo „Jak pies do wymiotów własnych powraca, tak głupiec powtarza własne szaleństwa”*.

* Księga Przysłów (Prz, 26,11) - tłumaczenie za *Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.)*.

- Pies? To ty jesteś psem, przybłedo! Porwałeś moją córkę! Wszystko, co robiłem, robiłem dla niej! Tylko dla niej! A ty mi ją zabrałeś! I zrujnowałeś. Przez ciebie jest nic niewarta!

Więc to Regina ponosi winę za jego grzechy? Puck zacisnął pięści i nakazał sobie spokój. Miał ochotę udusić Hacketta gołymi rękami.

Zamiast tego zgarnął ze stołu pieniądze i odwrócił się do brata.

- Pomyliłeś się, Jack. Zamordowałbym go bez mrugnięcia okiem, ale wolę zostawić ten przywilej tobie. Regina wiedziała od samego początku, że gdybym go zabił, zniszczyłbym naszą miłość. Coś takiego prędzej czy później musiałyby nas poróżnić. Mimo wszystko to jej ojciec. - Spojrzał ostatni raz na Reginalda - Skończyłem z nim. Jest wasz. W imieniu króla, róbcie z nim, co chcecie.

- W imieniu króla?! - wrzasnął Reg. - Co to znaczy? Nie jesteście tymi, za kogo się podawaliście? Czeka! Blackthorn! Wracaj tu! Mówię do ciebie! Wracaj! Co tu się dzieje? Co zamierzasz z tym zrobić? Zabierz to ode mnie, człowieku! Aresztujcie mnie! Nie możecie tego zrobić! Blackthorn, pomyśl o mojej córce! Nie pozwól im! Zostawcie mnie! Błagam, nie...!

Robin podszedł do drzwi, nie oglądając się za siebie. Na korytarzu oddał zagarnięte łupy Wadsworthowi i wyszedł na ulicę.

Wrócił na Cavendish Square na piechotę, recytując po drodze fragmenty *Miarke za miarkę*.

Regina siedziała u szczytu schodów, gdy Kettering osobiście otworzył drzwi, żeby wpuścić Pucka. Wciąż miała na sobie balową suknię, choć panie opuściły przyjęcie po zaledwie godzinie. Ciotka wymówiła się bólem głowy. W rzeczywistości, martwiła się o córkę, która leżała teraz w jej łóżku. Claire czuwała przy niej bez wytchnienia, aby odpędzić powracające koszmary.

Robin szepnął coś do ucha służącemu, po czym wspiął się niespiesznie na piętro.

- Czekają pani na kogoś, panno Hackett? - zapytał, przycupnąwszy obok Reggie.

Milczeli przez jakiś czas, wpatrując się w kandelabr.

- Jak wam poszło na balu? - zapytał w końcu Blackthorn.

- Dobrze. - Oparła głowę na jego ramieniu. - Zrobiłyśmy to, co nam kazałeś. Miranda była wspaniała. Wybaczyła mi nawet to, że jestem córką swego ojca.

Objął ją czule ramieniem.

- A ty? Wybaczyłaś sobie, że jesteś córką Reginalda Hacketta?

- Próbowałam wybaczyć jemu, ale nie wiem, czy kiedykolwiek się do tego zmuszę.

Wiem za to, kim jestem, a kim nie jestem. Ty mnie tego nauczyłeś. On... nie żyje, prawda?

- Tak, kotuś. Twój ojciec nie żyje. Wciągnęła głośno powietrze.

- Byłeś tam, kiedy... to się stało?

- Nie, nie było mnie przy tym. Ale mieliśmy rację. Wrócił na Berkeley Square. Służba znalazła go w gabinecie. Powieszzonego. Jego papiery i książki leżały na wierzchu. Jack zabrał je, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Teraz wiemy już, co trzeba. Znamy nazwy portów, w których cumował „Pride & the Prize”, i nazwiska kupców. John i jego ludzie pojedą tam, żeby uwolnić resztę uwięzionych kobiet. Już po wszystkim, kochanie.

- Tak... już po wszystkim - powtórzyła bez wyrazu. - Nie przypuszczałam, że zdołacie się na to, żeby odebrać sobie życie. Postąpił niemal jak człowiek honoru, prawda?

- To było jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Wiedział, że jest skończony i że nie ma dla niego ucieczki. Jego śmierć z pewnością ułatwi życie tobie i twojej matce. Plotek nie da się uniknąć, ale Jack i reszta zadbają o to, żeby nie wybuchł wielki skandal. Lady Letycja i Miranda będą bezpieczne. Prawdę mówiąc, pani Hackett została bardzo bogatą wdową. Zimą może mieszkać na wsi, a latem korzystać z gościnności brata. Będzie zachwycony, mogąc jej pomóc.

- O tak, zwłaszcza jeśli okaże się wobec niego odpowiednio szczodra. - Otarła z policzków łzy. - To brzmi tak sensownie i... krzepiąco. Na pewno mówisz mi prawdę? Czy tylko chcesz mi oszczędzić zgryzoty?

Ujął ją za podbródek i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Przysięgam na naszą miłość, wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą.
Kochała go, więc postanowiła mu uwierzyć.

EPILOG

Regina obejrzała się za siebie i podwinawszy spódnicę, puściła się biegiem przez ogród. Pędziła, dopóki nie straciła tchu, po czym wyczerpana opadła na trawę.

Leżała na plecach i chichotała, gdy nagle pochylił się nad nią roześmiany ośli łeb.

- Cna Tytanio! - zawołał z uczuciem jej prześladowca. - Oberon eliksirem magicznym oczy twe zakropił, aby pierwszy, na którego wejrzysz, sercem twym zawładnął. Mnie więc pokochasz, nikogo innego!

- Och, nie! To być nie może. Serce me w całości oddałam Puckowi, niecnocie!

- A zatem szczęście spotkało cię pani, jam jest twój Puck! Jam niecnota! Nie uwolnisz się ode mnie już nigdy. - Robin ściągnął maskę i odgarnął włosy z czoła. - Skoro stawestowaliśmy haniebnie słowa wieszczka, możemy pozbyć się kostiumów.

- Obchodź się z nią ostrożnie. Twoja matka jest do niej bardzo przywiązana.

- Chyba cię polubiła. Na swój sposób.

Reggie miała co do tego poważne wątpliwości.

Adelajda była jedyna w swoim rodzaju. Jak nikt inny potrafiła każdy komplement obrócić w zniewagę.

- Hm... Chelsea mówi, że niebawem wyrusza ze swą trupą w kolejny objazd. Ojej, źle to zabrzmiało. Wcale nie idzie mi o to, że cieszę się z jej wyjazdu. - Klepnęła Pucka po rękę, gdy przewrócił się na wznak i wybuchnął śmiechem. - Och, przestańże wreszcie, przecież to twoja matka. Jesteś gorszy ode mnie i swojej bratowej razem wziętych.

Objął ją i położył sobie na brzuchu.

- Cóż, droga żonko, będziemy się smażyć w piekle. Razem z Beau i Chelsea. Na pewno znajdziemy tam sobie jakieś rozrywki. Będziemy, na ten przykład, całymi dniami grywali w wista. Kiedyś mama nie była taka okropna. Pogorszyło jej się, gdy synowie zaczęli sprowadzać do domu piękne młode żony. Nie potrafi pogodzić się z upły-

wem czasu, ot co. Jeśli i Jack znajdzie pannę, która zdoła z nim wytrzymać, nie unikniemy katastrofy.

- Wasz ojciec bardzo ją kocha.

- Skoro tak twierdzisz, droga żono... - mruknął zajęty rozpinaniem guzików jej gorsetu. - Chylę czoła przed twą mądrością.

- Więc sądzisz, że jej nie kocha?

- Nie wiem. Kiedyś z pewnością się w niej durzył. Teraz patrzy na swoich synów i gryzie się myślą, że cały jego majątek przypadnie w udziale nie im, lecz jakiemuś dalekiemu kuzynowi z Ameryki. Bez wątpienia, żałuje, że swego czasu nie postąpił inaczej. Matka też chyba w końcu zrozumiała, że wszystkim nam żyłoby się o wiele lepiej, gdyby została jego żoną, a nie kochanką. Pomyśl tylko, następnym markizem Blackthorn będzie Amerykanin! Toż to hańba i sromota!

- Tak, to naprawdę okropne - powiedziała z uśmiechem, który zadawał kłam jej słowom. - Na waszym miejscu byłabym zdruzgotana...

Przewrócił ją na plecy i zajrzał jej w oczy.

- A ja jestem zadowolony. Niczego mi nie brakuje i jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Moja ukochana żona kocha mnie dla mnie samego. Nie dla mojego tytułu, rozległych włości z owcami i krowami ani nawet nie dla mojej niezwykle przystojnej twarzy, choć pozwalałam jej od czasu do czasu zachwycać się swoją nadzwyczajną urodą. Ona kocha mnie, a ja ją. Czego więcej można chcieć od życia?

- Mój ty poeto - mruknęła, głaszcząc go czule po policzku. - Zaraz pewnie powiesz, że wierzysz w szczęśliwe zakończenia?

Uśmiechnął się promiennie.

- A pani nie, pani Blackthorn?

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

- Ależ tak, panie Blackthorn. Przy panu zawsze...

